

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/307

1973



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

L. KOŁAKOWSKI : **SPRAWA POLSKA**

PELIKAN : **DRZEWO SZCZEPIONE PATOSEM**

D. MORAWSKI : **KOŚCIÓŁ PO REWOLUCJI GRUDNIOWEJ**

G. NOWAK : **LIST Z LONDYNU**


SPIS RZECZY

Leszek Kołakowski:	<i>Sprawa polska</i>	3
P e l i k a n :	<i>Drzewo szczepione patosem</i>	15
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	25
Dominik Morawski:	<i>Kościół po rewolucji grudniowej</i>	30
Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	49
St. L. Lewicki:	<i>Jaś i Małgosia</i>	63
WIERSZE		
Krzysztof Dąbrowski:	<i>W Paryżu nad ranem</i>	69
Krzysztof Dąbrowski:	<i>Do Zofii — Jak to jest</i>	70
Andrzej Koraszewski:	<i>Modlitwa</i>	71
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Technologiczne pojmowanie dziejów</i> ..	73
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	83
SĄSIEDZI		
Ludwik Smolański:	<i>Byłem...</i>	93
E. Żagiell:	<i>Władysław Komaras</i>	102
—	<i>Litewskie skargi</i>	103
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	108
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	114
Borys Lewicki:	<i>Kronika ukraińska</i>	116
—	<i>Z Nowogródka i Oszmiany</i>	117
SPRAWY I TROSKI		
Andrzej Bohomolec:	<i>„D a l” — 1973</i>	118
—	<i>Apel Twa Opieki nad polskimi zabytkami i grobami we Francji</i>	121
K R A J		
Szymon Walczak:	<i>Rocznicowe refleksje</i>	122
Bohdan Brodziński:	<i>Dwa lata Gierka</i>	125
—	<i>Komitet PAN do spraw imperializmu</i>	129
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Zapomniany malarz</i>	131
—	<i>Ankieta „Literatury”</i>	134
—	<i>Emigracyjne nagrody literackie (Uzupełnienie 2)</i>	134
K S I A Ż K I		
Witold Wirpsza:	<i>Gogolowskie składniki</i>	135
Adam Czerniawski:	<i>R. Ingartena przedmioty intencjonalne</i>	137
Adam Nasielski:	<i>Eksperyment z Pahiatua</i>	140
—	<i>„Dywersonanci”</i>	142
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	144
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, kanadyjska i australijska</i>	146
◆		
Ks. St. Bełch, R. Breyer, A. Czerniawski, K. Okulicz, W. Rostafiński, E. Witt:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1973

INSTYTUT  **LITERACKI**

SPROSTOWANIE

Na okładce marcowego zeszytu *Kultury* zauważyliśmy przykry błąd mianowicie zamiast Nru 3/306 — drukarnia złożyła „1/306”. Mamy nadzieję, że nikogo nie wprowadziło to w błąd gdyż nr 1/2 (styczeń/luty) jest zawsze podwójny, a na grzbiecie cyfra jest prawidłowa.

Tak samo w wydanej przed kilku tygodniami książce Adama Krzyżanowskiego „Dzieje Polski”, na stronie czwartej wydrukowano iż jest to 237 tom „Biblioteki Kultury”, podczas gdy w rzeczywistości jest to tom 227. Będziemy wdzięczni naszym Czytelnikom za poprawienie tych pomylek.

REDAKCJA

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Józef Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 10,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz siódmy	F. 225,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dziewiętnasty	F. 100,00
L. K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA), po raz czwarty	F. 27,00
Stanisław Mikiciuk, Monachium	F. 70,00
Adam Nasielski, Cooma North, NSW (Australia)	F. 500,00
Zdzisław Pechnik, Meudon (Francja), po raz szósty	F. 100,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 115,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii, Wellington, po raz drugi	F. 120,00
Bożena Teisner, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 45,00

DZIĘKUJEMY!



P. 9786 Chik. Arch.

Sprawa Polska

Będziemy powtarzać to, co wielu pisało i niebardzo się tego wstydząc, bo z takich powtórzeń głównie składa się troska o Sprawę Polską. Tytuł też (a nie zawartość) zapożyczamy z grubej książki, którą potomność podała w niepamięć.

Ze jesteśmy narodem wspaniałym i dzielnym, odwagi pełnym i talentów pełnym i do osiągnięć niepospolitych zdolnym, lecz wskutek przypadłości dziejowych zewnętrznych znękanym i przez los pokrzywdzonym — jest to najtrwalszy aksjomat, który — nietyłe myśli polskiej — ile powszechnemu poczuciu polskości przewodził od dwóch stuleci i nadal przewodzi. Powiadam „nietyłe myśli polskiej”, jako że był ten aksjomat przez sceptyków na tyle ośmieszony, iż nie wypowiadamy go wprost, ale raczej w sercu hołubimy jako źródło, z którego płyną najpospolitsze nasze odpowiedzi na kolejne wybryki historii i którym, jak mniemamy, godność nasza narodowa się karmi. Lecz smutna jest ta wiara w siebie, bo mniej temu służy, by nas w poczuciu narodowej tożsamości utwierdzać, a bardziej temu, by usprawiedliwiać rozleniwienie i niemoc własną i bez umiaru winy wszelkie na „historię” zwälzać, jak gdyby „historia” była tylko dopustem Bożym, nie zaś własnym naszym współwytworem. Znamy wszakże od dziecka dzieje przemocy, najazdów, rozbiorów, okupacji, nikczemności wrogów i zdrady sojuszników i klątwę „geografii” chętnie przywoływaną na pamięć, tak chętnie, że „geografia” obok „historii” staje się drugim złowrogim szatanem naszego losu, choć przecież ludzka geografia tak samo przez ludzi jest tworzona, jak ludzka historia, albo raczej jest po prostu historią częścią.

Powie kto, że nieprawdą jest, byśmy się ustawicznie upajali i pocieszali zaletami własnymi, bo każdy z nas przecież ze szkol-

nej nauki zna legion tych mężów, którzy od wieków tak zwane „wady narodowe” ogniście piętnowali, a którzy w każdym pokoleniu, i dzisiaj także, pełno mają następców. Lecz rzecz na tym polega, że pomstowanie na „wady narodowe” to strawa mało pożywna, jeśli tak wolno powiedzieć, i do przyrządzenia najjaśniejsza. Bo i któż może nie przyklasnąć, gdy mu powiedzą, że należy zwalczać warcholstwo i sobiepaństwo, złodziejstwo i zawiść, nieład i niesprawność? Zróbmy sobie katalog „wad narodowych” — o wyliczeniu „zalet narodowych” jednocześnie nie zapominając — a każdy przytaknie. Lecz inaczej, gdy powiemy, żeśmy sami winni naszemu położeniu. „Cóż to znaczy? — odpowie niemal każdy. — Czyśmy mogli we wrześniu 1939 pokonać Hitlera sprzymierzonego ze Stalinem? Albo czyśmy mogli zapobiec podziałowi Europy wedle Jałtańskiego porządku?” Lecz są to zdradzieckie pytania, które istotne pytania maskują pozornymi oczywistościami i popolicie służą usprawiedliwianiu zgody naszej praktycznej na ucisk terażniejszy jako rzecz zgoła od nas niezależną i tak przez „historię” daną, jak ten oto fakt, że tu są góry, a tam morze. Uczyliśmy się także wszyscy o sporach XIX-wiecznych na temat „przyczyn upadku Polski”, wiemy to i owo o Lelewelu i o Bobrzyńskim, o Smoleńskim i Świętochowskim. Jakikolwiek jednakże były te przyczyny, nikt nie zaprzeczał prawie, że tkwiły one w instytucjach polskich, przez ten naród właśnie stworzonych. Lecz tu powstaje pytanie: czy odpowiadamy za swoich przodków, czy możemy sprawić, by nie było się stało to, co się stało właśnie, czy możemy uniknąć sytuacji, jaką zastaliśmy i w jakiej „Historia” nas postawiła?

Otóż tu dotykamy sprawy dziwnej. W pewnym mianowicie znaczeniu odpowiadamy za swoich przodków. Jeśli wierzymy w to, że naród jest realnością żyjącą i że przechowuje ciągłość swego trwania, wówczas musimy wierzyć, że naród dzisiejszy tak samo odpowiada za swoją przeszłość, jak pojedynczy osobnik odpowiada za swoją, to znaczy, że musi się kłopotać dzisiaj o spłatę długów wczoraj zaciągniętych z przekonaniem, że są to jego własne długi, nie zaś poczynione przez „historię” czyli przez Nikogo. Rzecz ma się podobnie jak z grzechem pierworodnym, który nietyle z ojca na syna przechodzi, co z pokolenia ojców na pokolenie synów.

Natychmiast dwa pytania się nasuwają. Po pierwsze, dlaczego mielibyśmy wierzyć w narodowy grzech pierworodny, tj. w dziedziczenie winy w skali narodowej, po wtóre zaś, gdybyśmy wierzyli — co z tego praktycznie wynika?

Na pierwsze pytanie tyle można odpowiedzieć. Z punktu widzenia wszystkiego, co racjonalnie o świecie możemy powiedzieć, każdy naród jest przypadkiem i nie znamy żadnych reguł

wyższych, nakazujących, by miał on w ogólności istnieć. Ale tak samo ludzkość jest przypadkiem i tak samo przypadkiem jest każdy osobnik ludzki. Z ściśle racjonalnego punktu widzenia nie podobna tedy uzasadnić, że ludzkość „zasługuje” na istnienie, a podobnie naród, a podobnie człowiek pojedynczy. Jednakowoż nie mamy innego oparcia dla wszystkich naszych praktycznych poczynań, jak ta właśnie wiara, że wartością jest ludzkość, że wartością jest naród i że wartością jest każde życie pojedyncze. Nie ma wielkiego pożytku w rozważaniu kwestii, w jaki sposób wiara ta daje się ugruntować, bo z góry wiadomo, iż ugruntować się nie da inaczej, jak tym oto praktycznym względem, że bez niej żyć niesposób, że nasze istnienie — jako ludzkości, jako narodu, jako osobników — jest nam dane z tą wiarą właśnie. Ale wierzyć, że zbiorowość narodowa jest warta obrony i życia, to wierzyć, że jest ona tworem ciągłym, którego przyszłość jest w każdej chwili w stanie niepewności i wahań, a przeszłość nie jest po prostu utrwalona niczym piosenka na taśmie magnetofonowej, lecz jest o tyle tylko, o ile stanowi ruchomy majątek, bezustannie współzyskujący z chwilą obecną i tylko przez tę chwilę obecną sensowny.

Na drugie pytanie trudniej odpowiedzieć, a ono właśnie jest najważniejsze. Jeśli naród jest aktywną wspólnotą kultury, jeśli więc żyje o tyle, o ile się czuje podmiotem tego życia, czyli odpowiada za siebie, to najskuteczniejszym sposobem zniszczenia narodu jest pozbawić go samego tego poczucia odpowiedzialności, sprawić, aby *uwierzył* w to, iż na skutek własnej bezsily albo małości albo okoliczności zewnętrznych zmuszony jest żyć tak, jak mu inni każą. Naród, który by uwierzył, że jest bezwzględnie pozbawiony wolności moralnej, straciłby wszelką nadzieję odzyskania jej kiedykolwiek. Więzień, który sądzi, że nie rozporządza już żadnym stopniem wolności, zostaje donosicielem lub prowokatorem, gdy go o to poproszą: niewiara we własną wolność wystarcza, by upodlenie stało się pełne.

Na walce z taką korozją duchową polega Sprawa Polska. Współcześnie korozja ta — to sowietyzacja Polski, która nie polega bynajmniej na ideologicznej indoktrynacji. Ten ostatni punkt jest ważny. Sowietyzacja może doskonale czynić postępy i urządzić się tam, gdzie nikt w ideologię sowietyzmu nie wierzy. W odróżnieniu od czasów nieco dawniejszych, doktryna urzędowa nie domaga się wcale wiary, żarliwości, wyznawców i fanatyków. Przeciwnie, sowietyzm podmywa skutecznie grunt narodowy tam, gdzie nikt, ale to nikt zgoła ideologii sowietyzmu na serio nie bierze i gdzie za pomyłką uchodziłby taki, kto by zdania, codziennie tę ideologię w gazetach wykładające, podawał za własne przekonania w nie-publicznych oznajmieniach. Sowie-

tyzm buduje się jako właśnie taka sytuacja, w której wszyscy wiedzą, że nic nie jest i *nic nie może być* „naprawdę” w mowie publicznej, że wszystkie słowa utraciły pierwotny swój sens i że dziwić się temu nie należy, że można karalucha nazwać słowikiem a pietruszkę nazwać symfonią, wówczas zaś zgrozę i osłupienie budzi odkrywca, który karalucha karaluchem nazwie, a pietruszkę pietruszką. Tam właśnie sowietyzacja zbiera żniwo, gdzie za wyczyn umysłowy i moralny albo za ekstrawagancję szaleńczą uchodzi publiczne użycie słów w ich zwykłym znaczeniu; gdzie jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, iż mowa publiczna nie ma zgoła nic wspólnego z „prawdziwym” życiem, a prawdziwe życie to: błoto na ulicy, kaszanka na talerzu, podanie o mieszkanie, podwyżka, obniżka, jabłka podrożały, nie dać sobie świni podłożyć, nie ma frajerów, urwać, poderwać, zarwać, wyrwać, podłapać, załatać, kac, lekarstwo, pogrzeb.

Jeśli życie prawdziwe wyczerpuje się w powszedniej krzątaninie i powszedniej udręce, a rytualny frazes pozbawiony semantycznej wartości, unieruchamia i zastępuje myśl wszelką i jeśli nikt się już temu nie dziwi, sowietyzacja jest spełniona. Zwolna przestajemy się dziwić. Nie zdziwimy się przecież, jeżeli jutro Rosja w imię marksizmu-leninizmu wzywać będzie Europę do obrony białej rasy przed żółtym niebezpieczeństwem, a Chiny w imię marksizmu-leninizmu zachęcać będą Stany Zjednoczone do wspólnej walki z wielkorosyjskim imperializmem Kremla. Degradacja mowy publicznej, gdyby przyjęta została jako trwały składnik życia i gdyby udała się całkiem, oznaczałaby śmierć każdej zbiorowości, również zbiorowości narodowej i byłoby tak nawet wtedy, gdyby mowa życia codziennego przechowywała swój autentyzm. Wówczas bowiem mowa służyłaby przekazywaniu prawdy tylko w prywatnie małego życia, ta zaś mowa, która jest niezbędnym narzędziem kulturalnej wspólnoty, przestałaby istnieć, wyparta bez reszty przez co dzień inny, a zawsze trupio sztywny hałas obrzędowych zaklęć i egzorcyzmów. Naród straciłby narzędzie, w którym wypowiada zbiorową swoją świadomość, utraciłby przeto poczucie, że sam jest podmiotem stojących się dziejów własnych, czyli — co na jedno wychodzi — przestałby być tym podmiotem faktycznie. Nie twierdzą, że tak już się stało, ani nawet, że już jesteśmy na progu śmierci, ale nacisk, co zmierza do wyjąłowania słowa polskiego i odebrania go Polsce, nie ustaje ani na chwilę i bynajmniej nieskuteczny nie jest.

Oto, w jaki sposób wynarodawiać się można niepostrzeżenie prawie, nie tracąc, ściśle biorąc, mowy ojczystej, ale tracąc wartość mowy jako narzędzia narodowego trwania, odzierając mowę publiczną z sensu i oddając w ręce cudze. Sowietyzacja nie wymaga rusefikacji w znaczeniu dawnym, gdyż sowietyzacja sama

Rosję wynarodawia i samych Rosjan wyzuwa z ich ojczyzny, z historycznej ciągłości, z języka jako spoiwa narodowej świadomości. Niezrozumienie tej różnicy, a wobec tego traktowanie sytuacji współczesnej Polski jako pewnego wariantu — mniej czy bardziej złagodzonego — epoki rozbiorowej, jest jednym z głównych błędów patriotycznego piśmiennictwa polskiego.

Lecz cóż to wszystko praktycznie znaczy? Spróbujmy najpierw odpowiedzieć przez negację, odmawiając mianowicie wiary w skuteczność tych haseł, jakie najpospoliciej się słyszy z ust tych, co o Sprawę Polską się troszcza. Te hasła: „przetrzeć”, „przechować kulturę narodową”, „zachęcać do pracy porządnej, uczciwości, solidności” — nie są skuteczne, a przy pewnym ich rozumieniu zgoła niebezpieczne. „Przetrzeć” bowiem sowietyzmu nie można w takim sensie, w jakim można przeczekać powódź siedząc na drzewie i wypatrując pomocy. Powódź sowietyzmu ani opadnie z czasem sama, ani można się z niej ocalić przez pomoc zewnętrzną. Zapewne porównanie z powodzią jest niefortunne: mówmy raczej o pustynieniu, którego zaiste przetrzeć nie można. „Przetrzeć”, jeśli tyle znaczy, co „przezczekać”, jest hasłem zgubnym, bo wzywa do niczego. A i hasło „przechować kulturę narodową” jest dwuznaczne. Kultura narodowa nie jest wszakże złotą sztabą, którą można w ziemi zakopać i po latach nietkniętą wydobyć, nie jest także zabytkiem muzealnym albo biblioteką chwilowo nieczynną. Jest formą aktualnego trwania narodu. Przechować ją można tylko jako kulturę żyjącą, a więc tylko w opozycji przeciw degradacji mowy publicznej, przeciw redukcji życia do prywatności powszedniej, przeciw próchnieniu wszystkich spontanicznych krystalizacji życia zbiorowego nie dekretowanych nakazem. A to wszystko jest karalne lub podejrzane. Kultura narodowa nie przechowywania wymaga, ale obrony czynnej i w złej wierze żyje ten, kto powiada, iż nie wie, co to znaczy.

A nawet wezwania do porządnej pracy, do fachowości i uczciwości mogą być dwuznaczne, choć wydawałoby się, że nic w tej sprawie powiedzieć nie można. Są dwuznaczne przez przemilczenie. Zakładają bowiem, że buduje się naród budując porządnie fabryki; lecz sens każdej fabryki zależy od sensu, jaki naród przypisuje własnemu istnieniu, nie zaś odwrotnie; naród nie może zdobyć poczucia sensu swej egzystencji przez sam fakt zbudowania fabryki, skoro skądinąd cały system społeczny ku temu zmierza, by mu ten sens odebrać (pomijając już trywialną prawdę, że porządna praca i uczciwość nie rodzą się z wezwań, ale z warunków społecznych, które uczciwości sprzyjają, że uczciwość nie może być karalna itd.). Hasło pracy porządnej żadnego

sensu dla bytu narodowego nie zawiera, bo i porządna praca może służyć nikczemnym celom; kapuś policyjny może także porządnie lub nieporządnie rzemiosło swoje uprawiać. Żalose są wieczne apele o pracowitość — jakby pracowitość mogła ocalić naród niezależnie od tego, czy wierzy on czy nie wierzy we własne istnienie, jakby uczciwość w imię celów narodowych mogła się rodzić bez świadomości tych celów, jakby mogła budować się Polska nie myśląc o tym, czym jest albo zgoła pogodzona z tym, że przestała być podmiotem własnego życia, czyli że życie to utraciła.

Lecz wreszcie: cóż to znaczy praktycznie? Żyć w godności. *Risum teneatis*. To nie jest program polityczny. To jest tylko nazwa dla rdzenia, który czyni naród zdolnym do wolności i który, gdy zgnije, odbiera mu do wolności prawo. Nie ma żadnego zręcznego sposobu, żadnego pomysłowego wynalazku, który by szybko i radykalnie zmienił nasze położenie. Gdyby mógł istnieć program polityczny zdolny skutecznie i rychło wydzwignąć Polskę ku wolności, byłby on dawno i przez wielu napisany. Treści nowych programów czy pomysłów politycznych nie są same przez się istotne. Mimo to jest istotne, by myśl polityczna nie obumarła, a w obliczu presji, która ma świadomość narodową uśmiercić, stokroć lepsza jest myśl polityczna fałszywa, niż żadna, bo każde myślenie wyrosłe z prawdziwej troski o Sprawę Polską sprzyja tej sprawie. Są w Polsce niewyschłe ciągle łożyska, którymi płynie tradycja dawnych formacji politycznych: socjalistycznej, endeckiej, katolickiej, a nawet — w znikomym stopniu — komunistycznej. Jesteśmy w położeniu tak ciężkim, że istnienie wszystkich tych łożysk jest ważne, o ile są możliwymi skupieniami świadomości narodowej i nie są przedmiotem manipulacji ze strony grup czy klik panującego aparatu (jak to się stało, na przykład, z tradycją oenerowską, czego wszakże żałować nie należy). W sytuacji, w której największą groźbą jest kruszenie wszelkich form spontanicznej krystalizacji samowiedzy polskiej, wszystkie one są ważne — nie dlatego, by treść tych różnych i skłóconych tradycji miała „minimum wspólne”, ale tylko dlatego, że ważne jest wszystko, co rozbudza wolę utrzymania narodowej godności przeciw trądowi desperacji, rezygnacji, zobojetnieniu, zgody. Wszystkie są ważne, o ile uprzytomniają nam, że Sprawa Polska nie na tym polega, by kulturę narodową przechować, ale by nią być. We wszystkich organicznych krystalizacjach kultury przechowuje się życie narodu. Lepiej zaiste, by były sekty rozpustników wierzące w rozpustę jako środek zbawienia i sekty ascetów wierzące w ascezę jako środek zbawienia, niż, by cały naród był martwym wyczekiwaniem na coś, co nigdy nie nadejdzie, gdy będzie tylko wyczekiwane.

„Żyć w godności” nie jest próżnym sloganem, ponieważ każdy wie — każdy bez wyjątku — jak wielki jest nacisk, który ma go godności pozbawić; każdy wie, kiedy przechowuje godność, a kiedy ją traci i mało jest tych, co w dobrej wierze ośmielają się powiedzieć, że godności w żadnych warunkach nie utracili, że za cenę jej ocalenia oparli się wszystkim drobnym i dużym lękom, drobnym i dużym oczekiwaniom. Kto sobie nie kłamie, wie doskonale, czym jest ocalenie godności jednostkowej, bo drobnym i większym próbom poddawany jest często. Dla narodu „żyć w godności” tyle oznacza, co uznać na serio, że naród może zginąć tylko z własnej bezwoli, że nie może — pod pretekstem, iż jest małolichny, osłabiony, zewnętrzzną siłą zniewolony — wyrzekać się swojej woli bycia dla siebie podmiotem; że uprawnienie narodu do bycia sobą nie przedawnia się, chyba za jego zgodą. Postanowić, że tylko z własnej bezwoli — to znaczy z własnej woli — możemy zginąć, to uczynić prawdą treść tego postanowienia. Apele o pracowitość i piętnowanie „wad narodowych” są jałowe albo zgoła mylące, jeśli wypowiada się je przy milczącym założeniu, że można budować i odbudowywać naród pogodzony z własnym zniewoleniem i własną bezsiłą.

Żyć w godności, to postanowić, że istnienie narodu polskiego rozstrzyga się w tej chwili za sprawą Polaków w Polsce żyjących, a nie mających ani własnej polityki zagranicznej, ani armii, nad którą by suwerennie panowali, ani swobody w zmienianiu instytucjonalnych form życia społecznego, ani wpływu na międzynarodowe przetargi i układy między mocarstwami. Można, oczywiście, utracić godność nie tracąc rozumu, a z rozumem — zdolności do ironii; można więc umrzeć bez godności w konwulsjach bezsilnego śmiechu. Żyć w godności natomiast nie jest sprawą śmieszną, ani niekłopotliwą. Trzeba bowiem w osobliwy sposób ponosić odpowiedzialność nawet za tych co godność wszelką utraciwszy, a nie utraciwszy politycznych pozycji, innych chcą zachęcać do wyzbycia się godności; bo i oni, na swój sposób szmatławy, należą do tego narodu i są jego tworem.



Tyle powiedziawszy, zatrzymałem uwagę na ważnym a fałszywym tropie, na który mimowiednie mogłem zepchnąć myśl. Kiedyś powiedziałem bowiem, że nie są ważne treści nowych pomysłów politycznych, a ważny jest sam fakt, że myślenie o sprawach ogólnych nie umiera, łatwo mogłem ściągnąć na siebie podejrzenie, iż powtarzam innymi słowami hasło czartoryszczyków z po-listopadowych debat „najpierw być, a potem jak być”, a więc hasło, które liczy na wspólnotę w imię ogólnonarodowych celów

odkładając na czas nieokreślony te wszystkie sprawy, które naród nieuchronnie dzieli na konserwatystów i radykałów, prawicę i lewicę, socjalistów i narodowców i jak tam jeszcze. Wypada przeto powiedzieć, dlaczego takie hasło odrzucam.

„Jedność narodowa” nie istniała nigdy i — zdrowym rozsądkiem rzecz sądząc — nigdy nie będzie istniała, chyba jako pozór groteskowy, wymuszany przez despotyczny ustrój, albo jako ideologiczne zawołanie służące maskowaniu konfliktów przez jedną ze stron konfliktu. Odnosi się to równie dobrze do wszystkich krajów świata. Nie było takiej jedności w Polsce nawet za hitlerowskiej okupacji, a więc gdyśmy byli na dnie udręki i upokorzenia narzuconych przez zewnętrzną przemoc. Złudzenie jedności pojawia się z rzadka w chwilach, które zdają się rozwiązaniem dotkliwych kryzysów, jak w październiku 1956; lecz nawet w takich chwilach nie wszyscy w złudzeniu uczestniczą (w październiku nie uczestniczyła w nim przynajmniej część politycznego aparatu wroga zmianom, a także, choć z innych powodów, pewna ilość ludzi trzeźwych, którzy zmiany popierali); co najważniejsze zaś, złudzenia takie mają żywotność rzędu kilku dni lub kilku tygodni i nieuchronnie pryskają pod ciężarem odnawiających się walk między sprzecznymi interesami. Kiedy sprawa ogólnonarodowa przysłania w naszych oczach wszystkie inne i pomniejsza konflikty społeczne do ledwo widocznych rozmiarów, wyobrażamy sobie łątko, że możemy się „na razie” o jedno tylko troszczyć. Podobne złudzenia wywołuje w naturalny sposób oddalenie czasowe lub przestrzenne. Czasowe oddalenie sprawia, że w jakiejś epoce historycznej, już zamkniętej, różne siły i różne prądy, wrogie sobie ówczesnie, zdają się z naszej perspektywy przyczynkami do jednego dzieła (jak w znakomitej książce Bohdana Cywińskiego). Podobnie działa przestrzenne oddalenie na postrzeganie rzeczy terazniejszych, łatwo rodząc ów obraz symplifyzyczny, pospolity w polskiej emigracyjnej publicystyce, obraz zniewolonego narodu jednakowo doświadczającego swoje zniewolenie i jeśli podzielonego, to najwyżej na garstkę zdrajców i masę patriotów. Jak bardzo jest to obraz zniekształcony, wiadomo wszystkim, co, czy w Polsce żyjąc czy w nie-Polsce, zadają sobie trud myślenia o narodzie jako całości, lecz całości podzielonej między mnóstwo interesów rozmaitych i często skłóconych wedle kryteriów najróżniejszych oraz, między innymi, uprzytomniają sobie jak znaczona jest w Polsce ilość interesów konserwatywnych, tj. zainwestowanych w przedłużanie istniejącej sytuacji.

Otóż ta perspektywa, która sprawą ogólnonarodową wszystkie konflikty pomniejsza, jest pod pewnym względem usprawiedliwiona, pod innym zaś myląca i niebezpieczna. Usprawiedliwiona jest w historycznym spojrzeniu (jak w książce właśnie

wspomnianej), dopóki nie posługuje się ono fałszerstwem i przemilczaniem, tj. dopóki nie usiłuje po prostu walk i skłóceń minionych zatajać, a próbuje tylko ukazać, że na przekór tym walkom różne zwalczające się siły produkowały wartości, które *później*, niezależnie od tego, że były tworzone z pewnej ograniczonej i partykularnej perspektywy, okazywały się płodne i owocowały jako wartości powszechnie nadające się do asymilowania. Tak przecież jest naprawdę. Naprawdę nie popada w sprzeczność ten, kto dzisiaj — w uproszczeniu mówiąc — ceni sobie zarówno pisarstwo Sienkiewicza jak Żeromskiego, chociaż, gdybyśmy zredukowali tych pisarzy do gołych treści ideologicznych, jakie przekazywali, to jasne jest, że ci, którzy żyli lat temu sześćdziesiąt, nie mogli bez sprzeczności przyjąć tych treści łącznie. Jest naturalne i jest usprawiedliwione takie postrzeganie historyczne, które inaczej waży zdarzenia, niż je ważyli współcześni tym zdarzeniom; oczywiście jest bowiem, że ci, co później żyją, nie mogą udawać, iż nie jest im wiadome, co się stało po zdarzeniach przez nich opisywanych, nie mogą zająć stanowiska ludzi, dla których przyszłość — dla nas już przeszłością będąca — była niewiadoma; muszą zdarzenia selekcjonować, a to znaczy wyróżniać wedle ważności, muszą zatem nadawać im sens, którego współcześni nadać nie mogli.

Lecz to samo, co usprawiedliwia stosowanie perspektywy ogólnonarodowej w historycznej percepcji w stosunku do czasów zamkniętych, ogranicza znacznie (choć nie unieważnia) stosowanie takiej samej perspektywy względem percepcji bezpośredniej. Nie można być naprawdę historykiem terażniejszości, tj. nie można oceniać wagi i sensu tego, co się dziś dzieje z perspektywy wyników, jakie się za pół wieku ujawnią, a w każdym razie współczynnik niepewności przy próbach takich ocen jest olbrzymi: ważność wydarzeń i kryteria oceny mogą być postanawiane, lecz nie podbudowane znajomością następstw. Jeśli powstaje konflikt postaw społecznych, to uczestnicy tego konfliktu nie są w stanie na serio powiedzieć sobie, że z perspektywy stulecia oni i ich przeciwnicy będą tak samo w oczach potomków wyglądać na kooperantów jednej sprawy. Mogą tylko powiedzieć sobie, że uważają chwilowo ów konflikt za mniej ważny, aniżeli jakiegoś składniki, w których ich punkty widzenia się pokrywają.

Wydawać się może, że tak właśnie teraz się dzieje. Wydaje się nam nieraz, że na dwóch ogólnych słowach „demokracja” i „niepodległość” możemy poprzestać, nie wyjaśniając ich bliżej i odsuwając nieuchronne konflikty, jakie wyłonić by się musiały przy ich bliższej eksplikacji, w nieokreślonej przyszłości. Wydawać się tak musi tym bardziej, że znaczna część konfliktów przeszłości stała się bezprzedmiotowa i że w konfrontacji interesów

współczesnych nie możemy na ogół (prócz bardzo prostych wypadków) stosować kryteriów podziału, na przykład, na lewicę i prawicę albo na konserwatyzm i radykalizm, opierając się na historycznej tradycji (piszący niniejsze przed wielu laty sam usiłował takie kryteria formułować; było to może stosowne dla potrzeb ówczesnych podziałów politycznych, lecz już aktualność straciło). Słowo „socjalizm” zostało zohydzone i przymiotnik „narodowy” został zohydzony, a ci, którzy by do obu słów zarazem chcieli sięgać, otrzymują, jak ze sztuczki magicznej, „narodowy socjalizm”, a narodowy socjalizm to tyle właśnie co sowietyzm (żeby już na chwilę o hitlerowskim słowniku zapomnieć). Któż jest w Polsce „na lewicy”, kto „na prawicy”? Kto jest „socjalistą”, kto „narodowcem” i wedle jakich kryteriów? A jednak tradycyjne, odziedziczone jeszcze z ubiegłego stulecia podziały żyją nadal w podziemi kultury narodowej i gotowe są w momencie gwałtownego kryzysu ujawnić się znowu, chociaż wymagają innych słów i chociaż sprawy, wokół których rozgorzeją konflikty, nie będą te same. Nie będą te same, ale będą się układać zapewne w podobne struktury. Nie ma bowiem powodu, by nie dzielili się ludzie, jak w przeszłości, na tych, dla których ważniejsze są swobody, które pozwalają się ujawniać sprzecznym interesom i tych, dla których ważniejsze są wymuszone pozory narodowej jedności; na tych, co w poszczególnych sprawach optować będą za rozwiązaniami, które obiecują więcej równości i tych, co nie chcą równości osiągać kosztem zwiększonego przymusu; a także na sceptyków i entuzjastów, na wierzących i nie wierzących w „postęp” albo wierzących i nie wierzących w Boga. Powiedzenie, że wszystkie te podziały „na razie” nikną w obliczu spraw najważniejszych, jest niebezpieczne, bo nie można o sprawie polskiej myśleć nie myśląc o wszystkich potencjach konfliktu, jakie się w niej zawierają.

Lecz nadal, po tym wyjaśnieniu, podtrzymuję to, com powiedział: że treści nowych pomysłów politycznych nie są same przez się ważne, a ważne jest, by myślenie polityczne nie obumarło. Rozumiem to zaś tak, że konfliktowe stanowiska mają wszystkie inny sens tam, gdzie mogą się na powierzchni życia publicznego ujawniać i inny w warunkach despotyzmu, który do ich ujawnienia nie dopuszcza. W tym drugim przypadku sens wszelkiego myślenia politycznego jest określony również, i w znacznym stopniu, przez sam fakt, iż jest to myślenie polityczne, określony jest zatem przez to najpierw, iż myślenie takie się w ogóle pojawia, a później dopiero przez to, jakie jest mianowicie. Myślenie polityczne samo jest aktem sprzeciwu przeciwko sytuacji, która myślenie uśmierca. W tym znaczeniu wszystkie formy myślenia politycznego przyczyniają się do pewnej sprawy wspólnie, a to

przez to, że istnieją po prostu. Ponieważ jednak muszą one mieć także treść pewną, okazą się niechybnie w konflikcie, jeśli tych form będzie więcej niż jedna. W końcu więc: nietylko przez to akty myślenia politycznego przyczyniają się do wspólnej sprawy, iż treść ich do pewnego stopnia musi się pokrywać, ile przez to, że wszystkie samym swym byciem niszczą monopol słowa publicznego, który sobie rządzący aparat przywłaszcza.

Wolno nam wierzyć w jedność narodowej tradycji, o ile pamiętamy zawsze, że jest to jedność pojawiająca się tylko z naszej perspektywy, ludzi, co przyszli później, że więc jest jednością projektowaną, nie zaś zawartą w doświadczeniu aktorów historycznych zdarzeń. Nie wolno nam natomiast wierzyć w jedność narodową jako realny stan rzeczy, teraz czy w przyszłości — i to bez względu na to, jak bardzo sprawa ogólnonarodowa przytłacza inne konflikty. A równie zgubna jest wiara w samowystarczalność narodowej kultury, a wiara taka (obym się mylił) zdaje się w Polsce rozszerzać; wartości narodowej kultury ujawniają się bowiem dopiero w międzynarodowej konkurencji; produkcja kulturalna skupiona na dziedzinach gdzie konkurencji nie ma, może być, oczywiście, wielkiej wartości, lecz gdyby wszystko co wartościowe w kulturze miało właśnie w tych dziedzinach powstawać, a więc było faktycznie nieprzenośne i niezrozumiałe (a przynajmniej nieinteresujące) dla innych, kultura sama skażałaby się na skartłowacenie.

Leszek KOŁAKOWSKI



ZESZYTY HISTORYCZNE

KWARTALNIKIEM

23 *Zeszyt Historyczny*, który ukazał się na początku lutego br. jest pierwszym, który ukazuje się jako kwartalnik. Następne *Zeszyty* ukazały się na początku maja, sierpnia i listopada br.

Zeszyty będą się ukazywały w dotychczasowej objętości tj. 240 stron każdy.

Zeszyty Historyczne będą w dalszym ciągu poświęcone zagadnieniom związanym z najnowszą historią Polski oraz — w miarę możliwości — historii krajów wschodnio-europejskich.

Liczymy na pomoc naszych Przyjaciół i Czytelników nie tylko w zdobywaniu nowych prenumeratorów, ale także w pracy redakcyjnej. Apelujemy przede wszystkim o nadsyłanie nam dokumentów, książek i ważniejszych wycinków dotyczących Polski i Europy Wschodniej. Pomoc naszych Czytelników krajowych może tu być najbardziej cenna.

Spodziewamy się również życzliwej pomocy i współpracy wszystkich historyków polskich i wschodnio-europejskich mieszkających stale lub przebywających przejściowo na Zachodzie.

Prenumerata roczna wynosi: — F. 80,00 (dol. 17,00; £.stg. 7.00).

Prenumerata ulgowa dla prenumeratorów KULTURY:
F. 70,00 (dol. 14,00; dol.A. 12,00; £.stg. 6.00).

Każdy kto zdobędzie nowego prenumeratora *Zeszytów* otrzyma bezpłatnie „Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego, które ukazały się w „Bibliotece Kultury” w lutym bież. roku.

Drzewo szczepione patosem

1. Korespondencja ta przeszła swój kryzys, bo zapasy obserwacji wydały się już zużyte i wyczerpał się zasób form, które tu pasowały: wprawdzie nie oznaczało to wyczerpania samych zagadnień, do tego wciąż daleko i nawet, jak lud mówi, dalej niż bliżej — nie — po prostu oznaczało to wyczerpanie ograniczonej z natury zdolności zgłębienia tych spraw przez pojedynczego obserwatora. Jednocześnie, żeby było gorzej i głupiej, bynajmniej się nie urwała chęć pisania — co w tych okolicznościach trzeba było potraktować jako aspirację grafomańskie i chyba słusznie, zauważmy, że między grafomaństwem a uczciwym dziełem pióra dystans jest niewielki i należy bardzo uważać, pilnować momentu, gdy pisać już nie ma o czym, a nawyk pisania wciąż jest i dokucza — to ostatnie bywa przeważnie dłuższe od linii myśli i zgromadzonego materiału.

Pisać — nie pisać? — postawienie sprawy, któremu nie można zarzucić, a z rozterki tego rodzaju wynikła przerwa chyba czternastomiesięczna; ocena sytuacji w roku zeszytów również zalecała ostrożność, w Polsce uformował się wtedy jakiś międzystan, urojony przez nas czy faktyczny, w każdym razie był to pewien moment namysłu — czego zakłócać się nie powinno, bo to nie nowe kierownictwo się namyśla, tylko społeczeństwo, które żywi niewielką nadzieję i udziela niewielkiego kredytu.

A jeszcze te wątpliwości co do stosowanej w tej korespondencji formy: nigdy to nie były artykuły związane i spointowane, brakło im aerodynamicznej budowy i w ogóle charakteru pocisku, formowały się bez zaleceń i prawie bez dydaktyki — więc co to może być warte, nasuwało się to pytanie, co to może być warte w czasach takiego bezładu, gdy się od publicystyki żąda

prognostyków i stawiania kabały. U Ionesco gdzieś stoi czarno na białym (a Ionesco to dziś jeden z niewielu możliwych do przyjęcia autorytetów), że żadna twórczość w żadnym razie nie jest serią odpowiedzi, zawsze jest to ciąg pytań, na które się odpowiedzi nie oczekuje: może nie ma co nastrajać się w publicyście według tego kamertonu, ale otóż żadnej w gruncie rzeczy pewności nie ma, że się nie warto tak wysoko nastrajać — w każdym razie trudno w sobie wzbudzić stosunek serio do kabalistyki, trzeba mieć do tego usposobienie i abstrakcyjny umysł szachisty. Listy niniejsze do *Kultury*, monolog wysyłany za ścianę do odbiorcy, którego istnienie fizyczne nie całkiem jest potwierdzone a raczej wydedukowane — nigdy prawie nie były próbą rozwiązywania zagadnień, tylko przeważnie maniakałnym nawracaniem do nich, do zagadnień a nawet, w większym stopniu, do gniazd zagadnień, do tego matecznika naszego wracać można w nieskończoność. Teraz, gdy zapadła decyzja pisanja, nasunęła się inna, jakby z drugiej, zakrytej dotąd strony, kwestia: — Czy można w ogóle inaczej niż w formie monologu i nawracania do tych samych motywów?

Jeżeli się w tę grę nie wprowadzi czynnika wielkiej cierpliwości, to ów autorski kryzys zaufania do formy będzie się powtarzał, bo to już w założeniu przedsięwzięcie beznadziejne, irytująca ciągłość i dręcząca ilość, założenie takie samo jak przy fotografowaniu krajobrazu z pędzącego pociągu, który jedzie dni i noce. Sprawozdania mają charakter filmowy, tylko że kleić tego i ciąć, jak czynią filmowcy na stole montażowym, w tym konkretnym położeniu nie ma sposobu, film się wysyła kawałkami, kawałkami. Pamiętnikarzenie. Wartość doraźna tego nie może być zbyt frapująca, drukując nadsyłane kawałki Redakcja wykazuje wiele cierpliwości — cierpliwość Redakcji i cierpliwość autora to dwie linie nie całkiem równoległe, które się jednak nigdy nie zejdą — zresztą na wyczekiwaniu i magazynowaniu zasada się robota *Kultury*, jest to może lombard, którego pracownicy — tak jak autor ze swojej strony — uchylać się nie mają prawa od ciągłości i ilości, choćby najbardziej dręczących.

A jednak słowa „pamiętnik” niebardzo się ma ochotę wprowadzać do tytułu listu, bo dziś tego rodzaju tytułom nie łatwo się obronić przed zarzutem pozy czy wręcz mizdrzenia się, skóra nieco cierpnie, gdy się znowu widzi jakiś „Dziennik pisany nocą”, najgorsze są zbyt wybitne precedensy, Gombrowicza przeskoczyć nie można, albo inaczej powiedzmy — najgorszy jest brak prostoty w człowieku i pozbawione rozumu, pozbawione godności notoryczne oglądanie się na lewo, prawo, do tyłu, ale cóż zrobić. Sprawa „pamiętnika” jest do wyjaśnienia, trzeba to tylko potraktować nie jako nazwę, lecz głębiej, jako realne zagadnienie wy-

boru formy, niekoniecznie w Gombrowiczowskim znaczeniu i bez stosowania jego korkociągów, a oto dlaczego: artykuł prawie zawsze sam się kształtuje na korzyść założenia, pod koniec artykułu następuje charakterystyczne przyspieszenie i wszystko leci jak woda do wchłaniającej dziury zlewu. Zrobiliśmy przecież odwołanie do otwartego myślenia typu Brzozowskiego, to zobowiązuje, taka metoda myślenia wymaga formy o wiele mniej zamkniętej, to wieczysty pamiętnik, w naszej sytuacji wygląda to na formułę najuczciwszą i najbardziej realistyczną, bo to wzór niedokończony, jak sprawy, którym sekundujemy.

Życie to, takie jakie ono jest, od lat iluś tam... wzbogaca i komplikuje świadomość czasu — nie ta amatorska świadomość odrywająca się od przypadku do przypadku, specjalistka od płochu, ale inna, naciskająca z bliska, tuż koło skóry; jest to stałe wyczuwanie wartości umykającego się czasu: zresztą w dowolnych odcinkach, które można sobie tak czy owak zaproponować do oceny, więc chwila, czy pół roku, albo owe czternaście miesięcy domagające się wpisania do pamiętnika. Jednym z zadań nie ulegającym wątpliwości, w danej sytuacji, jest badać i notować charakter odrębny polskiej niewoli, która nie jest niewolą: robić wszystko, żeby ujawnić charakter bez precedensu tej jakby-niewoli i jakby-okupacji, bo nie jest to *de facto* ani jedno ani drugie, jest to coś wegetującego w pasie zerowym, w niczym pasie semantycznym — z braku wyrazu, z BRAKU WYRAZU! Patetyczna sytuacja różnorodnego zespołu faktów czekająca na nazwę i na wciągnięcie do słownika, do czego zaprząć należy wszystkich znawców i praktyków ojczystego języka — używanie stereotypów w rodzaju okupacja i niewola jest niewybaczalne u pisarzy, to dyskwalifikuje zawodowo i gdy literaci z prawdziwego zdarzenia folgują sobie w różnych fazach artykułów, to jest oburzające i szkoda, że tylko bardzo rzadko można dać wyraz swojemu oburzeniu.

2. Akurat Pewna Pani przyjezdna — z bogatych okolic pozaeuropejskich — spytała nas arogancko, co jest istotnie atrakcyjnego i autentycznego (miała w każdym razie to pojęcie na myśli) w naszym kiepsko rządzonej i pod tyłoma względami skrzepowanym kraju? Domagała się natarczywie: wszystko to dobrze, ale pomijając to i owo i dziesiąte, te wcześnie pół-darmo na Mazurach i pełne teatry i fakt, że nikt nie głoduje a nawet psy wprowadzane na spacer nieźle sobie używają tropiąc na różnych skwerkach rzucane przez młodzież sute śniadania w woskowanym papierze — co, prócz takich i tym podobnych faktów, każe wam ten kraj i jego stosunki uważać za własne, dlaczego to za swój los uważacie, za przedmiot swoich prac? Trzeba się było zdobyć

na wysiłek, pytanie było ważne, choć takie jakieś nielojalne i niegrzeczne, bo wszyscy wiemy doskonale, że życie tu jest autentyczne oraz istotne, tylko się nie da tego od razu wyjaśnić, do diabła! Proszę pani, próbowało się odpowiedzieć, proszę pani, to życie tutaj jest pełne, czy też może nie całkiem pełne, z różnymi u b y t k a m i — które jednak, kto wie, może nawet mają właściwości stymulujące, choć czasem działają jak niewykryta choroba — w sumie jest to życie dostatecznie pełne, żeby być życiem zobowiązującym do tysiąca prac codziennych i nie tylko do takich, także prac refleksyjnych to życie się domaga. Jest ono faktem najprawdziwszym — minus Dezinformacja, minus Oprejsja i minus przymus Dobrej Miny Do Złej Gry, o czym warto by osobno napisać, i mimo, że cechują je różne ucieczki odbywające się w naszych głowach. Naturalnie jest to ruch potwornie ograniczony, aż do śmieszności, co różnym drogim, jak to się mówi, gościom zza granicy, nadzianym i manipulującym automatycznymi paszportami daje powód do kpin, albo do wyrazów litości, co jest całkiem nieznośne. Nabijają się z tego zdeterminowanego ruchu w naszych głowach, bo sądzą, że proste porównanie proporcji daje im do tego prawo: nie, proszę pani, ruch w głowie najbardziej ograniczony nie jest jednak bezruchem, ma swoją skalę, co jak wiadomo, o jego wartości decyduje.

Powyzsza kontrowersja z palca nie jest wyssana, w lecie zeszłego roku musiałem przez pewien czas towarzyszyć takiej właśnie miłej pod każdym względem pani, całkowicie odpowiadającej modelowi tak zwanego u nas drogiego gościa zza granicy (najlepiej zza Atlantyku) i sporządzam tu tylko sumienny wyciąg z szeregu dobrze przeze mnie zanotowanych rozmów, wreszcie należy to zjawisko przyłapać i zapisać. Owszem, była to osoba właśnie zza Atlantyku, tylko że, jak na złość, nie ze Stanów, ale z Argentyny — gorzej się mieszczącej w naszej optyce, trochę nie pasującej do naszych, być może naiwnych, wyobrażeń o skryzalizowanej cywilizacji dolarowej.

Wizyty drogich gości zza granicy czekają na swego Thackeraya, w każdym razie wypadek w wersji żeńskiej, do którego czyni się tu aluzję, dostarczył solidnych materiałów, może dlatego właśnie, że była to wersja żeńska, że usta tej osobie prawie się nie zamykały i że miała w walizkach kilkanaście pudeł przezroczyste, ale przezrocza te musieliśmy oglądać pod światło, bo w domu nie było ekranu i projektora, co wywołało zdziwienie i szybkie kiwanie głową — zbyt szybko odbył się ten proces od zdziwienia do potakiwania, co od razu sobie zanotowałem. Były to fotosty domy z miastem, wozu naturalnie, a także, ogrodu i dwóch psów czy piesków należących do rasy, jakiej „u was nie ma”. Następnie, w postaci komentarza do tej sceny ze *slide*'ami, gdy

już ramiona bolały — ile co kosztuje. W dolarach, bo to jest zadziwiająco-epatujące, każdy Polak z kraju przelicza swoje niesłychane pomniejszenie w dolarach operując fałszywymi relacjami według anormalnego czarno-rynkowego kursu. I wreszcie roztrajkotała się o podróżach, to jest drugie narzędzie pomniejszania, o bajecznych podróżach w ramach jakichś klubów Morza Śródziemnego do krain znanych jedynie ze znaczków pocztowych, a mówiąc między nami od krain tych właściwie nie wymagało się odtąd realnego istnienia.

Uwieńczone to bywało — w tych i innych okolicznościach — aroganckim pytaniem o prawdziwość naszego życia, na co, gdy szok minął, odpowiadało się grzecznie i z przygnębieniem: życie to, proszę pani, żeby się nie rozwodzić, polega przeważnie na dwóch typowych postawach: na opieraniu się, albo na poddaniu się. To pierwsze jest rzadkie i nie liczy się społecznie, nie liczy się w stosunku do liczby ludności PRL, tak właśnie, jak się w stosunku do wspomnianej liczby nie liczy fakt posiadania przez tego i owego własnej willi na Mokotowie. Ale dlaczego mamy rozmawiać o postawach typowych, nic nas do tego, chwala Bogu, nie zmusza i tym bardziej to niestosowne, że w tym, co warto by tu na wierzch wyciągnąć — nie ma nic typowego ani statystycznego: jest to dziedzina postaw głębszych i może marginesowych, które na rubieżach tego życia pełnią stałą wartość honorową, w ogóle są to zagadnienia z dalszego planu moralnego i nie wiemy, obawiamy się, czy to dla pani, z jej miejsca, nie jest za daleko. I poza tym, proszę pani, poza tym ten t r z e c i żywioł — poza opieraniem się i oportunistycznym — wart jest solidnej oceny, niesłychaną do tego przykładamy wagę, to żywioł prawdziwego otoczenia i kontaktów w jego obrębie, mianowicie różne rzeczy mogą w nas być nie na serio, na przykład państwo jest bardzo nie na serio, za to żywioł środowiska naturalnego jest na serio. Całą rzecz sprowadzić by więc należało do m i e j s c a i bynajmniej nie szkodzi, jeżeli będzie to mieć również aromat metafory, to nic nie szkodzi, bo poza tym traktujemy to pojęcie materialnie i konkretnie: jeżeli ktoś powie, że tylko do pewnego miejsca jest się tu wolnym i tylko do pewnego miejsca jest się Polakiem, to nie popełni zasadniczej omyłki; jednakże fenomen miejsca ma przede wszystkim znaczenie geograficzne, rzeczowe, w całej niezmierności znaczeń jakie cechują świat rzeczy. Obok mnóstwa zjawisk banalnych, w tym się mieści także polityka, całkowicie niebanalny jest nasz kontakt z krajobrazem i ziemią naszą, przez co należy rozumieć nie tylko liście czy gatunek gliny, ale wszystkie wyprodukowane tutaj rzeczy, w całej ich wyżej wspomnianej niezmierności — oto nasz przywilej, ściśle polski i niewymienny. Pustka jaka nastąpiła po tym

finale rozmowy — nie da się opisać: nie to, żeby urwało się tak nagle gadulstwo i żeby zabrakło raptem mijających się z celem komentarzy, ale od tej chwili nic a nic już nie było do powiedzenia, ani o krok dalej nie można się było posunąć, a przecież sprawa autentyzmu rzeczy i ziemi była zaledwie wstępem do charakterystyki ludzkich odruchów, do całego systemu polskich odniesień.

3. Pewne odnogi tematyczne ma ta kwestia miejsca: czy można poważnie traktować i cenić wszystkie mechaniczne produkty miejsca i czy na przykład patriotyzm nie jest aby takim właśnie produktem mechanicznym sławnego HIC ET NUNC? Patriotyzm? Oto niepokojące w gruncie rzeczy i bynajmniej nie takie naturalne, jakby się zdawało, pojęcie, bo jeżeli jest tylko naturalnym owocem odziedziczonej po rodzicach sytuacji i lokalnych stosunków — to tym gorzej dla patriotyzmu i tym gorzej dla nas, w takim wypadku trzeba się gorąco bronić przed przyjęciem tego jako, powiedzmy sobie, imperatywu, bo to ideał ze świata jednowymiarowego i jeżeli nie uda się dojść dalej i głębiej w sprawie patriotyzmu, to, historycznie myśląc, czeka nas tylko kompromitacja. Ale to, co zostało przed chwilą wypowiedziane jest klasycznym wyborem jak najbardziej względnych i wątpliwych zdań ubranych w postać pewników, które u niejednego wywołają oburzenie, nie ma na to rady i cofnąć się już nie pora.

Czy nie za łatwo się dochodzi do pozycji uczuciowo-umysłowej zwanej patriotyzmem, jeżeli jest to tylko wynik normalnego cyklu rozwojowego, jeżeli następuje to nieuniknienie, jak moment, gdy już trzeba golić zarost na brodzie, jak opanowanie ojczystego języka, który sam się w uszy kładzie płynąc od otoczenia i środowiska? Co wtedy warte odruchy zbudowane na takiej podstawie, zoologiczne? Kołyska, smoczek, gdy nikt nie widzi ojciec długie godziny spędza nad wózkiem, jak sroka w gnat wpatrując się w tobołek, gdzie ta cóteczka jeszcze właściwie nie istniejąca, raczej idea córki, człowiek *in spe*, pogrążona jest w swojej pierwszej samotności — zabawne, wzruszające sam na sam ojca nad wózkiem, jego seanse spirytystyczne: przywoływanie idei człowieka. — Ja ciebie wtedy widziałam — mówi teraz córka zrozumiała. — Głupia jesteś, nic nie mogłaś widzieć, miałaś parę miesięcy. A potem, ani się spostrzegło, liceum i awantura z odmówieniem pewnego podpisu w słynnym stylu deklarowania solidarności i groźba wyrzucenia wraz z przyjaciółką-Zydówką, a ojciec zapobiega, kłajstruje i nie posiada się ze zdumienia: skąd jej to, skąd to się wzięło? I druga faza, jeszcze mniej bezpieczna — rodzice się chwytają za głowę — uniwersytet

wmieszany do polityki, młodzież wieszająca swoje szydercze aksjomaty na murach Krakowskiego Przedmieścia i córka odszukana w areszcie i kilka tysięcy złotych nałożonych przez tzw. Kolegium Orzekające z paragrafu chuligaństwa. Jak się wtedy śmiała, jaka była dumna, jak dopadła po powrocie do telefonu, który jej trzeba było z rąk wyrwać, bo wszystko się w niej paliło od konieczności skomunikowania się z tamtą przyjaciółką-Zydówką i jeszcze piętnastoma innymi z paczki, czy z organizacji, nie wiadomo. Wielkie gadanie, święte oburzenie: — Że WY to możecie znosić! — i dom pełen patriotyzmu, który się wziął nie wiadomo jak i skąd, a osiemnaście lat temu miał niewątpliwą smrodek pieluszek. Mechanistyczne zjawisko — patriotyzm, czy nawet zjawisko zoologiczne, cóż wart w takim razie! Bez pracy, bez myśli, bez ciężkiej roboty w kazamatach duszy, bez ofiar intelektualnych! — Ależ ty, tatku, nic nie rozumiesz! MY... — po czym płynie żarliwa retoryka. Może być, może nie rozumiemy się na tym, rozumienie się na młodości z wiekiem przepada i widocznie w pewnych okolicznościach można dojść do tego samego miejsca, a przynajmniej w jego pobliżu — drogą skróconą, okolicznościową. W każdym razie patriotyzm musi być, niech będzie, postawą charakteru a nie tylko umiejętnością serca nabytą za darmo od hojnego w tych rzeczach środowiska, od żywej ziemi.

4. Z bardzo dawnych dni tkwi w pamięci aforyzm angielskiego filozofa o religii — był to, zdaje się, Whitehead: religia to jest to właśnie, co człowiek robi ze swoją samotnością. Ale patriotyzm, to jest również to, co się robi ze swoją samotnością — jednak brzmi to nad wyraz niebezpiecznie i łapię się na przypuszczeniu i nawet na nadziei się łapię, że tylko subiektywnie można to przyjąć i że poza tym to nie jest słuszne: fatalna sytuacja — mieć nadzieję, że myśl bardzo przydatna, cenna, wręcz droga — nie jest słuszną! Ale społeczeństwo jako masa nie może podzielać sugestii tego aforyzmu, bo patriotyzm według odwiecznych ustaleń jest rodzajem siły gromadnej, więc wielu ludziom opadłyby ręce, patriotyzm w odniesieniu do społeczeństwa, czyli do Liczby powinien być stanem ducha praktycznym i czynnym, skutecznym na zewnątrz, jest to bodaj jedyny przypadek gdy jakość zamienia się w ilość: patriotyzm będący produktem samotności, drażliwej i niewesołej, zmienia się w mieszanekę wybuchową do dyspozycji tłumu z wszystkimi jego prymitywnymi kwalifikacjami. Dalej iść w tym kierunku nie ma siły, raczej trzeba pozostać przy tej prywatnej niepraktycznej jakości.

Momentalny wniosek numer 2: to jest także — analogicznie — socjalizm samotny, albowiem w Polsce ostatnimi czasy (cały

powojenny okres) wyrządzono krzywdę nie do naprawienia pojęciu socjalizmu, doszło tu do generalnego obrzydzenia socjalizmu, tu właśnie — co za pech! — gdzie była to roślina raczej cieplarniana i nigdy nie przybrała form zdecydowanych. Krzywda jaką tu wyrządzono idei socjalizmu łączy się z jeszcze większą może szkodą wyrządzoną Polakom i Polsce, bo tu nigdy nadzwyczajnej skłonności do socjalizmu nie było, a teraz, w rezultacie dwudziestosiedmioletnich praktyk partii, ten wyraźny brak skłonności zyskał coś w rodzaju aprobaty i uzasadnienia — i stała się szkoda nie do powetowania w skali pokoleń, w skali Polaków i w sensie międzynarodowym; nikt sobie trudu zadać nie zechce, żeby bolszewicką zwyrodniałą pragmatykę oddzielić od tamtej, w innym środowisku powstałej idei i ten fakt jest nie do przeskoczenia dla zainteresowanych, dla dziesiątków, być może, milionów — bolszewizm w dzisiejszych i jutrzejszych odmianach żyć będzie na koszt szlachetnego imienia socjalizmu.

Więc, w razie najlepszym, Polska się składa z szeregu bardzo samotnych socjalizmów, tylko że to nie jest normalna sytuacja, w tych warunkach obie idee, patriotyzm i socjalizm, ulegają nadmiernej sublimacji i wypaczeniu, mitologizacja — a tak się to nazywa — nigdy żadnej idei nie wyszła na dobrze. Patriotyzm, czyli to co człowiek robi ze swoją samotnością, i socjalizm, czyli to, co człowiek robi ze swoją samotnością: w obu wypadkach jest to prawda, ale nienaturalna i na jej tle widać najlepiej stopień wypaczenia obu idei, zwłaszcza socjalizmu, z jego serwitutami publicznymi, bez których nie byłby sobą. Socjalizm nie powinien być depozytem samotności, ale jest nim, zdaje się, w coraz większym stopniu. A patriotyzm w depozycie serc ludzkich, w każdym sercu osobno? Cóż, innego wyjścia nie widać.

5. Handel w bogatych krajach kapitalistycznych opiera się na wywoływaniu potrzeb, które przed chwilą jeszcze nie istniały i uzależnia człowieka od tych wczoraj jeszcze niepojętych dla niego potrzeb, które teraz stały się kryterium zadowolenia — jest to młynek nadzwyczaj sprytny, niecny, ale jest też niezłym tłem dla rozważań z innego terenu: czy obudzenie pewnych wysokich wymagań i potrzeb moralnych grzechem jest, czy zasługą? Czy zaszczepienie wyższej świadomości narodowej, bez czego ludziska może byliby znacznie szczęśliwsi, a przynajmniej spokojniejsi — jest czynem chwalebny, czy wręcz podłym?

Ale chodzi o to, i z każdym dniem wydaje się to pewniejsze, że naród nie ma nic wspólnego ze spokojem i wygodami, bo to jest przede wszystkim — esencjonalnie — idea. „Z Francji uczyniłem ideę” — oświadczył de Gaulle, co było w jego ustach najzupełniej prawdziwe, dlatego de Gaulle coraz bardziej się ze

swoim narodem rozstawał zamiast się do niego zbliżać: bo naród nie chciał robić z siebie idei, chciał zarobków, chciał większej ilości dróg narodowych (!), przestrzeni wakacyjnej i innych dowodów sytości. Tak samo z Polski trzeba uczynić ideę z czym jednak jedna troska się łączy: aby mogło to z przekonaniem powtarzać wielu ludzi, w ich historycznie ważnej, niezbędnej liczbie mnogiej i żeby to się nie ograniczyło do prywatnego ujęcia sprawy, mojego czy twojego, Czytelniku. Pisałem przed cztermiastoma miesiącami („Morowa i z charakterem”), że gdy w Polsce ów moment namysłu nadszedł i ograniczonej nadziei na sensowność, gospodarność i rządność — to wyskoczyły natychmiast, nawet ze strony intelektualistów, których najmniej o to można było podejrzewać, rozmaite wnioski ten nastrój wspierające, na przykład propozycje wychowania Polaka syntetycznego, bez reminiscencji historycznych i duszą całą oddanego używaniu życia małego. Tylko w wielkiej biedzie, u końca beznadziei kompletnej może się narodzić pożądanie rekompensat tego rodzaju, to oczywiste, to ludzkie — ale zgody na to nie ma, Polska musi być ideą a nie kasą odszkodowań za dotychczasową nędzę.

Syntetyczny kamień szlachetny robi się z autentycznego materiału w postaci proszku, sieczki otrzymanej po zmieleniu odpadków i chemicznie scalonej, zamienionej w jednolitą substancję, tak mi się przynajmniej wydaje. Ten produkt fabryczny ma podobno wszystkie pozory materialne szlachetnego kamienia-oryginału: jego barwę, jego twardość, blask i rozmaite inne zalety, a nawet jest ładniejszy od oryginału. Tylko wytrawni fachowcy poznają, że to twór syntetyczny. Będzie tak samo z syntetycznym Polakiem, tłustszym po rehabilitacyjnej kuracji i ładniejszym. Pozna się na nim historia, która odegra swoją niezawodną rolę konesera, odróżni, wymaca, wyczuje i blask fałszywy odbije na własnej kliszy — i nie przebaczy tym, co ręki się nie wahały przyłożyć do fabrykacji *quasi*-Polaka.

Ale miało to jakoś wypaść inaczej, przygotowywałem się z innej strony do tego wniosku, lepiej by było na początek uzmysłowić całą, powiedzmy, groźbę przetargu tego rodzaju polegającego na zaszczepieniu idei narodu w zamian za życie praktyczne, życie ludowe w byle jakich ramach świadomości, z łaski współczesnych dyktatorów: zamierzałem najpierw uwydatnić to bardzo prawdopodobne niebezpieczeństwo, jakie się łączy z koncepcją sublimowania idei narodu i przeciwstawiania jej (w tych warunkach) korzyściom dobrobytu i dobrostanu — częściowego; a co, jeżeli namówionemu do tego społeczeństwu, społeczeństwu zbuntowanemu w imię własnej historii zabraknie podstaw witalnych, jeżeli stoczy się w nędzę znacznie większą niż dotąd, co

w ogóle uniemożliwi dyskusję o jego charakterze; z tej strony miałem zamiar do rzeczy przystąpić i dopiero potem, mimo owszys t k o, z całym poczuciem otwarcie przedstawionego ryzyka, głosować za czystą, niezagrożoną żadną chemią gospodarską, ideą. Wyszło niezgrabnie, tego umotywowania o obiektywnym znaczeniu zabrakło — i autora stać już tylko na upór, na powtarzanie bez dowodów: ideę ustanowić w sobie, w nas wszystkich i nie uznawać Polski wydartej świadomości historycznej, a jeśli kto zapyta, co to, w gruncie rzeczy, historia? — odpowiedzieć mu, że mimo wszystkich wątpliwości jakie to przeważnie retoryczne słowo musi budzić, tylko ona — historia — czyli myśl o swojej istocie podwyższona i narzucona, p o t r z e b a imputowana — tylko ona, z przebiegu najbliższych wypadków, na które wpływu prawie nie mamy, potrafi wyodrębnić ocalałą lub zniszczoną duszę narodu.

Nie mamy wpływu na wypadki? Tak, zgoda, można jednak szczerzyć patos na tym drzewie, jeżeli życie jako drzewo sobie wyobrazimy. Ciężko to mówić człowiekowi, który wierzy w dobroczynną pracę umysłu bez przymieszek szaleństwa. Są jednak podobno momenty, gdy lekarze stosują narkotyk — świadomi jego szkodliwości — który albo przyśpieszy śmierć, albo uratuje. Patos! Obym sam w końcu nie został ze swoimi szamańskimi radami: Polska może znaleźć schronienie w czyjejś osobistej samotności i stać się mitem — ale i samotność musi mieć granice, trudna to sytuacja, gdy dokoła nikogo nie ma.

PELIKAN

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 17 stycznia 1973

Cichy, enigmatyczny lament Pawła VI na audyencji ogólnej: „Jedną z naszych myśli wyjątkowo gorzkich i natarczywych jest nieobecność Boga w znacznym odłamie współczesnej ludzkości. Znane pismo francuskie informuje nas w tych dniach, że w pewnym określonym kraju o wielkich tradycjach religijnych istnieje zakaz pisania imienia Boga z dużej litery. Autor, który nie chciał się temu zakazowi poddać, musiał wydać swoją książkę w Paryżu. Daje do myślenia taki upór w podcinaniu korzeni Imienia Bożego”.

Szkoda, że w *Osservatore Romano* nie ma działu zagadek i łamigłówek. Za trafne odpowiedzi na wszystkie trzy pytania — jaki to kraj?, o jakiego chodzi autora? i o jaką jego książkę? — warto byłoby przyznać bogobojnym czytelnikom w drodze losowania trzy nagrody: pierwsze dwie książka, o którą pyta zagadka, w włoskiej edycji luksusowej; trzecia, ten sam tom w miękkiej okładce. Obawiam się, że fundusze organu watykańskiego nie pozwoliłyby na supernagrodę w postaci darmowej wycieczki do „pewnego określonego kraju o wielkich tradycjach religijnych”.

30 stycznia

Dziura między dwiema randkami, więc do kina na *Ostatnie tango w Paryżu*. Zawszad glosy bezwzględnego zachwytu lub równie bezwzględnego zgorznięcia, we Włoszech obłożono film sekwestrem, co nie przeszkadza zresztą że i tam stał się „tematem dnia”.

Powiedzieć że się wynudziłem jak mops, byłoby nieściśłością; raczej, pozostając przy porównaniu, jak leniwy mops wodziłem jednym niedomkniętym i zirytowanym okiem za bzykającą w górze muchą. Oczyścimy pole z zarzutu najgłępszego: pornografii. W lakonicznym skrócie pornografia jest świntuszeniem samowystarczalnym, bezinteresownym w sensie „filozofii życiowej”, interesownym w sensie kasowości. Nic z tych rzeczy w paryskim *Tangu*. Jest to film do szpiku kości (!) „filozoficzny”, wykonany na zimno, z tezą. Tezę formułuje bohater w zdaniu o klasycznej zwięzłości i dosadności: „Wszystko poza naszą kopulacją w tym pokoju jest gównem”. Gdy się taką sentencję wygłasza z fanatycznym błyskiem kacerza sposobiącego się do wejścia na stos seksualny, te czy owe „figury” erotyczne zaprezentowane widzowi tracą jakiegokolwiek znaczenie obsceniczne. Dla panów i pań po trzydziestce (bo taka jest dziś linia sztywnego podziąłu) film nabiera cech proseminarium z filozofii nowoczesnej, ilustrowanego przezrociami; dla młodzieży od lat osiemnastu jest dość lichym ubawem, taką sobie historyjką amatorów skacowanego kocura amerykańskiego z kapryśnym kociakiem paryskim.

W moim zatem wieku wypada się zająć, wodząc okiem za uczoną muchą, aspektem „imperatywu kategorycznego kopulacji filozoficznej”. Z pomocą przychodzi mi ogłoszony przed miesiącem w *Corriere* całostronicowy dialog: o *Tangu* rozprawiają Alberto Moravia i jezuita Domenico Grasso, profesor teologii na Uniwersytecie Gregoriańskim. Moravia proponuje nader prosty obraz człowieka, *summa summarum* zbliżony do lekcji udzielanych pośpiesznie przez „ekshibicjonistów” późną porą na opustoszałych stacjach metra londyńskiego: nagim wobec świata pod płaszczem, ja to moje przyrodzenie. Teolog, z anielską cierpliwością, sprzeciwia się tak radykalnemu redukcjonizmowi: seks, owszem, nikt nie neguje, ale trzeba nań patrzeć jak na „płytkę w szerszej mozaice”. Moravia prycha gniewnie: ładna mi płytka, jedyna rzecz żywa w urojonej i śmiechu wartwej mozaice; dosyć gładzenia o walorach tradycyjnych, *hic et nunc* wszystko poza seksem jest martwe, za jego wyłącznie pośrednictwem ludzie są jeszcze w ogóle zdolni porozumiewać się od biedy ze sobą.

Jedno można wróżyć natrętnej musze, skoro nie podobna się od niej chwilowo opędzić. Że w „filozoficznym” przebóstwieniu seksu zapląta się jak w sieci żarłocznego pająka.

31 stycznia

Czas najwyższy założyć, w kąci tego dziennika, małe archiwum apokaliptyczne. Kiedyś przepisałem tu fragment *Journal de mon déssaroi* Ionesco. Dzisiaj Cioran: „Moja wizja przyszłości

jest tak precyzyjna, że gdybym miał dzieci udusiłbym je natychmiast”. Wczoraj Montale: „Świat jest moralnie chory. Gromadzi desperację, to wiem, lecz nie wiem dokąd zdąży”. Nie brak też poloników. Do Apokalipsy sięgają witraże Lebensteina w kaplicy pallotynów. O między od nich wyrastają nowe wiersze Herberta w *Tygodniku Powszechnym*, zwłaszcza *Pan Cogito o postawie wyprostowanej* i *Co myśli pan Cogito o piekle*. Z listu Jerzego Stempowskiego tuż po wojnie (łaziłem jeszcze wtedy po Rzymie w mundurze wojskowym) pamiętam zdanie: „Być może, na pisarzy i artystów spada obowiązek odważnego i upartego spoglądania w otchłań rozwierającą się pod naszymi stopami”.

Kiedy Stempowski to pisał, w oswobodzonym Paryżu królowało hasło „literatury zaangażowanej”. Camus nie żyje (jego śmierć była wyrwą straszliwą), Sartre spowiada się właśnie w taśmowym, zidiociałym bełkocie na łamach *Esquire*. „Odrodził się” w roku 1968, wyrzuciwszy do pubeli dwurzędową marynarkę wraz z krawatem i zakupiwszy na ich miejsce kurtkę zapinaną pod szyją. Nie jest antykomunistą, jest komunistą przekonanym że ZSSR rujnuje komunizm. Chce służyć, być tylko posłusznym megafonem mas, gdyż masy mają zawsze rację. Szczyć się tym, że studenci na Sorbonie wygwizdali Aragona, a nie wygwizdali jego. Chiny? Sprawily mu również gorzki zawód swoją polityką zagraniczną, popiera jednak dalej maoizm za rewolucję kulturalną, od której oczekuje definitywnego zniszczenia państwa. *Révolution culturelle*, oto czego powinien łaknąć każdy myślący człowiek. Precedens chiński nie jest niepokojący? No pięknie, powiedzmy że kopnięto bez pilnej potrzeby w Chinach to i owo. Przykro, ale świat się od tego nie zawali. Jakiś osioł rąbnął młotkiem Madonnę w Rzymie. Doskonale, o jeden nos mniej. Zdarza się. Czy wszelako filozof w kurtce kiwnąłby palcem, by zapobiec w Paryżu spalaniu Biblioteki Narodowej i Giocondy? Giocondę pozwoliliby spalić bez żalu, o innych obiektach pogadałby z towarzyszymi broni. Z rozkoszą natomiast przyłożyłby rękę do likwidacji niektórych profesorów; albo nie, każałby ich tymczasowo zamknąć w loszku, sprawę rozważyłoby się w detalach po ukończeniu głównej akcji. I puenta: „Nie sądzę bym się dobrze czuł w społeczeństwie którego życzę innym, nie w tym jednak problem”.

Aforyzm niebywały w swojej celności, godny powieszenia u wejścia do wszystkich saloników literacko-artystycznych Nowej Lewicy. Wbrew pozorom, nie świadczy o prozelitycznym masochizmie; jest mimowolnym odsłonięciem „barykadowego” błaznowania, dowodem że dawne „zaangażowanie” stało się w aktualnym wcieleniu masturbacją słowolejów nie wierzących ani trochę w to co obfita ślina na język przynosi.

Neapol, 15 lutego

Książka Ateńczyka (pseudonim publicysty greckiego, nie emigranta) *Inside the Colonels Greece* jest dla mnie lekturą niezwykłą. Wystarczy z umiarem pozmienić odpowiednie nazwy i znaki, by rzeczowe i inteligentne studium o Grecji rządzonej przez pułkownikowską juntę brzmiało jak analiza sytuacji w PRL. Począwszy od definicji reżymu, „despotyzmu łagodzonego przez nieudolność i bałagan”. Analogia najgłębsza dotyczy wszystkich krajów „demokracji ludowej”, jest wyborną lekcją pogładową Jałty stosowanej.

Amerykani są zadowoleni z junty, bynajmniej tego nie ukrywają. Wysoki urzędnik Departamentu Stanu, Rodger Davies, gorąco pochwalił juntę za respekt dla zasad „egalitaryzmu”: za zniesienie anachronicznego podziału na pogrzeby pierwszej i drugiej klasy; z czego widać, że ma dostatecznie jasne pojęcie o nieodzownym do życia minimum w tej części świata. Minister handlu Stans przekazał w Atenach od Nixona rządowi i narodowi greckiemu *warm love*; w komunikacie poprawiono to później na *warmth and confidence*. W takim kontekście należy czytać Ateńczyka: „Sam strach nie byłby w stanie stłumić nienawiści przeważającej większości Greków do dyktatury, gdyby czuli że ofiary związane z oporem nie będą bezowocne. Przeciętny Grek, wie, że za juntą stoją Stany Zjednoczone. Potoczna reakcja streszcza się w pytaniu: Cóż my możemy przeciw Ameryce?”.

W Warszawie czy Pradze pytają: cóż my możemy przeciw Rosji? Rząd amerykański uważa rząd w Warszawie (Pradze, Budapeszcie etc.) za *satisfactory*. Rząd sowiecki uważa rząd w Atenach za *udowletworitelnyj* (na pogrzebie starego Papandreu, który przeobraził się w ogromną manifestację antypułkownikowską, byli nieobecni ambasadorzy ZSSR i kadeelów). Generalni sekretarze w środkowo-wschodniej Europie dodają sobie kurażu zwrotem „nasi przyjaciele amerykańscy”. Nic w tym dziwnego. Dziwne (i nie pozbawione domieszki komizmu) jest to, że o „naszych amerykańskich przyjaciółach” lubią także przebąkiwać niektórzy emigranci polityczni z krajów podsowieckich.

3 marca

Czytankowa niemal prostota *Cudownej meliny*, lekko podbeletryzowanego reportażu-dochodzenia, mogłaby świadczyć tylko o prozatorskiej ostrożności Orłosa. Kryje się za nią coś więcej. Od dawna nie słyszało się u pisarza krajowego takiej nuty „troski obywatelskiej”. Gdy w drewnianej dzielnicy powiatowego

miasta przywoity Turoń wybucha: „jak jest złe, jak jest złe!”, a „echo pod stropem powtarza: złe, złe, złe!”, ocieramy się o cień tego który od literatury polskiej domagał się „rozdrapywania ran zarosłych błoną podłości”.

Lecz to niedość, ma się rozumieć, by spłoszeni cenzorzy otworzyli czujnie nożyce. Orłoś bardzo wyraziście i inteligentnie daje na małym wycinku wgląd w mechanizm ustroju, zablokowany przez rozbestwiony i w praktyce bezkarny aparat prowincjonalny. Rządy terenowych kacyków, immobilizm żywcem przeniesiony z Sowietów (gdzie Breżniew, podobnie jak na lokalną skalę Gierek w Polsce, jest wysokim zakładnikiem kadr średnich i dolnych), układ o którym można powiedzieć wszystko z wyjątkiem jednego: że jest „plastyczny” i „reformowalny”. *Cudowną melinę* Orłosa warto czytać łącznie z *Hamulcami* Bieńkowskiego i z *Szyfrem* Pelikana.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Kościół po rewolucji grudniowej

Zmiana warty na szczycie partii i państwa, wytargowana w grudniu 1970 krwawą ofiarą robotników, przyczyniła się do nieznacznego poszerzenia marginesu swobód na tzw. odcinku katolickim. Skłoniło to pochopnych komentatorów zachodnich do snucia idyllicznych perspektyw, otwierających się rzekomo przed rozwojem stosunków Kościół-Państwo. Czytaliśmy, niedowierzając pouczeni doświadczeniem, że dzięki Gierkowi powstał „nowy model stosunków kościelno-państwowych” i nastął „nowy okres w polityce partii wobec Kościoła i katolików”. Uciszyły się nieco te głosy, kiedy napływać zaczęły depesze agencji prasowych o demolowaniu baraków-kaplic, wzniesionych przez ludność zniecierpliwioną bezowocnym oczekiwaniem na zezwolenie na budowę murowanych świątyń. Akcja milicjantów i ubeków, brutalnie rozprawiających się z wiernymi kładącymi się pokotem, by dopuścić buldożerów do wyznaczonej im misji obrony „cywilizacji komunistycznej”, akcja zamazująca nieco wizerunek „nowego modelu stosunków”, nie natchnęła jednak większą dozą sceptycyzmu zachodnich poszukiwaczy koegzystencji za wszelką cenę. Znalaziono szybko argument: „nowa polityka wobec Kościoła jest torpedowana przez przeciwników Gierka w aparacie partyjnym, zwłaszcza na dolnych szczeblach”. Wniosek jasny: za zdarzające się incydenty nie można obciążać odpowiedzialnością Gierka i jego współpracowników, lecz wyłącznie nieuleczalnych dogmatyków i notorycznych aparatczyków, wrogo usposobionych do „nowej linii”. Relatywne uspokojenie, jakie zapanowało po czerwcowej decyzji papieskiej legalizującej administrację kościelną na Ziemiach Zachodnich, listopadowa misja dziękczynna biskupów w Wiecznym Mieście, kres misji amb. Papée, pogłoski na temat wznowienia rokowań pomiędzy Warszawą a Watykanem

— przyniosły nową falę spekulacji związanych z tzw. normalizacją stosunków na dwóch płaszczyznach: Kościół-Państwo i Watykan-PRL.

Jak wygląda w rzeczywistości stan stosunków Kościół-Państwo i czy osiągnięto postępy w procesie tzw. normalizacji? Jaką koncepcję ułożenia tych stosunków reprezentuje episkopat? Czy faktycznie zmieniło się stanowisko Partii wobec Kościoła i jakie jest jej podejście do rokowań o nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską? Jakie stanowisko zajmuje Watykan? Pytania te wymagają możliwie wyczerpującej odpowiedzi opartej na analizie faktów i dokumentów.

I

Wobec skutków rewolty stoczniowców i grożącej zbrojnej interwencji sowieckiej (aczkolwiek mało prawdopodobnej — ryzyko jej istniało w odczuciu społecznym) episkopat zajął postawę patriotyczną i realistyczną. W pierwszej chwili nie upominano się o naprawienie krzywd wyrządzonych Kościołowi. Kardynał Wyszyński nie chciał wykorzystywać sprzyjającej koniunktury w momencie kryzysu — stanął na stanowisku, że nowe władze powinny najpierw zaspokoić potrzeby bytowe robotników. W specjalnym memoriale episkopat przedstawił szereg postulatów dotyczących realizacji żądań ludności robotniczej: „prawa do pracy, chleba i wolności, do słusznej zapłaty, godziwego wypoczynku i bezpieczeństwa warunków pracy”. Dopiero w następnej fazie przedłożono również postulaty dotyczące życia religijnego, przyjmując wyciągniętą rękę do współpracy w mniemaniu, że alternatywa reprezentowana przez Gierka otwiera perspektywę znośniejszych warunków dla działalności Kościoła. Z drugiej strony, nowa ekipa partyjna usiłując możliwie szybko rozładować napięte nastroje wśród robotników, podjęła próbę neutralizacji postawy Kościoła, podobnie jak intelektualistów i chłopów. Stąd pewne koncesje na rzecz Kościoła. Nie było mowy jednak o żadnej „nowej” koncepcji „uregulowania stosunków” z Kościołem. W marcowej rozmowie prymasa z premierem pewną nowość stanowiła jedynie propozycja skierowana do episkopatu o współpracę na odcinku wychowania młodzieży. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że mimo ogólnej poprawy klimatu szepetana propaganda, inspirowana przez partię, zarzucała już wtedy prymasowi „maksymalizm” i „nierealistyczne postulaty”. Nowa ekipa była skłonna przywrócić pewne prawa, ograniczając je wyłącznie do sfery ściśle religijnej, co w zawężającej interpretacji partyjnej wyklucza nadal wszelkie formy oddziaływania społecz-

nego Kościoła: duszpasterstwo akademickie i tzw. stanowe, postulat wolnej prasy i dostępu do „mass-media”, prawo do swobodnych zrzeszeń i udziału w formowaniu kultury narodowej, apostołstwo świeckich. „Partia chce nas zamknąć w zakrystii, wszystko to co odbywa się poza murami Kościoła napotyka wciąż na przeciwdziałanie” — powiedział mi jeden z członków polskiego episkopatu. Ale i „w murach” autonomia Kościoła nie jest szanowana, czego dowodzą naciski o wycofanie listów pasterskich niewygodnych partii. Charakterystyczny jest ostatni przykłąd interwencji o cofnięcie lektury „Listu o patriotyzmie chrześcijańskim”, wydanego przez episkopat z okazji 200-letniej rocznicy I-go rozbioru Polski. Episkopat nie uległ naciskowi. Kardynał Wyszyński w noworocznym przemówieniu do duchowieństwa powiedział między innymi:

„Nie mogliśmy pominąć Kalwarii rozdzieranego Państwa Polskiego. Znaleźliśmy najbardziej strawną formę dotknięcia tej bolesnej sprawy, ale musieliśmy jej dotknąć. Gdybyśmy się wyrzekli wspomnień, choćby najbardziej bolesnych, o dziejach narodu — byłibyśmy zaprzańcami! Tego my biskupi i kapłani katolicy, nie uczynimy nigdy! Dla nas, po Kościele Bożym i Jego nauce najważniejszy jest na tej ziemi naród, służba narodowi, związek z narodem, ambitne, szlachetne i dumne trwanie przy tym narodzie. W żadnej koniunkturze ustrojowej biskupi i kapłani polscy nie zapomną że pierwsza po Bogu miłość należy się Ojczyźnie i pierwsza po Bogu służba należy się dzieciom narodu polskiego”.

Nie zapominając o lekcji popaździernikowej (złamane szybko zobowiązania Gomułki w sprawie nauczania religii, seminariów duchownych itp.), prymas domagał się, by decyzja o zwrocie tzw. mienia poniemieckiego na Ziemiach Zachodnich znalazła wyraz w akcie ustawodawczym (sejm istotnie zatwierdził odpowiednią ustawę). Prymas wychodzi z założenia, że realizacja pewnych zasadniczych postulatów episkopatu winna przybierać postać legislacyjną. Lepiej uzyskać aprobatę sejmu, aczkolwiek nie jest to parlament z prawdziwego zdarzenia, niż zmieniających się ekip partyjnych, co oznacza zdanie się na podmuchy zmiennych „etapów”.

Rok 1971 upłynął względnie spokojnie jeśli chodzi o kontakty „na górze”, nie brakło natomiast tarć i nieporozumień „na dole”. Administracja lokalna przyjmuje rzekomo opornie do wiadomości „nowe dyrektywy”. Sygnalizując trudności, niektórzy kapłani przypisują to nieraz „starym nawykom” i nieufności terenowych „kacyków” do nowej linii („bo kurs przecież może się szybko zmienić”). Prawdopodobnie jest w tym cząstka prawdy, rzecz jednak w tym, że należy wykluczyć świadomy sabotaż ze strony dolnych szczebli aparatu. „Nowe dyrektywy” na pewno niczego wręcz nie zakazują, lecz doradzają po prostu unikania

otwartego konfliktu. Skargi przekazywane przez biskupów czynnikom rządowym w przypadkach bardziej drastycznych przedtem odrzucano lub udawano głuchych — dziś Urząd do Spraw Wyznań „stara się wyjść naprzeciw” i wzywa biskupów do cierpliwości. Z tych pierwszych kontaktów odnieśli oni wrażenie że zmienił się jedynie styl postępowania, Rejestrowano początkowo dobrą wolę. Jednak już pod koniec 1971 i w pierwszych miesiącach ub. roku mechanizm „normalizacji” zaczął nie tylko zgrzytać, ale pojawiły się w nim zahamowania i sygnały nawrotu do dawnych stalinowskich praktyk. Wicepremiera Kraśkę, który nadzorował dotąd sektor kościelny, „kopnięto w górę” na boczny tor do Rady Państwa pod zarzutem zbyt eleganckiego obchodzenia się z biskupami. Kraśko wziął widać na serio „nowe dyrektywy” i starał się o zachowanie *fair play*. Nadzór nad Kościołem przejął członek Biura Politycznego Szydłak, kierownik sektora ideologicznego.

O akcji demolowania prowizorycznych kaplic dużo pisała prasa zachodnia, choć na ogół zajmowała się jedynie incydentem w Zbrozynie Dużej pod Warszawą ponieważ protestował osobście Prymas. Takich wypadków było jednak kilkanaście. Zezwolenia na budowę 30 kościołów (liczba ta dziś jest wyższa) obejmują przeważnie remonty, budynki administracyjne oraz parafie wiejskie. Biskupi natomiast kładą nacisk na budowę kościołów w nowych dzielnicach mieszkaniowych i osiedlach robotniczych, tzn. w wielkich aglomeratach miejskich, powstałych po wojnie w związku z industrializacją i szybką urbanizacją kraju. Priorytet ten rząd odrzuca, udzielając zezwoleń na budowę według własnych kryteriów oceny. Rząd argumentuje, że postulaty episkopatu w tej dziedzinie (*nota-bene* mocno zredukowane w porównaniu z istniejącymi potrzebami) mogą być zaspakajane w miarę możliwości, w ścisłym powiązaniu z planem dostaw na rynek materiałów budowlanych, określanych wciąż jako „deficytowe”. Argument ten upada — nie uzasadnia bowiem ani polityki selektywnej, uprawianej w odniesieniu do budownictwa sakralnego (celowe pozostawianie bez opieki duszpasterskiej ośrodków liczących nieraz ponad 50 tysięcy osób), ani tym bardziej konfiskowania materiałów, wygosparowanych i zakupionych przez parafian, a gromadzonych w oczekiwaniu na decyzję zezwolenia na budowę. Zdarzają się wypadki, że parafianie, którzy tworzą spontaniczne komitety obywatelskie organizujące zbiórki podpisów i pieniędzy, odwołują się od odmownej decyzji władz lokalnych do Rady Państwa. Zamiast odpowiedzi następują raidy policyjne, konfiskata materiałów i przesładowanie członków tych komitetów. Czytamy w pewnym dokumencie, denuncjującym podobne praktyki:

„ci którzy podpisują petycje w sprawie budowy nowych kościołów narażają się na duże przykrości, padają często ofiarą zastraszenia wraz z ryzykiem utraty pracy”.

Drugi odcinek napięć, którym mniej zajmuje się prasa zachodnia, a który wstydliwie ukrywają różni krajowi komiwojażerowie katolicy, zainteresowani głównie w nie narażaniu na szwank własnych pozycji, dotyczy nauczania religii. Punkty katechetyczne otoczono opieką inwigilacyjną, polegającą na domaganiu się od dyrektorów szkół nie tylko nader szczegółowych danych odnoszących się do tych ośrodków nauczania, ale ponadto konkretnej akcji przeciwdziałania wpływom na młodzież dla zapobieżenia „niebezpieczeństwu klerikalizacji”. Przedmiotem nacisków jest administrowanie punktami katechizacji poprzez narzucenie urzędowej ich rejestracji i kontroli jak również nałożenie na wykładowców religii obowiązku uzyskania autoryzacji władz oświatowych. Szczególnie groźne objawy nawrotu do metod stalinowskich wystąpiły na odcinku duszpasterstwa akademickiego. Ten fragment misji wychowawczej Kościoła znajduje się w takiej samej próżni prawnej jak punkty katechetyczne, które jednak tolerowane są od roku 1958, kiedy usunięto nauczanie religii z programów i budynków szkolnych. Duszpasterstwo akademickie natomiast jest częścią składową „zewnątrznej” działalności Kościoła, zwalczanej podobnie jak duszpasterstwo stanowe, czy organizowanie kursów wiedzy religijnej i zjazdów b. wychowanków przedwojennych organizacji katolickich. Tak jak poprzednio tandem Gomułka-Kliszko, tak obecnie triumwirat Gierka-Szydłak-Szlachcic dokłada starań by w żadnym wypadku nie dopuścić do swobodnego rozwoju tego typu działalności. W przeciwnym razie — rozumują przywódcy partii — „przesadny wzrost” stanu posiadania Kościoła podważyłby „podstawy socjalizmu w Polsce”. Stąd wypadki zastraszania i nacisków na studentów wyższych uczelni, uczęszczających na kursy prowadzone przez duszpasterzy. Ponieważ duszpasterze akademicy wyznaczani są przez ordynariuszy diecezji, ataki na tę akcję uderzają faktycznie w kurie biskupie. W jednym z licznych dokumentów, referujących o interwencji władz szkolnych i partyjnych oraz organów bezpieczeństwa w ten zakres działalności duszpasterskiej, czytamy:

„uczęszczanie na kursy prowadzone przez duszpasterzy akademickich traktowane jest przez władze jako zajmowanie postawy antypaństwowej ponieważ akcję duszpasterską na odcinku uniwersyteckim uważa się za organizację polityczną wymierzoną przeciw socjalizmowi... Dyrektor Wyższej Szkoły w mieście X powiedział do studentów 'kto chce pogłębić swą wiedzę religijną niech się zapisze do seminarium duchownego'... Akcja zastraszania zwraca się także przeciw członkom personelu nauczającego. Zdarzają się

wypadki grożenia zwolnieniem z pracy na skutek brania udziału w nabożeństwach i zebraniach związanych z akcją duszpasterską”.

Protesty biskupów do władz lokalnych w przypadkach szczególnie jaskrawego pogwałcenia obowiązujących ustaw, gwarantujących wolność kultu i nauczania religijnego, pozostały bez odpowiedzi. Zaniepokojenie budzi projekt reformy szkolnictwa, przewidujący rozszerzenie zajęć szkolnych na godziny popołudniowe i wzmoczoną indoktrynację ideologiczną. W praktyce oznacza to zamach na swobodę działania punktów katechetycznych oraz zredukowanie funkcji wychowawczej rodziny. Niebezpieczne akcenty odezwały się ponownie w ostatnim wystąpieniu Szydłaka („Państwo nie może być neutralne w dziedzinie wychowania młodzieży”). Na szczeblu centralnym sprawa nauczania religii i pozaszkolnej akcji duszpasterskiej stanowi jeden z zasadniczych punktów rokowań pomiędzy sekretarzem episkopatu a dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań. Episkopat domaga się uregulowania tej sprawy w taki sposób, by autonomia Kościoła w tej dziedzinie była zagwarantowana, a nie dowolnie naruszana, co umożliwiłaby obecny stan prowizorium. To samo odnosi się do pozostałych dziedzin, istotnych dla normalnego spełniania funkcji wychowawczych i duszpasterskich Kościoła (seminaria duchowne, apostołstwo świeckich, stowarzyszenia, wydawnictwa i prasa). Zachodzi konieczność uregulowania pewnych zasadniczych spraw nie tylko w akcie porozumienia bilateralnego ale ponadto, jak wyżej zaznaczyłem, poprzez odpowiednie ustawy.

Panuje często przekonanie że brak postępów bądź też zahamowania w procesie normalizacji stosunków wynikają z nacisków Moskwy. Do impasu miał przyczynić się też sławetny raport czeski Bilaka, przestrzegający Gierka przed za daleko idącymi koncesjami i wypominający mu tolerowanie „klerikalizacji”. Rozgłos nadany przez krajowe ośrodki masowego przekazu uroczystościom rzymskim beatyfikacji O. Kolbe i rok później rocznicowym obchodom w Oświęcimiu przy udziale trzech zachodnich kardynałów, miały jakoby wywołać niezadowolone w Moskwie. Wtajemniczeni dziennikarze i entuzjaści Gierka wyolbrzymiali te informacje, by dowieść „odwagi kierownictwa” i „liberalnego stanowiska wobec Kościoła”. Nie można oczywiście wykluczyć nacisków ze strony „wielkiego brata” — rzecz jednak w tym że przejawy minimum respektu dla narodowych interesów i praworządności nie świadczą bynajmniej o jakiejś nadzwyczajnej śmiałości, którą partia nagle w sobie odkryła. Tak jak strach przed Moskwą — uzasadniony, ale tylko do pewnych granic — nadużywany jest często przez partię jako szantaż dla obezwładniania opinii publicznej, tak też rzekomo wykazywana „odwaga” ma

pomóc partii do prolongaty kredytu społecznego zaufania. Sedno rzeczy tkwi w tym, że istnieją obecnie szanse rozszerzenia istniejących, a nie wykorzystanych, marginesów swobody ruchów wobec Moskwy, a więc umocnienia autonomii PRL w dziedzinie kultury, wychowania i stosunków Kościół-Państwo. To byłby oczywiście jedynie program — minimum, mogący jednak stanowić o specyfice „polskiego modelu”, tak jak istnieje „model rumuński” czy „model węgierski” w odniesieniu do innych sektorów polityki bądź zagranicznej bądź wewnętrznej. Partyjne kierownictwo polskie nie posiada oryginalnej koncepcji polityki narodowej — woli operować różnymi alibi, by ograniczyć się do czystego pragmatyzmu. Dotychczasowy przebieg procesu normalizacji stosunków Kościół-Państwo świadczy o pewnej zmianie stylu i nieco większych luzach w polityce partii, ale w żadnym razie nie o odmiennych celach i nowej, „liberalnej” koncepcji.

II

Decyzja Pawła VI z 26 czerwca o normalizacji administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych wzmocniła pozycję episkopatu, stała się, jak powiedział prymas, „uwięceniem naszej wielkiej cierpliwości” i uniemożliwiła dalsze wygrywane tej sprawy przez partię dla interesów partykularnych i antynarodowych, czego dowodem było stanowisko w sprawie budynków kościelnych na ziemiach zachodnich, uważanych za „mienie poniemieckie”, mimo że chodzi często o zabytki polskiego budownictwa sakralnego. Problem normalizacji administracji kościelnej na tych ziemiach był przez partię wykorzystywany jako instrument do blokowania swobody ruchów Kościoła i jako argument przetargowy wobec Watykanu. Znaczenia tej decyzji nie można było negować — przyczepiono się więc do trybu samego załatwienia. Niezadowolone partie wywołało notyfikowanie przez Watykan tej decyzji w telegramie prymasa do premiera. Watykan nie mógł inaczej postąpić. Warszawa była informowana przed podjęciem decyzji, próbowała ją jednak zablokować, ponieważ zgadzano się wyłącznie na potwierdzenie *status quo*, tymczasem, jak wiadomo, poza nominacją ordynariuszy Watykan erygował dwie nowe diecezje z historycznymi stolicami: Kamień-Szczecin i Kołobrzeg-Koszalin. Partia przeciwstawiała się podziałowi diecezji gorzowskiej ponieważ pociągało to za sobą, niepożądane w jej pojęciu, wzmocnienie autorytetu i stanu posiadania Kościoła. Kiedy było już wiadome, że Watykan nie ustąpi, domagano się uzgodnienia z rządem nominacji ordynariuszy obydwu nowych diecezji. Watykan odrzucił ten dezzyderat, stojąc na stano-

wisku, że desygnowanie ordynariuszy tych diecezji w osobach sufraganów diecezji gorzowskiej nie wymaga konsultacji z rządem. Episkopat normalnie przestrzega trybu uzgadniania z rządem nominacji ordynariuszy (na podstawie listy trzech kandydatów, do której rząd może zgłosić veto), co wobec braku konkordatu jest uregulowane w porozumieniu z roku 1956. W ciągu kilku lat tłumaczono na odprawach partyjnych że sprawę normalizacji kościelnej na ziemiach zachodnich wynegocjuje rząd w rokowaniach z Watykanem, że jest to sprawa o charakterze ogólnopaństwowym i w związku z tym episkopat może ograniczyć się jedynie do nacisków na Papieża, nie dających *nota-bene* rezultatów, jak radośnie konstатовano. Podjęcie tej historycznej decyzji w zakresie odpowiadającym postulatom episkopatu wyträciło więc partii możliwość propagandowego jej zdyskontowania. Przeczulenie prestiżowe nie stanowi w polityce elementu na jakim można budować — szybko więc zaprzestano dąsów i okres prekluzyjny 3-ch miesięcy, przewidziany dla ewentualnego wniesienia zastrzeżeń, minął bez echa.

Decyzja papieska otworzyła drzwi do wznowienia rokowań z rządem. Trzecia runda tych rokowań nie doszła do skutku w kwietniu ub. roku. Po dwóch poprzednich rundach — w Watykanie na wiosnę i w Warszawie w listopadzie 1971 — kolej wypada tym razem na inicjatywę rządową. Rok już minął, ale Warszawa nadal nie kwapi się. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Mimo niesprzyjającej aury na początku ubiegłego roku, Watykan prawdopodobnie nie odprawiłby z kwitkiem delegacji warszawskiej; o podpisaniu protokołu porozumienia nie było mowy, ale wątkowano by nadal projekt tego porozumienia i warunki jakie powinny być obustronnie spełnione dla nawiązania stosunków dyplomatycznych. W Watykanie nadal informują: „czekamy na znak z Warszawy o przybyciu delegacji”.

Trzeba sprecyzować istotny punkt: Rada do Spraw Publicznych Kościoła (odpowiednik ministerstwa spraw zagranicznych), której przewodniczy arcybiskup Casaroli, ustaliła dla rokowań z Warszawą zasadę paralelizmu z postęпами rozmów pomiędzy episkopatem a rządem. Odpowiedzialni funkcjonariusze Kurii Rzymskiej zdają sobie doskonale sprawę, że klucz do powodzenia watykańskiej *Ostpolitik* posiada Moskwa, wiedzą również, że Moskwa dała Warszawie „zielone światło” na rozpoczęcie rokowań ze Stolicą Apostolską i nic absolutnie nie wskazuje na to by z tego stanowiska miała się wycofać. Przeciwnie. Dla Breżniewa zagadnienie regulacji stosunków na linii Warszawa-Watykan stanowi fragment pojedynczej polityki zagranicznej, zwróconej ku Zachodowi. Moskwa spotyka Watykan nie tylko na europejskiej konferencji przygotowawczej w Helsinkach, ale również na innych

płaszczyznach i kontynentach. Na naiwność lub ignorancję liczy zatem Warszawa, puszczając w obieg pogłoski że niby „Moskwa nie pozwala” lub „musimy się liczyć z reakcją Moskwy”. Jest to jeszcze jeden przykład jak argument sowiecki zamiast spełniać funkcję stawki w poważnej grze politycznej, zmierzającej do stopniowego uniezależnienia się od centrali moskiewskiej, stanowi jedynie chwyt na skalę powiatu. „Pies jest pogrzebany” tym razem nie w Moskwie. Warszawa po postępkach w pierwszej fazie rokowań, zorientowawszy się, że normalizacja stosunków z Watykanem nie da spodziewanych korzyści, zdecydowała zwolnić tempo rokowań. Doszła mianowicie do przekonania że obecność stałego delegata Watykanu w Warszawie, zamiast osłabić pozycję episkopatu, przyniesie wręcz odwrotny skutek. Trzeba przyznać, że jest to pewien postęp, jeśli się pamięta o zgoła surrealistycznych rachubach ekipy gomułkowskiej, stawiającej na szansę wbijania klina pomiędzy Watykan a episkopat i wygrywania „nuncjusza” przeciw prymasowi. W Warszawie zrozumiano, że Watykan podpisze protokół i pośle swego pełnomocnika do stolicy PRL (wobec braku konkordatu nie może być nim dyplomata w randze nuncjusza) jedynie w ścisłym porozumieniu z kierownictwem polskiego episkopatu. Opieszałość Warszawy nie wynika z nacisków Moskwy, lecz z obsesyjnej wprost obawy o wzrost autorytetu prymasa i o dopuszczenie do dalszego wzmocnienia pozycji Kościoła. Partia nie ma żadnej wyraźnej koncepcji również jeśli chodzi o stosunki z Watykanem — próbuje znaleźć rozwiązanie, które pozwalałoby na wzrost prestiżu PRL przy równoczesnej petryfikacji stanu rzeczy na odcinku kościelnym.

Watykan także nie śpieszy się. Po optymistycznych nastrojach w pierwszym roku po grudniu, nastąpiło otrzeźwienie. Zorientowano się prawdopodobnie że zasada „paralelizmu” wymaga nie tylko konsultacji z episkopatem, lecz również niewybiegania naprzód aby nie narazić się na nieprzyjemne niespodzianki w rodzaju tych jakie spotkały Watykan na Węgrzech. Stąd częste przyjazdy do Rzymu sekretarza episkopatu i zbieżność jego misji informacyjnych z pobytem w Rzymie przedstawicieli rządu. Przeszto też w Watykanie stawiać „model” jugosłowiański jako wzór dla Polski. W okresie rekonesansów Mgra Casaroli w Polsce (trzy tury w latach 1967-68) „model” ten wydawał się czymś optymalnie osiągalnym — nie brano pod uwagę że jest on nieprzydatny wobec całkiem odmiennej, a więc nieporównywalnej, sytuacji narodowościowej i wyznaniowej w Jugosławii. Próbowano jednak wówczas uzyskać minimalne choćby rezultaty, zwłaszcza wobec niepowodzeń na innych odcinkach *Ostpolitik*. Ewolucja sytuacji w Polsce i przede wszystkim ewo-

lucja sytuacji międzynarodowej, doprowadziły do bardziej realistycznego spojrzenia na sytuację Kościoła w PRL, a zatem bardziej realistycznej oceny możliwości osiągnięcia zadawalającego rozwiązania sprawy stosunków Kościół-Państwo i wiążącej się z tym normalizacji stosunków Watykan-PRL. Watykan obecnie nie ogranicza się, tak jak ongiś, do uratowania istniejącego stanu posiadania (*salvare il salvabile*), nie zadawała się stabilizacją *status quo* — zmierza do rozwiązania wszechstronnego i długofalowego. Stąd mówi się o „rozłożeniu na etapy normalizacji stosunków z PRL”.

Do dyplomacji watykańskiej można mieć pretensje — mieliśmy niestety smutne doświadczenia — o to że nieraz poświęca imponowalność moralną, bardziej liczy się z mocarzami tego świata niż z małuczkami. Polska *semper fidelis* — ta niewzruszona pewność skłaniała i może nadal skłaniać do posunięć wykluczających ryzyko utraty wpływów. Nic dziwnego, że w ostatnich latach pojawiły się obawy o „sprzedanie nas” w odniesieniu do watykańskiej *Ostpolitik*. Niespełnione marzenia o nawróceniu Rosji, stawka na ekumenizm a więc coraz bardziej ożywione kontakty z Cerkwią Wschodnią, niedopuszczenie (by nie drażnić Moskwy) do ukonstytuowania się Synodu Cerkwi Ukraińskiej obrządku bizantyjskiego — wszystko to prawda, ale jest i odwrotna strona medalu.

Krytycznej rezerwie winno towarzyszyć zachowanie umiaru i obiektywizmu.

Na ziemiach wschodnich istnieje prowizoryczna administracja kościelna w metropoliach wileńskiej i lwowskiej i w diecezji pińskiej, wcielonych do ZSSR, których skrawki pozostały w granicach PRL z siedzibami administratorów apostołskich w Białymstoku, Drohiczynie i Lubaczowie*. Warszawa do niedawna jeszcze unikała podnoszenia tej drażliwej sprawy, nie mając aprobaty Moskwy. Dla Watykanu stanowisko to było na rękę — utrzymanie bowiem *status quo* na polskich obszarach wschodnich jest ściśle związane z koniecznością znalezienia jakiegoś sposobu uregulowania sytuacji Kościoła na dawnych terenach polskich inkorporowanych do ZSSR, co wymaga negocjacji z Moskwą. Nie było więc mowy o tzw. globalnym rozwiązaniu, tzn. o dostosowaniu orga-

* Według tegorocznego „*Annuario Pontificio*” administratorem apostołskim terenów metropolii lwowskiej w granicach Polski jest bp Jan Nowicki, Lubaczów (woj. rzeszowskie), adm. apost. terenów diecezji pińskiej w granicach Polski jest bp Władysław Jędruszek, Drohiczyn n/Bugiem (woj. białostockie), adm. apost. dla terenów metropolii wileńskiej w granicach Polski jest bp Henryk Gulbinowicz, Białystok. Organ Watykanu używa terminu „w granicach Polski” (nie PRL) w stosunku do „szczętków” diecezji pińskiej i dwóch metropolii, przylegających do linii Curzona.

nizacji kościelnej także na wschodzie do granic państwowych. Jakie nowe elementy spowodowały, że Warszawa wyciągnęła tę kartę w czerwcu ub. roku, wyrażając swe niezadowolenie z braku „globalnego rozwiązania”? Usiłując powstrzymać, jak wyżej wspominałem, decyzję papieską w sprawie normalizacji diecezji zachodnich, ambasador PRL w Rzymie, K. Sidor, przedłożył — ku zaskoczeniu dygnitarzy Kurii — sprawę diecezji wschodnich. Ambasador wjechał dwukrotnie na teren Watykanu (jak zauważono za drugim razem już bez flagi państwowej), ale jak się okazało nie miał odpowiednich pełnomocnictw do negocjowania tej sprawy. Warszawa liczyła się prawdopodobnie z odmową tego postulatu po to, by uzyskać gratis inną koncesję: dymisję ambasadora K. Papée, określaną od lat jako konieczne „oczyszczenie terenu” do negocjacji. Watykan, jak wiadomo, pośpiesznie skorzystał z tej sposobności: należało jakoś ukontentować Warszawę. Nie znaleziono nic innego do zaofiarowania, a radość w Warszawie była duża. Doszło w ten sposób 19 października 1972 do likwidacji ostatniej Ambasady R.P. Przybywający wkrótce potem do Rzymu biskupi zastali fakt dokonany i nie byli nim zbudowani. Fakt ten zresztą — jak się okazało — nie przyczynił się bynajmniej do przełamania impasu w rokowaniach. Dalsze trwanie misji dyplomatycznej ambasadora Papée jako „gerenta” spraw ambasady (po nieprzedłużeniu listów uwierzytelniających za pontyfikatu Jana XXIII, ambasador Papée pozostał jako *gerente*, tj. kierownik spraw ambasady) nie stanowiło przeszkody w „rokowaniach rozłożonych na czas dłuższy”. Epizod ten został ostatecznie zamknięty przez samego Papieża w przemówieniu do polskiej kolonii w Rzymie na grudniowej audiencji specjalnej, w której uczestniczyli nowomianowani biskupi Ziem Zachodnich oraz ambasador Papée. Na sali znajdowali się również przedstawiciele Ambasady PRL. Brakowało natomiast 10-osobowej delegacji katolików świeckich z kraju — władze odmówiły bowiem zezwolenia na ten wyjazd zgodnie z zasadami „nowej polityki paszportowej”, poniekąd zliberalizowanej, ale selektywnej czyli dyskryminacyjnej. Papież wspominając „dawne czasy i troski wspólnie przeżywane” (aluzja do okresu kiedy piastował urząd substytuta Sekretarza Stanu) zrobił gest w kierunku ambasadora Papée i prałata Meysztowicza, b. radcy przy ambasadzie R.P. i zaraz po tym *benservito* przeszedł do otwierającej się perspektywy „nowych czasów”.

Tymczasem raport o całokształcie stosunków Kościół-Państwo, przedłożony przez bp. Dąbrowskiego, był przedmiotem wnikliwych studiów i pracowitych konsultacji w różnych dykasteriach Kurii Rzymskiej. Czas trwania misji sekretarza episkopatu (z górą 7 tygodni) i kilkakrotne rozmowy kardynałów z Pa-

pieżem wskazują na wagę jaką Watykan przywiązywał do podsumowania dotychczasowych wyników dwutorowych rokowań i uzgodnienia kierunku ich kontynuacji. Misja ta zakończyła się niewątpliwie sukcesem episkopatu. Miał rację dobrze poinformowany dziennikarz włoski, kiedy pisał w rzymskim *Il Messaggero*:

„W spotkaniach kardynałów z papieżem i różnymi dygnitarzami Kurii rozpatrzone skrupulatnie liczne i złożone problemy, dotyczące życia religijnego w Polsce i rokowań z rządem warszawskim. Skonstatowano generalną zgodność poglądów. Biskupi polscy wyrażają zadowolenie, że ich stanowisko znalazło pełne zrozumienie w Kurii. Jest to fakt o dużym znaczeniu ponieważ niezawsze w przeszłości stanowisko organów Kurii rzymskiej było zbieżne ze stanowiskiem polskiej hierarchii katolickiej. Nie tak wiele lat minęło kiedy kardynał Wyszyński był zmuszony stawiać czoło równocześnie komunistycznym władcom i rzymskiemu arcykapłanowi”.

Tym razem faktycznie stanowisko episkopatu znalazło „zrozumienie” i co ważniejsze uzyskało *placet* osobisty Papieża. „Watykan nie podpisze żadnego protokołu porozumienia z rządem, ani tym bardziej nie nawiąże stosunków dyplomatycznych, bez uprzedniej zgody polskiego episkopatu” — ta wypowiedź miarodajnego przedstawiciela Kurii Rzymskiej dowodzi, że biskupi otrzymali istotne gwarancje chroniące przed niespodziankami ze strony Watykanu i otrzymali też „wolną rękę” w sprawie kontynuowania rozmów w Warszawie, zmierzających do znormalizowania sytuacji na „dowolnie ustalonych przesłankach”. Kiedy dojdzie do wymiany przedstawicieli dyplomatycznych między Warszawą a Watykanem? Przewidywania w tej materii są ryzykowne. Tak jak dziś wygląda ta sprawa, możliwe że jeszcze w ciągu bieżącego roku — nie jest jednak wykluczona dalsza zwłoka, może zajść bowiem konieczność nie jednej, lecz dwóch lub trzech rund rokowań. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych może nastąpić bezpośrednio po parafowaniu protokołu porozumienia, może również nastąpić później, pozostawiając pewien okres czasu na *rodaggio* (dotarcie) zawartego porozumienia. Treścią porozumienia (istnieje jakoby już jego *bozza*, tj. szkic) ma być z jednej strony uznanie przez Watykan suwerenności i rzeczywistości ustrojowej PRL (Warszawa domaga się uznania „systemu socjalistycznego”), z drugiej zaś respektowanie przez PRL autonomii Kościoła. Można sobie łatwo wyobrazić, że znalezienie formuły tego uznania, strawnej dla Watykanu, przysporzy pewnych trudności negocjatorom. Wysuwane są już hipotezy co do kandydatów na przyszłe stanowiska dyplomatyczne. Wymieniane są dwa nazwiska wytrawnych dyplomatów watykańskich, przy czym jedno z nich dotyczy dyplomaty, który kierował przez długie lata referatem wschodnim w Sekretariacie Stanu. Warsza-

wa natomiast znajdzie prawdopodobnie jakiegoś funkcjonariusza MSZ bez szczególnie obciążonej hipoteki partyjnej, lub wysłużonego fachowca zasługującego na nagrodę. Wykluczone aby nim został przedstawiciel tego czy innego katolickiego ugrupowania. Logika a także praktyka watykańska, wymagają by taki dyplomata reprezentował adekwatnie reprezentowane państwo. W przypadku PRL chodzi przy tym o państwo rządzone przez partię komunistyczną i oparte na instytucjach przyznających uprzywilejowaną pozycję światopoglądowi materialistycznemu (reprezentuje też *sui generis* religię tylko z przeciwnego biegunu). O tych realiach nie myślał nieboszczyk Jerzy Zawieyski, kiedy jako członek Rady Państwa i prezes Sejmowego Koła „Znak”, w euforycznym nastroju po przyjęciu przez Jana XXIII, odbywał przechadzki po Wiecznym Mieście w towarzystwie Krasickiego vel Szafrąńskiego (autora znanych donosów antykościelnych) w poszukiwaniu obiektu dla przyszłej ambasady. Do roli „Znaku” jeszcze przejdę — przedtem jednak wypada zamknąć sprawę ostatniej, tak udanej, wizyty prymasa i biskupów.

Niesposób pominąć osobistego, w moim przekonaniu determinującego, wpływu Pawła VI. Znane jest jego gorące pragnienie odbycia pielgrzymki do Częstochowy — wygląda niecierpliwie warunków umożliwiających urzeczywistnienie tego projektu. Bardziej istotne znaczenie posiada ocena realizacji reform soborowych w Polsce. Zyskały uznanie Papieża dotychczasowe rezultaty procesu stopniowego ich wprowadzania w życie („bez anarchicznych nalotów pseudo-postępowych i kontestatorskich, które szybko wygasają”, jak się wyraził prymas). „Tkwi w tym sekret i mądrość polskiego Kościoła” — powiedział papież. Żywotność Kościoła, spoistość episkopatu, optymizm biskupów mimo wciąż piętrzących się trudności, stanowiły dla Pawła VI-tego „odświeżający i pocieszający powiew, nowe źródło siły”, jak się wyraził jeden z jego bliskich współpracowników, mając na myśli kryzys jaki przeżywa Kościół na Zachodzie. Obcując na co dzień z raportami zawierającymi niepokojące dane dotyczące spadku powołań, rosnącej liczby księży zrzucających sutannę, dewiacji niektórych teologów, „schizmy” holenderskiej, a w dodatku fronty tzw. integralistów (skrajnej, konserwatywnej prawicy, przekładając na język świecki) — Papież musiał ulec wymowie prężności polskiego Kościoła. Wystarczy przytoczyć takie dane jak: ponad 19 tysięcy księży w porównaniu z 13-toma tysiącami z pierwszych lat powojennych; rosnąca ilość powołań, także zakonnych (nawet w tak ekskluzywnym zakonie jak Jezuici, dwie prowincje polskie są jedyne na świecie, które notują wzrost powołań); przygotowanie duszpasterskie młodych księży znacznie lepsze od przeciętnej światowej; wyższy od średnich wskaźników

na świecie procent wiernych uczęszczających do sakramentów i biorących aktywny udział w życiu religijnym. *La Chiesa del Silenzio* (termin ten — zdaniem prymasa — nie jest ścisły jeśli chodzi o Polskę, aczkolwiek warunki w jakich działa Kościół nie pozwalają mu na mówienie pełnym głosem) stanowi zatem jedną z nielicznych dodatnich pozycji w „buchalterii” Kościoła Powszechnego.

III

Recepcja krajowej problematyki kościelnej nastęrcza nieraz duże trudności, prowokując uproszczone sądy, zwłaszcza na emigracji (temat ten wymaga odrębnego potraktowania). Wypada natomiast zająć się nieco, ignorowaną i wywołującą nieporozumienia, rolą zorganizowanych ugrupowań katolickich w PRL, zainteresowanych, z takich czy innych względów, w przepuszczaniu tej problematyki i poszczególnych faktów przez własny filtr. W rzeczywistości społeczno-politycznej PRL brak, jak wiadomo, autentycznej reprezentacji katolików w życiu publicznym, podobnie jak nie posiadają jej socjaliści, ludowcy, liberałowie. W pierwszych latach po wojnie, obok Polskiego Stronnictwa Ludowego działało w kraju Stronnictwo Pracy, zalegalizowane na zasadzie umów międzynarodowych. Kilku działaczy SP z prezesem K. Popielem przebywa na Zachodzie, biorąc aktywny udział w międzynarodowych organizacjach ruchu chrześcijańsko-demokratycznego. B. członkowie kierowniczych władz SP, żyjący w kraju, skierowali przed wyborami w ub. roku list do Gierka i Jaroszewicza, w którym czytamy m.in.:

„Jednym z najpilniejszych zadań w zakresie uzdrowienia życia publicznego w Polsce jest umożliwienie działania niezależnej opinii społecznej. Przedstawicielstwem politycznym katolików polskich nie są, i być nie mogą, działające obecnie organizacje katolickie, ze względu na bardzo ograniczony zakres działania, brak łączności z szerszymi kręgami katolików w Polsce, a ponadto — jeżeli chodzi o niektóre z nich — głęboki rozdziewiek ze stanowiskiem zajmowanym przez episkopat polski. Przypomnieć należy, że katolicy polscy posiadali po wyzwoleniu swoją reprezentację polityczną. Było nią zalegalizowane w roku 1945 zarówno na zasadzie umów międzynarodowych, jak i decyzji władz państwowych w kraju, Stronnictwo Pracy, zlikwidowane w roku 1946 drogą popartego siłą nakazu administracyjnego. Czołowym działaczom Stronnictwa wytoczono sfingowane procesy polityczne, skazano ich na surowe kary pozbawienia wolności, niektórzy zmarli w więzieniu. Uważamy, że przeprowadzona w roku 1946 i utrzymana po 1956 likwidacja SP była jednym z etapów wejścia na drogę, która doprowadziła do katastrofy grudniowej 1970 roku. W głębokim przekonaniu, że reprezentacja polityczna katolików polskich może i powinna przyczynić się do stabilizacji stosunków w kraju, umocnienia praworządności i prawidłowej realizacji zasad sprawiedliwości społecznej — przez to służąc interesom ludzi pracy — zwracamy się do Naczelnych Władz państwowych z postulatem reaktywowania Stronnictwa Pracy...”

Sygnatariusze tego pisma zdawali sobie doskonale sprawę, że partia w żadnym wypadku nie zgodzi się na to reaktywowanie, sprzeczne z jej interesami zakładającym się posługiwanie się grupami fikcyjnymi, a w najlepszym razie niereprezentatywnymi. Uznali po prostu, że zachodzi konieczność przypomnienia nowemu kierownictwu PRL, kto i dlaczego posiada kwalifikacje i tytuły do reprezentatywności. Gierek, oczywiście, dobrze o tym wie. Kiedy na wiosnę ub. roku chodziło o wywarcie nacisku na Watykan o przyspieszenie decyzji w sprawie normalizacji administracji kościelnej na ziemiach zachodnich w imieniu społeczności katolickiej w kraju, prymas powierzył tę misję b. przywódcom SP więzionym przez długie lata. Zjawili się wtedy w Rzymie, po raz pierwszy na Zachodzie, adw. Władysław Siła-Nowicki (znany obrońca w procesach politycznych) i Konstanty Turowski, dyrektor wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Przyjęci zostali przez Papieża i konferowali z przedstawicielami Kurii Watykańskiej.

Sytuacja demokratycznej opozycji socjalistycznej jest jasno określona: nie tylko nie posiada żadnych organizacyjnych form działania, lecz jest prześladowana za jakikolwiek przejaw niezależnego myślenia; na opozycję katolicką, natomiast, nałożono kaganiec w postaci dwóch grup koncesjonowanych i skompromitowanych (PAX i C.S.S.) oraz ugrupowania „ZNAK”, wyrzekające się wprawdzie aspiracji politycznych, ale faktycznie rolę polityczną odgrywającego. Tego rodzaju mistyfikacja ułatwia partii kontrolę nad odcinkiem katolickim i próbę stwarzania za granicą fałszywych pozorów. Pozostawmy na boku PAX, bękarta stalinowskiego, którego rola jako agentury moskiewskiej została już po Październiku wszechstronnie naświetlona. Wtrąć tylko, że po przełomie 1956 jeden z najbliższych wówczas współpracowników Gomułki przyznał w poufnej rozmowie (w której uczestniczył piszący te słowa), że likwidacja PAX-u zamierzona przez zwolenników odnowy, okazała się niemożliwa do przeprowadzenia wobec opozycji sowieckich organów bezpieczeństwa. Trudno się zatem dziwić, że i Gierek zmuszony jest tolerować nadal PAX choć odrzucił żądanie „wodza” (Piaseckiego) o status partii politycznej. Zajmijmy się raczej grupą „ZNAK”, korzystającą z ograniczonego poparcia moralnego episkopatu. Episkopat nie uważa tej grupy za reprezentatywną — wyciąga po prostu wnioski z faktycznego stanu rzeczy. Biskupi lub poszczególni duchowni zmuszeni są nieraz korzystać z pośrednictwa Koła Posłów „ZNAK” w załatwianiu ludzkich potrzeb, w tak prozaicznych, lecz istotnych, kwestiach jak przydział materiałów budowlanych czy interwencja o wydanie paszportu (w tego rodzaju akcjach zasłużył się szczególnie poseł K. Łubieński). Prymas zdaje sobie

sprawę z uwarunkowań politycznych tego ugrupowania. W rozmowie z pewnym działaczem „ZNAK-u”, mówiąc o przeciwnikach partii w środowiskach socjalistycznych rewizjonistów, powiedział: „oni są bardziej wolni od was”. Obecna degrengolada tej grupy jest rezultatem izolacji społecznej (nieukrywanej już dzisiaj) i rozczarowania. W dniach jej narodzin, w październiku 1956, panowały złudzenia co do możliwości spełniania społecznie pożytecznej funkcji i pomagania Kościołowi bez angażowania jego autorytetu. Klub Inteligencji Katolickiej, którego piszący te słowa był współzałożycielem, oraz kilka innych środowisk (w pierwszym rządzie zespół *Tygodnika Powszechnego*) powołały do życia Koło poselskie „ZNAK”. Był to akt przede wszystkim moralny, politycznie jednak nieprzemyślany i nastawiony na defensywę. W błędnym starciu tkwią przyczyny obecnego fiaska. Nie wszystko co „ZNAK” zrobił, czy nadal stara się robić, należy oceniać ujemnie. Istnieje *Tygodnik Powszechny*, najbardziej niezależne pismo w PRL, borykające się stale z cenzurą i ograniczeniami przydziału papieru, ale periodyk ten ukazuje się od 1946 roku (z przerwą 3 lat w okresie stalinowskim kiedy bezpieka przekazała go PAX-owi) i nie jest organem grupy „ZNAK”, co J. Turowicz, redaktor naczelny tego pisma, zawsze podkreśla. Trzeba zanotować osiągnięcia w dziedzinie wydawniczej oraz trzy periodyki: miesięcznik *Znak* w Krakowie oraz *Więź* i *Chrześcijanin w świecie* w Warszawie. Były odważne przemówienia „znakowców” w sejmie.

Ogólna polityczna wymowa działalności tej grupy i ocena jej funkcji społecznej wypadają jednak zdecydowanie negatywnie. Pretendowanie np. nadal do „dialogu” z marksistami stanowi nie tylko jedno wielkie nieporozumienie — jest świadomym wprowadzaniem w błąd. W pierwszych latach po „październiku” próbowano „dialogować” z zespołem marksistowskich intelektualistów, zgrupowanych wokół pisma *Argumenty*. Był to dialog zawieszony w próżni, ale przynajmniej uczciwy. Zespół *Argumentów* został po kilku latach wysadzony z siodła, a rugi marcowe wykończyły do reszty tę grupkę otwartych marksistów. „Dialog” pomiędzy katolikami i marksistami w dzisiejszych warunkach zamrożenia wszelkiej swobodnej publicznej dyskusji służyć może jedynie partii dla bałamucenia nieświadomionej części opinii społecznej; nie nadaje się też na eksport, bo zachodni katolicy mają inne zmartwienia. Tzw. polski eksperyment przestał już być interesujący. Pewni notoryczni „dialoganci” grupy „ZNAK” nie stracili jednak złudzeń i nadal usiłują serwować zachodnim partnerom odgrzewaną strawę duchową. Nie powiódł się też zamiar „zintegrowania katolickiej bazy społecznej” przez „ZNAK”, który oddziaływuje w najlepszym razie na krąg dwóch tysięcy osób

(w tym połowę stanowią członkowie klubów dyskusyjnych); do kręgu tego nie można zaliczyć czytelników *Tygodnika Powszechnego*, którzy rekrutują się z dawnych wiernych sympatyków pisma, księży i zakonników, katolików obojętnych dla „politycznego zaangażowania” i akatolików. Działające kluby dyskusyjne „ZNAK-u” są w rzeczywistości zamkniętymi kołami. Stan rzeczy jaki partia ustanowiła na tzw. odcinku katolickim za czasów Gomułki jest zachowany z całym przywiązaniem do rytuałów antydemokratycznych. Partia nadal decyduje kto zasługuje na mandat poselski (jedynie w pierwszych wyborach po „październiku” katolickie środowiska miały coś do powiedzenia przy wysuwaniu kandydatów). „ZNAK” nie potrafił przeciwstawić się nagonce na J. Zawieyskiego po jego pamiętnym marcowym wystąpieniu w sejmie, w którym złożył mandat członka Rady Państwa. Na miejsce opróżnione po śmierci Zawieyskiego przyszedł T. Myślik, niewybrany przez środowiska katolickie, ale za to dobrze widziany w krakowskiej organizacji partyjnej. W ostatnich wyborach na miejsce T. Mazowieckiego, redaktora naczelnego miesięcznika *Więź*, źle widzianego przez partyjną „grupę marcową” wciąż nader wpływową, przyszedł W. Auleytnier, sekretarz Klubu warszawskiego. Katolicka „baza” nie miała nic do powiedzenia. Zachował natomiast mandat S. Stomma mimo że właśnie ta „baza” udzieliła mu votum nieufności. Oto smętny obraz kompletnego rozkładu. Po grudniu obiecano grupie „ZNAK” legalizację dalszych 12 klubów obok 5 powołanych do życia w 1956 roku — nic z tego nie wyszło. Brak dopływu nowych członków, co więcej odejście wielu aktywnych jednostek, znudzonych jałową gadaniną, i nieumiejętność lub niemożność przyciągnięcia młodzieży, przekształciły „ZNAK” w towarzystwo wzajemnej adoracji. Zespół *Tygodnika Powszechnego* postanowił wyciągnąć wnioski z przegranej: zamierza mianowicie wycofać reprezentację „ZNAK-u” z sejmu po upływie bieżącej kadencji, co już proponował kilka lat temu Stefan Kisielewski. Pozostanie wówczas na placu zespół kierowany przez postać J. Zabłockiego, stanowiący coś w rodzaju autonomicznej filii w ramach ugrupowania „ZNAK” (po secesji z zespołu *Więzi*, jaka nastąpiła w okresie pomarcowym). Zabłocki uzyskał wówczas koncesję na Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych (ODIS), a ostatnio na wydawnictwo „Verum”, które wydało m.in., rewelacyjną jak na warunki krajowe, książkę A. Micewskiego o Romanie Dmowskim.

Reasumując: negatywny bilans działalności grupy „ZNAK” stanowi wynik degeneracji wszelkich form działania społeczno-politycznego w kraju, pozostających w kręgu optyki partyjnej. Mimo kilku niezależnych gestów, ugrupowanie to znajduje się

faktycznie pod ciśnieniem tej optyki, warunkującej i krępującej jego istnienie. Wielu katolickich intelektualistów i katolików o zainteresowaniach politycznych, jak również rosnąca liczba „katechumenów” (rozczarowani agnostycy i marksiści szukający dróg wyjścia) oceniają działalność „ZNAK-u” jako bezużyteczną lub wręcz szkodliwą; dezorientuje ona bowiem społeczeństwo i zaciera jasno określone kontury odgraniczające rzeczywistość autentyczną i oficjalną. W warunkach pluralizmu systemu demokratycznego linia podziału światopoglądowego czy wyznaniowego nie pokrywa się z opcjami politycznymi. W systemie totalitarnym, a na domiar w kraju o przygniatającej liczbie katolików, narzucano wygodny dla monopartii schemat podziału na „wierzących i niewierzących” (mówi się naturalnie o ich „konstruktywnej współpracy”), przy czym „wierzący” mają do wyboru wyłącznie tzw. „socjalistyczne” zaangażowanie i fałszywą alternatywę: zapisanie się do PAX-u lub do „ZNAK-u”. Mało jest chętnych do skorzystania z tego typu oferty.



Jak wynika z powyższej analizy nowe kierownictwo partii nie posiada żadnej koncepcji programowej w zakresie tzw. polityki kościelnej. „Nowy kurs” Gierka oscyluje pomiędzy koncesjami uzasadnionymi wymogami taktyki a nawrotem do metod stalinowskich. Ostatnio, pewni emisariusze katolicy twierdzą, że partia podjęła rzekomo „październikową” koncepcję Wł. Bieńkowskiego. B. minister oświaty po powrocie Gomułki do władzy, znany czytelnikom *Kultury* z doskonałych esejów politycznych, propagował w swoim czasie pogląd, że władze powinny zaprzestać administracyjnej walki z Kościołem (co go niepotrzebnie wzmacnia) i starać się o zneutralizowanie jego atrakcyjności. Bieńkowski uważał, że otoczenie Kościoła klimatem obojętności i odjęcie episkopatowi kompleksu „obłożonej twierdzy”, zredukując oddziaływanie duchowieństwa na społeczeństwo, natomiast wzmożni wpływy partii. Gomułka był zbyt tępy, by skorzystać z tych dobrych rad. Gierek — sugerują emisariusze — jest inteligentniejszy, powrócił zatem do tej koncepcji.

Po pierwsze: nie ma dziś absolutnie żadnych danych świadczących o takim „powrocie”. Obchodzą nas fakty — intencje zaś komunistycznego *establishment*’u mogą stanowić przedmiot abstrakcyjnych i mało interesujących rozważań, lecz nie analizy politycznej. Po drugie: koncepcja Bieńkowskiego, niewątpliwie sprytna i dość skuteczna, stanowiła ongiś pewien krok naprzód w zestawieniu z uprzednią „koncepcją” aparatczyków; faktycznie jednak jest pozornie tolerancyjna, zakłada bowiem taktyczną

giętkość przy utrzymaniu tego samego celu. Po trzecie: minęło 16 lat od rzucenia „nowych” myśli Bienkowskiego — dziś jego koncepcja nie wystarcza, chodzi bowiem o konfrontację poglądów, czego ta koncepcja nie implikuje. Indyferentyzm, pasywna koegzystencja i taktyczne wybiegi nie mogą sprostać wymogom dynamicznej ewolucji życia międzynarodowego, w okresie kiedy państwa bloku wschodniego muszą ustosunkować się m.in. do postulatów zachodnich w sprawie „wolnego krążenia osób, idei i informacji”. Zakładając nawet, że partia poweźmie decyzję odstąpienia od szturmowania „obłożonej twierdzy” (na co na razie nie zanoszą się), Kościół pozostanie nadal jedynym czynnikiem integrującym społeczeństwo. Rozpiętość, co więcej antynomia, zachodząca pomiędzy *pays réel* i *pays légal* nie zniknie.

Dominik MORAWSKI

Pisane w Rzymie w styczniu 1973

NOTA BIOGRAFICZNA

Dominik MORAWSKI, dziennikarz, ur. w 1922 w Poznaniu, absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1945-47 sekretarz prezesa Stronnictwa Pracy w kraju; współzałożyciel Katolickiego Klubu Inteligencji Katolickiej w październiku 1956; publicysta w krajowej prasie katolickiej; po opuszczeniu kraju w 1963 zamieszkuje stale w Rzymie; komentator polityki międzynarodowej w radio, telewizji i prasie włoskiej.

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

*Był młodzieniec. Wśród pokus szedł tak nieskazanie,
Ze gdzie stopę zatrzymał, rośla lilia biała,
Ludzie mało na niego zwracali wejrzenie,
Ale wyższa istota go umiłowała.
Mówią, że tą niebianką była Prawda sama,
Rzadki gość między ludźmi, córka lepszych światów...*

Już się Pan chyba domyśla, że chodzi tu o naszego wielkiego krajana, Mikołaja Kopernika zważęcego siebie Toruńczykiem. Poe-matu dalej nie cytuję, bo za długi. Nie może być krótki, skoro podaje szczegółowy opis flirtu Kopernika z Prawdą i co z tego wynikło. Tak mi się pocziwa Deotyma przypomniała, autorka znów aktualnej Kantaty, złożonej z Przegrywki, Opowiadania oraz Chórów: Rodaków, Narodów i Światów, i słusznie nazwanej Słoneczną, żeby pasowało do bohatera, który wstrzymał Słońce*. A dlaczego? — spyta Pan — właśnie Deotyma? Dlatego że nikt chyba piękniej, z większym nakładem krasomówstwa i łezki rozrzewnienia (tak chętnie, łatwo i bez dalszych zobowiązań ronionej przez Rodaków) nie wyraził naszego uwielbienia dla Wielkiego Astronoma, choć jeden, czy nawet dwóch, zrobiło to głębiej. Co dziś znów leży jak ułamek, mimo że od powstania Słonecznej Kantaty mija właśnie sto lat, Wieszcza kreowała ją bowiem na uczczenie czterechsetletniej rocznicy narodzin Kopernika, w roku 1873 — rocznicy obchodzonej szumnie w naszej

* Do P. T. Organizatorów akademii okolicznościowych: Słoneczną Kantatę można znaleźć w „Album wydane... w czterechsetletnią rocznicę urodzin M. Kopernika” przez X. Ignacego Polkowskiego. Gniezno, 1873.

okupowanej Ojczyźnie (czy już uprawiano wtedy akademie?), uczzonej odczytami, artykułami w prasie, listami do redakcji, poemkami, kazaniem i wydawnictwami jubileuszowymi na lichym poziomie, te zaś ostatnie pod batutą zasłużonego X. Polkowskiego, którego tomy ostatnio z wielkim smakiem przewertowałam. A w tym zalewie uwielbienia żaden z zaangażowanych panów nie zdobył się na trud gruntowniejszego zgłębnienia przedmiotu, jak to uczyniły im współczesne — wstyd powiedzieć — Szwaby: Leopold Prowe i Maximilian Curtze.

Piszę oto do Pana z otchłani Londynu pogrążonego w kontemplacji naszego Toruńczyka. I niech Pan nie myśli, że Serce Emigracji pierwsze dało hasło, jakby wynikało z osobliwego znaczenia tej metropolii w naszej diasporze. Bynajmniej — pierwsi wyszli w szranki Anglosasi, reprezentowani przez znane w świecie instytucje: Royal Society, które już w styczniu urządziło sesję kopernikowską, oraz British Museum. W początku lutego otworzono w Muzeum dość okazałą wystawę „Kopernik i nowa astronomia”. Przypomina ona i ilustruje bardziej i mniej znane fakty z życia Kopernika oraz przyjęcie jego teorii przez astronomów, teologów i Anglików, a czyni to przy pomocy sporej ilości eksponatów: rękopisów, inkunabułów, starodruków, sztychów, drzeworytów, fotek i starych instrumentów astronomicznych. Całość pomalowano na granatowy z ryzym, pewno żeby było kosmicznie. Można jej zarzucić, że jest pozbawiona tak nam miłego ducha propagandy i uwielbienia. Oczywiście podążyłam na nią ledwo ogłoszono, by naocznie sprawdzić co tam o nas mówią („... a nam starym serca rosną/Ze znowu o Polakach tak na świecie głośno”). I tam, wśród tłumku zwiedzających tubylców, mile szarpnęłam mnie za ucho dźwięk ojczystej mowy. Że — jak już dawniej pisałam — pasjami lubię szwendać się *incognito* przy Rodakach i słuchać co mówią, więc też zaraz przyczepiłam się do nich i tropiłam krok w krok. Była to para w „młodym średnim” (jak mówią tubylcy) wieku i towarzyszyła jej trójka dorodnej dziatwy w wieku szkółko-sobotnio-milusińskim. Trójka ta zawzięcie rozprawiła po angielsku na obojętne tematy, zaraz więc przestała mnie interesować, tak że bez przeszkód skupiłam uwagę na rodzicach. A ci — jak się okazało — byli urażeni, że daczego na tej wystawie nie jest zaznaczone, że to był Wielki Polak? Że pora, aby Anglicy wreszcie się o tym dowiedzieli i że nasze organizacje powinny interweniować. I że czemu tu nigdzie nie ma Orła? Wreszcie zgubiłam z oczu całą piątkę: tę młodź dalej rajującą po angielsku i jej właścicieli zajętych dyskusją: czy należałoby tu umieścić Orła jagiellońskiego, czy sanacyjnego. Jak więc Pan widzi, wbrew pozorom nie brak wśród nas patriotów wrażliwych na Sprawę Polską.

Żeby Panu Kopernika w Londynie należycie opisać, podążyłam z kolei na otwarcie wystawy „Copernicana 1973” w Instytucie Sikorskiego, na ten reprezentacyjny wkład Emigracji do uroczystości Roku Kopernikowskiego, zaszczycony udziałem Najwyższych Władz Rzeczypospolitej. W dwu salkach tłok i zgiełk panował nieopisany i zaraz od drzwi rzucał się w oczy niemiły szczegół: że, Bogiem a prawdą, Kopernik mało tu kogo obchodził. Był to przede wszystkim wielki raut towarzyski, na który idzie się by zademonstrować, że te intelektualne zainteresowania, to się — panie tego — posiada, a czy chodzi o Toruńczyka, czy np. uczczenie jakiej narodowej klęski, to już mniejsza o to. Grunt żeby widzieć bliźnich i samemu być oglądanym. Rodacy tłoczyli się *plecami* ku gablotom, zawzięcie plotkowali, nad głowami braci posyłali sobie pa-pa i stawali na palcach by sprawdzić kto przyszedł. Trudno więc było cokolwiek z tego Kopernika zobaczyć, ale za to świetnie było widać Elitę Emigracji, która jest zawsze warta oglądnięcia. Powietrze było ciężkie od dymów i tytułów, i nic dziwnego — przy tak wysokiej koncentracji mgr, dr i prof., dyr., inż. i red., mjr, płk i gen. (tych wojennych i tych świeżych z ostatniego rzutu) i ze trzy tuziny wyborowych prezesów ze skarbnikami i komisjami rewizyjnymi na dokładkę. Może więc Pan zrozumieć czemu, jeśli chodzi o Wielkiego Rodaka, mało co ujrzałam i stąd o samych eksponatach niewiele mogę powiedzieć. Zdaje się, że kolekcja znaczków kopernikowskich była bardzo dobra, ale zaraz zafrapowało mnie stoisko pt. „Kopernik w sztuce”. Bezczelnie szczyrzyła z niego zębiska moja stara znajoma, tzw. Świeca Kopernikowska ozdobiona obliczem Toruńczyka, jedna z tych, którą w PRL ofiarowują sklepy z suvenirami, a artystą jest (jak nas skrupulatnie informuje katalog wystawy) Spółdzielnia Pracy „Wosko-Chemia”. Znamy się jak łyse szkapy, bo kiedyś miałam taką, ale się jej szybko wyzbyłam, bo kopciła jak nagła zaraza, i nigdy mi przy tym nie przyszło do głowy, że pomiatam Dziełem Sztuki. No, ale sztuka to sztuka, pokornie przyjmuję do wiadomości. Już się zaczęłam rozglądać, gdzie by zgłosić protest, czemu przy tej świecy nie leży herbata „Kopernik” i piernik z Kopernikiem, które przecież można tu dostać w rodzimych delikatesach, ale zaraz złapało mnie za oko coś jeszcze ciekawszego, a mianowicie stoisko „Copernicana”. Zalegały je szanowne stare księgi, źródła do dziejów Wielkiego Rodaka: Starowolski i Gassendi, zgodnie dzielący łożę z dwoma angielskimi dziełkami. Dopuszczono je do tej kompanii, bo nazwisko Toruńczyka zdobi karty tytułowe, a na dodatek są stare, więc co nam więcej trzeba? Żeby stwierdzić, co to jest, trzeba by te tytuły odczytać do końca, i to po angielsku, więc po co? Ale bez tej fatygi niesposób było zgadnąć, że coś tu nie w po-

rządku, skoro jeden tytuł głosił: „Kopernikanie wszelkiego rodzaju potępieni przez udowodnienie, że Ziemia nie ma ruchu dobowego ani rocznego”, a drugi też w ten deseń i z dodatkowym powołaniem Biblii na świadka. Jakoś mi to osobliwie nie pasowało do kultowego charakteru tej kapliczki, potoczyłam więc łzawym okiem po tym raucie, co się coraz lepiej rozkręcał, i poszłam, i było mi, Panie Redaktorze, smutno. O Wielki Mikołaju, chlubo naszej Ojczyzny! Czy widzisz z nieba jak my, późne wnuki, wielbimy Cię w tym dalekim Londynie?



Widzi więc Pan, że jesteśmy osaczeni Kopernikiem — ledwo otworzyć jaką polską gazetkę, i zaraz On: programy, zapowiedzi, zachwyty wstecz i na kredyt, a rok się dopiero zaczął i strach pomyśleć, jak tam będzie dalej. Tylko proszę mnie źle nie rozumieć: wcale nie mam zamiaru twierdzić, że to nie Kopernik wstrzymał Słońce, tylko np. Shakespeare albo, jeszcze lepiej, jego Czarna Dama, ani też wywodzić, że był to wyczyn na miarę krawca. Chodzi tylko o to, że nadmiar uwielbienia, tak zabójczy dla żywych, jest też niezdrowy dla umarłych, zwłaszcza że ci ostatni wcale o to nie proszą i na dodatek są bezbronni i łatwo stają się ofiarą udzielnienia, które z kolei prowokuje szyderstwo. Tak już jest, wszyscy znamy możliwości Kultu Jednostki. Już dziś grasuje tu wesolek (nazwisko i adres znane autorce), który głosi, że Kopernik był volksdeutschem, a czyni to oczywiście z dala od uszu deotym rodzaju męskiego, których się okrutnie wśród nas namnożyło. Co zaś do mnie, to jak mi co wlezie pod paznokcie i swędzi, mam zwyczaj bacznie mu się przyrzec i poszperać po literaturze, by nabrać pojęcia co i jak przedrzeźnić. Stąd właśnie świeżo zawarta znajomość z Deotymą i X. Polkowskim, która tak barwnie ilustruje proces upupiania i przyprawiania gęby. Tym bardziej, że rozpoczęty właśnie pięćsetny jubileusz skłania (jak piszą natchnieni sprawozdawcy z akademii) do „popłynięcia myślą” do rocznicy 400 oraz do „porównania i skonstrastowania” (jak zadawali na klasówki genialni pedagodzy mej polskiej młodości) — albowiem *historia est magistra vitae* (jak powiadają Rodacy pragnący światu udowodnić, że z wyższą edukacją miało się — panie tego — do czynienia). A tu zaraz od proga szczerzy zębiska kretyńska sprawa narodowości Kopernika. Doskonale oczywiście rozumiemy, Pan i ja, że nie chodzi tu o jego przynależność do naszego kraju, bo ta jest oczywista i żadnych apologii nie wymaga, tylko o narodowość w nowożytnym sensie szowinistyczno-rasowym. Przecież bez podkreślenia, że to był Wielki Polak-Katolik (i pewno też endek), nie

byłoby sensu budować kultów i mitów, a ich bohaterowie nie interesowałiby nas na owinięcie palca. Do przesłędzenia tej sprawy są nadzwyczaj przydatne właśnie kopernikowskie plody i zwoady X. Polkowskiego. Zwłaszcza że żadnej z współpracujących tam osób nie zaświtał w łepetynie dość zasadniczy drobiazg, a mianowicie że gdyby *illo tempore* zapytano bohatera tej kołomyjki, czy jest Polakiem czy Niemcem, to by pewno nawet nie pojął, o co się doń czepiają.

Przez parę stuleci Rodacy *en masse* byli na Wielkiego Rodaka całkiem obojętni, pewnie nawet nazwiska nie słyszeli, a jeśli nawet, to ze zgrozą należną zatwardziałym lokatorom Indeksu Ksiąg Zakazanych. Aż na początku ubiegłego stulecia odgrzebało go Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Nie potrafię powiedzieć czemu akurat wtedy: czy że zaistniało zapotrzebowanie społeczne na krzepienie serc, czy też za sprawą książki Jana Śniadeckiego „O Koperniku” właśnie przedłożonej Towarzystwu. W każdym razie u podstaw mitu leży rok 1802 — rok wydania książki Śniadeckiego oraz wysłania na Warmię przez Towarzystwo Tadeusza Czackiego i Marcina Molskiego dla odszukania pamiątek po Kanoniku Warmińskim. Epoka była sentymentalna, toteż wszelkiego rodzaju pamiątki cieszyły się wielkim wzięciem. Pomienieni mężowie doskonale wywiązali się z zadania, otworzyli mianowicie grób pod podłogą fromborskiej katedry i ogłosili znalezienie poszukiwanych szczątków. Uwieźli je oczywiście i rozwłóczyli po Polsce, co nawet zawędrowało do kolekcji puławskiej Sybilli, której sroczą zachłanność na relikwie i sentymentalne suweniry była ogólnie znana. Później okazało się, że są to kości jakiegoś krzyżackiego biskupa, ale to już nie miało znaczenia: mit zdobył materialną bazę, a w Ojczyźnie zrobiło się laurowo i ciemno. Relikwiarzyk stał sobie w Puławach, a później w Muzeum Czartoryskich, gdzie dotąd go można oglądać z sentymentem jaki serce podyktuje.

W międzyczasie potencjalni rywale do Kopernika, Niemcy, siedzieli cicho, a poszczególnie jaskółki nie czyniły jeszcze wiosny. Następną fazą rozpoczęła się w roku 1820, gdy niejakiemu dr. Solskiemu z kolegami, bawiącemu służbowo w Pabianicach, przedstawiono niejakiego Wojciecha Kopernika, syna gospodarza z pobliskiej wsi Łaskowice, przy czym wójt i sołtys zapewnili, że rodzina ta przemieszkuje we wsi „od bardzo niepamiętnych czasów”. Oczywiście wywarło to odpowiednie wrażenie i Solski zapisał, że ów młody „Kopernik miał takie same rysy twarzy, jakie widziałem na portrecie astronoma w Krakowie”. Odkrycie dawało ogromne możliwości, bo czyż może być lepszy dowód polskości Toruńczyka niż pochodzenie z rasowo nieskażonego ludu, jak Piast Kołodziej?

I znów minęło 10 lat, ale Warszawskie Towarzystwo sprawy nie zapomniało. Bohaterem następnej fazy mitotwórstwa został jego nadzwyczaj aktywny członek, matematyk Adrian Krzyżanowski. Zorganizował on poszukiwanie źródeł kopernikowskich w Prusach i Krakowie, więc przy okazji wypłynęły rewelacje Solskiego. W roku 1830 za jego sprawą Towarzystwo zaapelowało w prasie o nadsyłanie danych o Kopernikach z Łaskowic, wsi kapituły krakowskiej, bo wedle tradycji jeden z kanoników wziął z niej na wychowanie „chłopczykę zwanego Kopernik, i ten wychowaniec dobroczynnego Kapłana, zostawszy obywatelem Krakowskim, mógł być dziadem lub ojcem astronoma naszego”. Pozew wywołał pożądane echa, a nawet okazało się, że jest jeszcze lepiej niż można się było spodziewać, rodzina krakowskich Koperników jest bowiem szlachecka, „za herb miała Kopiją od której i nazwisko jej Kopinnik, z czasem na Kopirnik zmienione pochodzi”. A więc, jak przystało na znacznego człowieka, nasz Toruńczyk okazał się herbowy. Chłop czy szlachcic, zasłużył sobie wszystko jedno na pomnik w Warszawie i złapał wyobraźnię publiczności, tak że wypłynął nawet w szaradzie:

1-sze z 2-gim roślina, 1-sze z 3-ciem zwierzę.

Wszystko świat zadziwiwszy, Polsce zjedną sławę...

Powstanie listopadowe skierowało jednak uwagę na inne tory i szlachecki wątek umarł w zarodku, zwłaszcza że nie pasował do aktualnych Koperników z Łaskowic. Na jakiś czas sprawę odłożono do lamusa, a tym czasem ocknęli się Niemcy i od połowy stulecia jęli coraz głośniej zgłaszać swe pretensje, a nawet jakiś natchniony wieszcz umieścił naszego astronoma w germańskiej Walhalli, przysporzając zgryzoty Krzyżanowskiemu i zmuszając go do gromkich sprostowań. Ale sytuacja ukształtowała się na remis, bo skoro nasz piastowski Kopernik ród wiódł z Łaskowic, to ich, ten z Walhalli, też nie był gorszy, okazało się bowiem (encyklopedia Brockhousa, 1853), że jego ojciec był czystej krwi Niemcem z Westfalii, gdzie dotąd prosperują chłopci nazwiskiem Copern. I tak, na łamach prasy obu narodów, pociekły leniwe polemiki. Westfalia? Łaskowice? A może jeszcze inne propozycje? W szranki wychodzili coraz nowi zapaśnicy, rozhuśtywali temperamenty i w tym zamieszaniu każdy mógł coś sobie podebrać wedle gustu. Ale strona polska miała mocny atut w ręku: prawdziwego, żywego Kopernika alias Wojciecha Kopernoga z Łaskowic, ostatniego potomka rodu Wielkiego Astronoma. Zaś onże Kopernog „ma podobne rysy twarzy do ojca astronoma i do samego Kopernika”, jak na podstawie fotografii autorytatywnie stwierdził główny polski kopernikolog — X. Pol-

kowski, który przejął był właśnie berło po Krzyżanowskim. Od czasu pogawędki z dr. Solskim młody parobek znacznie się postarzał, bo jakżeby nie, skoro szedł właśnie jubileuszowy rok 1873? Ale to nic — najważniejsze że był jary, *compos mentis* i przede wszystkim chętny. Na prośbę X. Polkowskiego wziął go w obroty miejscowy proboszcz, X. Roman Szlosman. Wynik badań był nadzwyczaj pomyślny, bo „Wojciech Kopernóg, zapytany przeze mnie wobec kilku ludzi czy pamięta ojca i dziadka swego, nie wiedząc w jakim celu pytam go o to, odrzekł że znał dobrze dziadka swego, już miał z górą 20 lat kiedy dziadek umarł. Tenże dziadek Marek opowiadał często, że w Toruniu urodził się, zamieszkał i umarł Kopernóg z ich familii, który był człowiekiem uczonym i znanym w świecie. (Oczywiście mówił tu o astronomie Mikołaju Koperniku)”. I dla uzupełnienia tych rewelacji, X. Szlosman wyjaśnił, że „ojciec astronoma mógł być ekonomem lub rządcą zamku pabianickiego, a syna lepiej wychowawszy poleciał kapitulę krakowskiej”. Jednym słowem, pomieniony syn w żaden sposób nie mógł się urodzić w Toruniu.

Do przypiecztowania zdobyczy brakło jeszcze drzewa genealogicznego, toteż proboszcz pabianicki rącho wziął na warsztat księgi parafialne i wyhodował je w przyspieszonym tempie. Obejmowało ono z pięć tuzinów Kopernogów, aż po aktualnego Wojciecha, wdowca lat 73 bez męskiego potomka, a z braku wcześniejszych źródeł poczynało się dopiero w roku 1524. Ale ten niedobór kompensowała żywotność interesującego nas rodu — podziw ogarnia przy czytaniu wywiedzionej przez X. Szlosmana genealogii tych wszystkich „uczciwych” i „pracowitych” Pawłów, Wawrzyńców i Walentych, kto kogo z kim płodził, chrzczył i za mąż wydawał. Nic dziwnego, że nasz badacz z głębokim zadowoleniem podsumował wynik swych dociekań: „Podobnego rodu Koperników nikt nie odkrył. Już to samo przemawia (*sic*) że nieboznawca Mikołaj Kopernik jest z rodu Koperników w Łaskowicach zamieszkałych, stąd pochodzenia czysto polskiego oraz włosciańskiego”.

Takie-to rewelacyjne przyczynki, badania źródłowe oraz okolicznościową literaturę piękną na podobnym poziomie zgarnął X. Polkowski do swych okazałych wydawnictw jubileuszowych. Niemcy też oczywiście nie spoczywali, co rusz upominając się o swe prawa i nawet tak poważny uczyony jak Prowe wziął udział w tej zabawie, a lata szły i szły, niewiele nowego do sprawy dorzucając. Mimo czczego uwielbienia dla Wielkiego Polaka, nie mieliśmy do zaproponowania niczego o nim na serio aż do czasów Ludwika Antoniego Birkenmajera, historyka nauk ścisłych na poziomie europejskim, który pod koniec XIX wieku zabrał się do gruntownych studiów nad źródłami do Kopernika w Polsce, Szwec-

cji i Niemczech. Był on zbyt wybitnym uczonym by zasilać mity, ale kto może odpowiadać za nieprzewidziane wyniki swej pracy? Zaczęło się od tego, że na marginesie jakiegoś związanego z Kopernikiem inkunabułu Birkenmajer znalazł odręczny napis — narzeczcie po polsku! Tylko dwa słowa: „bok pomagay”, czy więc można było przypuszczać, że zagrzmią w Polsce na kształt gromu? Zwłaszcza że uczonej poprawnie stwierdził, że to nie ręka Kopernika? A jednak we wczesnych latach Niepodległości ten po-bożnie-małowomny napis zrobił imponującą karierę, bo amatorzy piastowskiego pochodzenia Toruńczyka nie mogli sobie przecież odmówić przyjemności ogłoszenia, że to on sam wreszcie przemówił po polsku. „Bok pomagay” posłużyło więc uczonemu językoznawcy, prof. Łosiowi, do napisania rozprawki „Polskość Kopernika” i temat z radością podjęli gwiazdziarscy koledzy Wielkiego Rodaka na łamach „Rocznika Astronomicznego Obserwatorium Krakowskiego”.

Z narodzinami hitleryzmu rzecz nabrała świeżych rumieńców, bo przecież niesposób było dopuścić, by mieszkaniec Walhalli należał do podłej słowiańskiej rasy. Polemiki stawały się coraz liczniejsze i jadowitsze, zwłaszcza w związku z wystawą paryską w 1937 roku, gdy Germania zawyła z oburzenia na widok popiersia Kopernika zdobiącego polski pawilon — popiersia, *nota bene*, nazwanego przez Adolfa Nowaczyńskiego kiczoknotem. W ślad za tym wyszła w Warszawie przez *Wiadomości Literackie* nagrodzona książka Jeremiego Wasiutyńskiego „Mikołaj Kopernik — twórca nowego nieba”. Autor znalazł się nietypowo, rodowód Astronoma wywodził bowiem z Niemców, co do których wiadomo, że nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. Basował mu w tym znany jasnowidz Ossowiecki, którego rady autor zasięgał przy pisaniu książki i, ku uciesze szyderców, wyniki seansów włączył do swego dzieła. Ossowiecki mówił dużo i mgliście. Opisał osobę, rodzinę i dom wielkiego człowieka, wyszczególnił jego romanse z różnymi paniami w Polsce i za granicą. Co nas tu jednak szczególnie interesuje, to to, że jasnowidz sprawdził nacznie, że Kopernik nauczył się po polsku dopiero w Krakowie, gdzie jakiś wysoki Polak „pisze i pokazuje mu słowa... Kopernik już mówi po polsku... bo to jest przed wyjazdem jego z Krakowa”. Czy było to „bok pomagay”, czy może co innego, zapewne już się nigdy nie dowiemy.

Nic więc dziwnego, że Niemcy książkę przyklasnęli i włączyli ją do arsenału swych argumentów, a w Polsce zawrzało i nawet krakowscy astronomowie ruszyli w bój na szanownych łamach „Ikaca”. I zaraz-że wojna przerwała zabawę, ale Kopernika nie zostawiła w spokoju, bo przecież rewindykacja nie mogła się ograniczyć do Dantzigu z Korytarzem i czegoś ponadto dla rów-

nego rachunku. Lata te, zwłaszcza w związku z rocznicą w 1943 roku, ujrzały niesłychany rozkwit literatury o germańskości Kopernika, i po wojnie echa tego gromko pobrzmiwały w ziomkowskich gazetkach. Aż ostatnio szczytną inicjatywę przejęli — którzyby przypuszczał — Niemcy amerykańscy. No cóż, różne dziwności legną się za Oceanem.



A teraz, Panie Redaktorze, przeżywamy na własnej skórze w okrągłych znów setkach liczonej rocznicy, i rozglądamy się niecierpliwie skąd nadsięgnie nowy Wojciech Kopernóg i nowa Deotyma. Wciąż jej jeszcze nie widać, ale za to jest niesłychany urodzaj na drobne, kieszonkowe deotymki, które jak ryba w fale rzuciły się z entuzjazmem w urządzenie akademii i wydawanie okolicznościowych druczków, a niektóre spędziły nawet lichutkie wierszyki „ku czci”, którym wszelako *kudy* do „Słonecznej Kantaty”. Jak Pan wie, żarłocznie czytuję nasze gazetki i gazetki, toteż — pochlebiam sobie — niezgorzej jestem poinformowana o tym, co nas jeszcze czeka nim ten jubileuszowy rok przeminie. Akcja objęła cały świat i do ataku ruszyli na wszystkich kontynentach zarówno autochtoni, jak i Rodacy, i wygląda że w nadchodzących miesiącach lica Ziemi (tej uruchomionej przez Toruńczyka) dokumentnie pokryją pomniki, pamiątkowe tablice, okolicznościowe wydawnictwa, znaczki, stemple, medale itp. *cziczka*, nie mówiąc już o Kopernikowskich Świecach. Trochę mi tylko dziwnie, że my tutaj, w Anglii — sercu Emigracji, my którzy od lat żywimy rozległe plany zaludnienia tej Wyspy patriotycznymi pomniczkami (niechby-no tak gospodarze dali nam wolną rękę!), zdaje się tym razem poprzestaniemy na... medalikach. Ani porównać z tym, co się aktualnie dzieje wśród Rodaków za Wielkimi Wodami — większy tam mają rozmach, godny pionierów Nowych Światów. Na antypodach uczczą Wielkiego Rodaka broszurkami, „słuchowiskami wizualnymi” i tańcami narodowymi: hopaj-siupaj-ruszył-ziemię-polskie-go-wydało-plemie! Ach te nachalne tańce „narodowe”, na ogół o wiele staranniej kulturowane przez wykonawców niż język ojczysty, i całkiem słusznie, bo język rzecz nieefektowna, a siupasami można imponować i stąd ich wartość prestiżowa. Z byle okazji jesteśmy nimi częstowani jako swego rodzaju mszą patriotyczną. Już bokiem wylażą i maluczko-maluczko, a utrzymy je na pogrzebach znaczniejszych wśród nas osób, celebrowane podniosłe wokół otwartej mogiły ledwo książd robi swoje. Będzie to prawdziwe misterium „narodowe”, a myśli nasze (jak powiadają natchnieni recenzenci akademii) poniosą się, poniosą...

Z drugiej strony globu wyroły się gęsto tzw. Komitety Obserwowania Kopernika (*Copernicus Observance Committees*) i zmiłuj się, Panie Boże, co z tego wyniknie! Pewnie jakieś nowe Parady, tym razem kopernikowskie — żeby on się nam tylko od tego nie upupił tak, jak już doszczętnie zwariowano Pułaskiego i Kościuszkę. Zresztą mniejsza o Pułaskiego, który nie grzeszył intelektem, ale Kościuszki to jednak szkoda. Oczywiście cała ta karuzela ma swój głębszy sens tam, gdzie istnieje zapotrzebowanie na komitety obrony imienia polskiego, ale obawiamy się, że sztydliwi autochtoni nie pojną dogłębnych celów tych parad, akademii, broszurek, a może nawet bankietów ku czci Kopernika (jako że Polak najlepiej jadłem cześć oddaje zarówno w boskim, jak i ludzkim). Nie ma się co łudzić, panowie: Toruńczyk nas swym płaszczem od szyderców nie osłoni, bo on był co innego, a my też całkiem co innego. Na szacunek *każden jeden* musi zarobić osobno i nie pomoże ani Kopernik, ani Grunwald, ani Wawel, ani nawet Pułaski pod Savannah z Sobieskim pod Wiedniem. A ośmieszyć się bardzo łatwo — jak ta damulka, którą kiedyś znałam w polskim obozie i która byle co histeryzowała: „szanuj mnie pani, bo jestem żoną magistra!” Uciechy z tego było co niemiara, a jedna stara analfabetka to aż spluwała z obrzydzenia. Ostrożnie więc, wolnego, z tym Obserwowaniem Kopernika, z podkreślaniem żeśmy jego krewni, że co Polak — to Kopernóg. Żeby czasem nie przeholować.

Spójrzmy z kolei na bliższe regiony w tym jubileuszowym roku, gdzie Rodacy również działają z rozmachem godnym tytanów. O naszych braciach na europejskim kontynencie nie mówię, bo Polacy nie gęsi i sami mogą Panu donieść. Poprzestaję na naszej peryferyjnej Wyspie. Otóż rojno tu i gwarno, a nad wszystkim czuwa centralny Komitet Kopernikowski. Setki organizacji przygotowuje własne programy, a w poszczególnych gettach gorączkowo dojrzewają akademie, wystawki i nawet uświadamiające imprezy dla tubylców, których najbardziej się boję, bo może się coś zrobić na wzór *undressed Poland* czyli Polski rozdzielanej albo rozebranej, jak w naszych wczesnych tu latach na gwałt pouczaliśmy naszych gospodarzy. Poszczególne organizacje i instytucje obiecują poświęcić Wielkiemu Rodakowi numery swych biuletynów i pisemek. Najgęściej się zarzucono na północy, gdzie osiadłe i wędrowne galówki przeciągną się aż do zimy i nawet drobna płoć w zapadłych miasteczkach nie wymknie się z tej matni. Nie wymieniam wszystkich traktamentów, jakie obiecuje prasa, bo zablokowałyby to cały numer *Kultury*, niech mi Pan jednak uwierzy na słowo honoru, że urodzaj mamy niebywały, istne nowe Millennium, i gdyby było dowiedzonym faktem, że ilość przechodzi w jakość, to cały świat wprawilibyśmy w osłu-

piąty podziw. Tu wyznam Panu jedno wstydlive marzenie: żeby tak mnie zaprosili do objęcia Łaskawego Protektoratu nad którym z tych wygłupów! Ale nic z tego, dyskwalifikuje mnie mój stan — świecki, i płeć — białołowska. I, warto jeszcze dodać, że choć tu na miejscu mamy pełne ręce kopernikowskiej roboty, to jednak patrzymy dalej własnego nosa, w dowód czego niedawno wystaliśmy oficjalną depeszę do Rodaków w Chicago, w której im komunikujemy, że „Mikołaj Kopernik to nie tylko epokowe wzbogacenie myśli i wiedzy człowieka, ale również symbol nierozzerwalnych powiązań Polski z kulturą zachodniochrześcijańską” itd. Widzi Pan, co to jest nasz Wiek Technologii: nawet najoczywistsze banały obiegają glob jak błyskawica, zbyt niecierpliwe by podróżować staromodnym listem.

Mówiąc o naszym terenie, muszę jeszcze podzielić się z Panem jedną siurpryzą, bo sama jestem dotąd pod wrażeniem. Otóż ostatniej niedzieli w rodzinnym gronie wygłupialiśmy się na temat narastającej na Emigracji eksplozji kopernikowskiej i nagle tak jakoś przyszło nam do głowy, że warto by zachęcić naszych harcerzy i zuchy do zdobywania sprawności „Kopernik”, oczywiście przy pomocy naocznego stwierdzenia, że Ziemia — jak utrzymywał przez Inkwizycję nękany Galileusz — jednak się porusza. Czy więc potrafi Pan sobie wyobrazić mój szok, gdy wczoraj z jasnego nieba spłynęło w me objęcia — właśnie TO? I teraz cały czas mnie nęka: czy mówił przez nas duch proroczy? Czy ostatnio w Rzymie wskrzeszony Książę Ciemności? Czy po prostu nie tak znów trudno, znając mentalność, przewidzieć możliwości Rodaków? W każdym razie, mam TO właśnie w rękach: okazałe, powielane i ozdobione złośliwą karykaturą Wielkiego Rodaka. Właśnie uległo się w Londynie i nosi tytuł „Sprawność Kopernika — sprawność cyklowa dla zuchów”. Otóż sprawność tę może otrzymać każdy zuch, który m.in. „umie wytłumaczyć, na czym polegało odkrycie Kopernika (np. przy pomocy piłek) oraz zna dwuwiersz:

*Polskie wydało go plemię,
Wstrzymał słońce, ruszył ziemię”*,

i który odbędzie przepisany tu cykl zbiorów. A czegoż tam nie ma! Ulepienie wielkiego portretu Toruńczyka z gwiazdeczek zdobywanych jako punkty (?). Wydawanie okrzyków „spadająca gwiazda!”, na które uczestnicy „wspinają się na palce, wyrzucając ręce do góry i zjeżdżają z przeciągłym gwizdem w dół aż do przysiadu”. Gry ruchome w słońce i planety. Wycinanie z papieru „srebrnych gwiazd, półksiężycy i słońca z wyrysowaną bu-

zią”. Odgrywanie słodkich scenek z życia Wielkiego Rodaka. I na koniec zbiórki hasło:

„Codziennie robimy dobry uczynek
Codziennie mówimy paciorek”

oraz bojowy okrzyk: „polskie go wydało plemię!”. To oczywiście tylko próbki tego bogactwa, by mógł Pan odczuć coś z tego smaczku. I jeszcze warto dodać, że nasza tzw. Brac Harcerska także działa tak jak bratnie zuchy — akurat jak przewidzieliśmy w naszym proroczym wygłupie. O Ferdurdurce, jaka szkoda, że tego nie oglądasz!

Jak więc Pan widzi, jesteśmy dosłownie osaczeni Kopernikiem. Czczą go tubylcy i czczą Rodacy, mogłoby się więc здаwać, że wszystko w porządku, że harmonia panuje doskonała. Ale to tylko pozór, bo coś w tym wszystkim zgrzyta jak tłuczono szkło w maszynie. Gdy rocznicowe imprezy urząda takie np. Royal Society, British Museum, Bibliothèque Nationale czy inna zagraniczna instytucja naukowa, to chodzi jej o Kopernika jako rozdział w historii kultury, a jego „polskość” jest tu zaledwie małoważnym przyczynkiem biograficznym. A u nas — wprost przeciwnie. Punktem wyjścia jest taki oto syllogizm: Kopernik był Wielkim Polakiem — my też jesteśmy Polacy — ergo każdy z nas jest potencjalnym Kopernikiem. Jest w tym nutka ostrzeżenia pod adresem naszego cudzoziemskiego otoczenia: szanujcie nas, psiakrew, bo... I tak jest wszędzie: na tej Wyspie i w Europie, za oceanem i na antypodach. Wszędzie wyłazi ten nasz zastarzały, ohydny i agresywny kompleks niższości — ten sam, który nam się każe czepiać do takiego np. Conrada, choć żaden przytomny Anglik nigdy nie twierdził, że ta chluba angielskiej literatury była Anglikiem. Tak samo, jak nikt się tu nie wygłupia, że Rubens i Haendel, Swift, Joyce i Malinowski byli Anglikami. Tubylcy nie mają tych prowincjonalnych kompleksów, toteż całkiem im wystarcza, że wymienieni i inni panowie zrobili to i owo dla angielskiej kultury. Ale dla nas oczywiście to by było o wiele za mało. My musimy wepchnąć im do gardeł, toporem wbić do głowy, że my lepsi i wyżsi, tylko niedocenieni. I to właśnie, na moje przynajmniej wycucie, jest podłożem także obecnego *furor Copernicanus*. Cóż może być lepszym dowodem jeśli nie fakt, że w całym tym propagandowym rozgardiaszu najmniej obchodzi nas — właśnie Kopernik? Jak żył? Czego dokonał? Przeegzaminować by ten bratni tłum zebrany na jakiejś imprezie „ku czci” — tych naszych Akademików czyli zawodowych miłośników akademii: co wiedzą o Koperniku? Okazałoby się, że absolutnie nic, prócz stwierdzenia, że był ukochanym synem Kościoła (co w tak

beznadziejnie jak nasze sklerykalizowanych środowiskach jest podstawowym warunkiem cnoty, a o Indeksie nikt nie słyszał), no i oczywiście tego głupawego wierszyka, że wstrzymał słońce, ruszył ziemię — wierszyka, *nota-bene*, którego cały ciężar tkwi w tym, że POLSKIE GO WYDAŁO PLEMIEŃ. Nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, jest im to doskonale obojętne. Mógł równie dobrze pisać romanse, wynaleźć elektryczną pralkę albo szczepionkę przeciw wścieklicznie, odkryć nieznaną ład albo zaproponować nowy krój damskiej sukni — wszystko *piknie*, byleby świat podziwiał, a my mogliśmy mu w ślepią zaświecić, że to POLSKIE PLEMIEŃ, że właśnie MY. Tak było w czasach Adriana Krzyżanowskiego, Wojciecha Kopernoga, X. Polkowskiego i Deotymy. I tak jest teraz. O wieczni, niezmienni, pod każdą szerokością geograficzną zawsze ci sami Rodacy! Czy jeszcze trzeba ilustracji?

Jak na człowieka, który żył nie tak znów dawno i jeszcze przed śmiercią, a w każdym razie zaraz po niej zrobił się sławny, o Koperniku wie się stosunkowo mało — mam na myśli pewne, źródłowo udokumentowane fakty. Z czego wynika, że nie trzeba wielkiej fatygi żeby (jeśli już się go wielbi) zajrzeć do jakiej encyklopedii czy słownika biograficznego i dowiedzieć się z grubszą, co i jak tam było. Ale, naszym starym zwyczajem, uwielbienie do niczego przecież nie zobowiązuje. Można urządać rocznicowe hece, nie wiedząc o ich bohaterze absolutnie nic i, co gorsza, wcale nie próbując się dowiedzieć. Można pokazywać, zapewne w dobrej wierze, wyroby „Wosko-Chemii” i antykopernikowskie paszkwile na równych prawach z poważnymi dziełami. O świecy i paszkwilach już było, zajmijmy się więc tym wstrętem do ustalenia paru podstawowych faktów — tego, zdawałoby się — punktu wyjścia wszelkich imprez „kopernikowskich”, bez którego ani rusz. Ów wstręt jest właśnie powodem, czemu wstęp do katalogu „Copernicana 1973” takie oto rozsnuwa perełki (a czyni to również po angielsku, by i tubylcy mogli co skorzystać):

„Swoje spostrzeżenia Kopernik omawiał z papieżem Aleksandrem VI, Leonardo da Vinci, Bramante, Novara, Buonarroti, Signiorelli (*sic*), Castiglione, Perugino — największymi ówczesnymi powagami świata nauki (*sic*), i wszystkich przekonał, że geocentryczny system Ptolemeusza jest błędny”. Dobre, co? Szkoda, że nie podano źródła, bo byłaby sensacja naukowa na cały świat. No i oczywiście zapomniano jeszcze wymienić paru osób, z którymi „omawiał” i „przekonał”: Abelarda z Heloizą, Dantego, Erazma, św. Ignacego Loyolę, Shakespeare’a i Sobieskiego pod Wiedniem. No i teraz ten pamiątkowy druczek pójdzie w świat, by nam — Jezus Maryjo! — wystawiać świadectwo. Gore, Panie Redaktorze — gore!

Równie rewelacyjna jest (tamże) próba zaktualizowania osiągnięć Tego, którego POLSKIE WYDAŁO PLEMIĘ: „Bez genialnego odkrycia Kopernika nikt by nie trafił na księżyc i nie wybierałby się na inne planety, a o postępach astronomii niech świadczy fakt, że maszyna połączona z odpowiednim „komputerem”, znajdująca się w Królewskim Obserwatorium w Edynburgu (*sic*), potrafi analizować fotografie przestworzy i na kliszy o wymiarach 10 × 10 cali przedstawiającej wycinek Mlecznej Drogi, maszyna ta określiła wielkość i odległość jednego miliona gwiazd”. Oto co świat zawdzięcza POLSKIEMU PLEMIENIU! Jasne, nie?

Rozpoczęliśmy ten list Deotymą i „popłynięciem myślą” do czterechsetnej rocznicy urodzin Wielkiego Rodaka. Zakończmy więc nawiązaniem do aktualnej, miłościwie nam panującej rocznicy pięćsetnej i oddajmy głos naszej Przyszłości Narodu — tym zuchom, które właśnie na Zielonej Wyspie pochłonięte są zdobywaniem Sprawności Kopernika i na zbiórkach deklamują z entuzjazmem podkreślającym fatalny akcent, że:

*I stąd wyszła na świat cała
Wielka prawda polskiej chwały,
Z głębi ducha polskiej ziemi
I stanęła przed wszystkimi.*

*Stąd Polacy mówią sobie
Przy swojego mędrca grobie:
„Nasze go wydało plemię,
Wstrzymał słońce, ruszył ziemię”.*

(Długo niemilkące oklaski. Wszyscy wstają. Kurtyna.)

Grażyna NOWAK

Jaś i Małgosia

Już samo miejsce mego urodzenia się jest dla prosto i... „empirycznie” myślących Amerykanów swego rodzaju niepojętym rebusem. Czerniowce były wtedy w Austrii, po Pierwszej Wojnie Światowej należały do Rumunii, obecnie są w Sowietach. Czy urodziłem się zatem jako Polak w Austrii czy, jak ustanowiono o mojej siostrze, w Rosji, bo z tej kwoty sprowadziłem ją do Stanów?

A co z Rumunią, gdzie w pierwszej klasie gimnazjum klasycznego kazano mi tłumaczyć łacinę na rumuński, o których to językach nie miałem zielonego pojęcia, mówiąc natomiast biegle prócz polskiego po niemiecku i francusku? Obywatelstw zaś miałem w życiu cztery: austriackie (z urodzenia), rumuńskie (wrzepili mi), polskie po rezurekcji (należało mi się), obecnie amerykańskie (nie potrzeba, ale należy).

Jak to wszystko wyjaśnić rodowitemu Amerykanowi, który nazywa się John Mac Videlletz?

Nie przystoi mówić wiele o sobie lecz dla późniejszych kontrastów kilka faktów jest niezbędnych. Studiowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim, byłem członkiem Związku Dziennikarzy RP, Związku Literatów, Klubu Dziennikarzy Radiowych etc.; miałem na swoim koncie kilka książek (tom nowel, kilka tomików wierszy itp.); znalazłem się w jedynej Polskiej Encyklopedii Biograficznej, wzorowanej na anglosaskiej „Who is who” — „Czy wiesz kto to jest?” z fotografią!

Potem pięć lat w Sachsenhausen i następnych pięć w Obozie

Opowiadanie „Jaś i Małgosia” było przesłane w 1971 roku do *Wiadomości* londyńskich na konkurs „Mój pierwszy rok na emigracji” i nie przyjęte do druku.

Dipisowskim jako nauczyciel gimnazjalno-licealny od... łaciny i angielskiego oraz komendant tegoż obozu; reprezentant sieci takich obozów w władz alianckich ze służbowym samochodem i... szoferem; zredagowałem i wydałem *pierwszy* polski tygodnik po wojnie, jeszcze za życia Hitlera; współpracowałem ze wszystkimi prawie pismami polskimi na świecie... uf! — wystarczy? *Sorry*.

Trzeba było wtedy z Niemiec wyjeżdżać; właśnie ożeniłem się z panną z... Ravensbrück i urodziła nam się córka — Małgosia (*chłopak będzie Jaś*). Do Ameryki zrazu było trudno. Próbowaliśmy byle gdzie — do Kanady, nawet na... Kubę! Dostaliśmy wreszcie psim śwędem i zbiegiem okoliczności pewnego dnia prawo emigracji do... wszystkich trzech! Wybraliśmy „raj na ziemi”.

12 października 1949 na wojennym statku amerykańskim minęliśmy Statuę Wolności z bagażem u nóg gotowi najniecierpliwiej zobaczyć Nowy Jork. Alіści nic z tego — na razie. Półlegalny Dzień Kolumba — ale właśnie dokerzy świętują. Jutro. (Są tu święta legalne i półlegalne — jedni obchodzą wszystkie, inni niektóre, jeszcze inni prawie żadne z wyjątkiem Bożego Narodzenia. W Dzień Waszyngtona sklepy robią kosy na wyprzedających jego imienia!) Stoimy wobec tego 24 godziny na redzie, oblizując się...

Dziecko nam kawęczy, bo przeszło na okręcie, zupełnie nieprzygotowanym do potrzeb dziecięcych — odrę. Lekarz powiedział, że nie szkodzi a wyfiokowana *nurse*'a — ruda, w nylonach i umalowana jak fordanserka z oburzeniem wołała do Małgosi, aplikując jej łyżkę jakiejś mikstury „*Open your mouth*”, co my nieudolnie tłumaczyliśmy na „otwórz buzię”. (Właśnie Zygmunt Nowakowski pisał o nieprzetłumaczalności z tak prostego języka jak polski na tak elastyczny jak angielski zwykłej piosenki ludowej „Zakwitła jabłoneczka”). Zapłakane dziecko słuchało tego jakże szorstkiego i głupiego „*Open your mouth*” — surowo „otwórz swoje (a czyjeż?) usta” (może też być pysk, bo tak samo mówią o kocie, psie i bawole) i, zaciskało szczęki...

Nasze przyszywane ciotki (jak się masz, pan Lechuś) powiozły nas czeluściami Manhattanu do Massachusetts. Fety, serwety i bankiety, ale po tygodniu co robić? Jako lokalne prezeski różnych Towarzystw Świętej Cecylii, czy też jakiejś Kompanii Ubezpieczeniowej, nazywającej się szumnie Chrześcijańskim Związkiem Narodowym pisały do władz „pulonijnych” w mojej sprawie: przyjechał polski dziennikarz, autor, nauczyciel, kacetowiec — jest kilka stanowisk nawet dość eksponowanych wolnych — może... Jest — ale tylko dla tubylców, obywateli USA, zaśluzonych tutaj (choć bez nijakich absolutnie kwalifikacji, często

bez znajomości języka polskiego!!!). Jest natomiast w tartaku „posada” tragarza belek i desek... Z Kacetu do Kacetu? Chyba nie. Pojadę do Nowego Jorku.

Pojechałem. I chodu u Annasza do Kajfasza. W nowojorskim Związku „Dziennikarzy” Polskich, do którego należy 90 % akwizytorów ogłoszeniowych, zaproponowano mi łaskawie... aspirantstwo, i to na podstawie dowodu kontynuacji Związku Dziennikarzy RP w Londynie! Ale *znowu* jest „posada” pomywacza naczyń w polskiej restauracji... Co za szczęście! (Potem dowiedziałem się, że pewnemu starszemu panu z Polski, gdzie przypadkowo był w pewnym okresie czasu ministrem, zaproponowano „stanowisko” grabarza — „kopidoła” na cmentarzu, co przyjąwszy, wkrótce na wieki tam pozostał).

Właśnie przeczytałem Celine'a „Podróż do kresu nocy”. Dlaczego nie miałbym w kraju wszelkich możliwości zacząć od zmywania naczyń? Ale nie w „polskiej” restauracji. W Richmond, takim nowojorskim *Quartier Latin*. Jakiś obmierzły grubas ormiańsko-grecki przyjął mnie do swojej kafejki (i to za łaskawym pośrednictwem pana Popławskiego!).

Obowiązki: zbierać naczynia ze stołów (to praca *Busboy*'a — całkiem inna „junia”, czego wtedy naturalnie nie wiedziałem), wozic je i nosic do kuchni, zmywać, obsuszać, układać na półkach i w szufladach; czas pracy: od południa do ósmej wieczorem; płaca: pięć „dularów” dziennie. Dwoję się i troję, zbieram zabazgrane talerze i miski, noszę, wożę, myję, płuczę, osuszam, układam i... z nóg padam.

O szóstej zdejmuję fartuch — a mój *patron* powiada, że jeszcze rondle i garnki, i zamieść interesik, i umyć na dokładkę okna frontowe, i wynieść tony śmieci i odpadków. Kiedy wszystko zrobiłem — była północ. To ja mówię mu, że bardzo dziękuję, ale ponieważ jutro wyjeżdżam do Yokohamy, to nie będę niestety mógł przyjść. A on dał mi... PIĘĆ dolarów (za 12 godzin robót z *czterech* różnych specjalności) i jeszcze był bardzo zły (widocznie znowu będzie dzwonił do Popławskiego).

Z kolegami z KZ zorganizowaliśmy pierwszą w Ameryce Organizację „Katorżników”. Na Walnym Zebraniu wybrano mnie wiceprezsem. W trakcie zebrania wchodzi na salę majestatycznie nie kto inny niż kolega mój ze szkolnej ławy gimnazjalnej — Adam Niebieszczański. Tłuściutki, okrągłutki, elegancki, szarmancki, jak zwykle trochę arogancki i nonszalancki. Rzucamy się w objęcia i z dubeltówki... Sala zamarła... taki waśniak ze mną!

— Gdzie cierpiełeś, Adasiu?

— Pod Arnheim... — odstępuje i przybiera płacziwą minę. (Ile trwał ten pechowy zrzut spadochronowy? A kto ocalał

— ocalał i jeszcze dostał medal. I Adaś był na pewno w jedwabnych gaciach i nylonowym mundurze oficerskim jak sam Churchill... Cóż ja mogę powiedzieć po PIĘCIU latach w VI rejonie dantejskim? Bez gaci nijakich, w pasiaku drelichowym i drewnianych czólnach na odmrożonych puszczelach? Nic).

— A co robisz? — pyta Adam protekcyjnie.

— Zamiatam. Piszę miotłą.

— Przyjdź do mego biura (!) — to mówią, wręcza mi welinową wizytówkę, upstrzoną, jak się okazało, chmarą tytułów.

Idę. Adam przychodzi w bankierskim futrze, fagas w podskokach mu je zdejmuję. Adam ożenił się bogato (jakżeby inaczej?) z Amerykanką, porusza się limuzyną, mieszka na Long Island koło Rockefellera, jest multiprezesem, ma kontakty. Właśnie organizuje się Radio „Rozwolnionej Europy”. Najważniejszy tubylec w tej imprezie — kuzyn jego małżonki. Znowu daje mi wizytówkę welinową z rekomendacją. Adam — eksponowany Narodowiec obiecuje mi pracę w „Polskim Desku”, jeżeli będę „mimoходом” mówił przed mikrofonem o Paderewskim po niebiesku, o Dmowskim jak najczęściej, o Piłsudskim — nigdy, a o Śmigłym jak najgorzej.

— To ty, Adasiu, jak widzę, szukasz korporanta z grubą lagą (taki obraz Adama pamiętam sprzed wojny... na korsie, na AB w Krakowie albo na Dyrekcyjnej w Katowicach). Ja bezpartyjny; wiesz, że chociaż pracowałem w Polskim Radiu, nie byłem w Ozonie. Ale znam takiego ptaszka, który jak mówi o Dmowskim — to parasol trzeba otwierać, tak się jego entuzjazm skrapla (mikrofon zardzewieje).

— Kto to taki? — zachłysnął się Adam.

— Ptakowski...

I Adam wymienił mnie na ptaszka. Nie ma to jak koledzy ze szkolnej ławy...

Tymczasem na Bankiecie Kacetowym poznałem innego zbawcę narodu „pulonijnego” — Ignacego Nurkiewicza, który, panie bździeju, miał na Brooklinie fabrykę gaśnic oraz jakichś śrubek księżycowych (już wtedy). Poparł rodaka — dał mi pracę tamże. Polegała na wkładaniu rurki do dziurki surowego szrapnela gaśnicy. Potem dzięki protekcji jego *goast writer'a* (którego tu każdy ważny facet z prezydentem na czele, posiada do pisania mu przemów), bardzo sympatycznego Dra Nabielskiego, przeniesiono mnie do drukarenki fabrycznej, skąd wypuszczałem miliony kolorowych ulotek i prospektów, radzących, jak zlokalizować przyszły pożar światła przy pomocy gaśnic „Stop-Fire”. I dostałem podwyżkę: CENTA na godzinę. Boże, co za szczęście!

Równocześnie żona moja za sprzątanie willi brokerostwa Silbersteinów na Brighton Beach gwarantowała nam mieszkanie w

suterynie. Ale ja chciałem rozejrzeć się po instytucjach i organizacjach polonijnych, bogatych a bogatych. Któregoś dnia zabrano mnie do jednej z nich. Posiadała... gmach teatralny z prawdziwego zdarzenia. Dwa piętra łóż i galeria, wszystko w tradycyjnym bordowym pluszu. Oniemiałem. Nareszcie coś lepszego niż cały ten Nowy Świat. I Malicka tu jest. Zaraz jej o tym powiedziałem. A ona:

— Wszystko dla nich, ale nic z nimi.

— To coż oni z tym cudem robią? — pytam nieśmiało.

— Wynajmują na wesela Italianom. Fotele z parkietu *usuwa się*, a w łóżach się *pitigrillą*...

I ja postanowiłem *usunąć się*. Mój przyjaciel (nie kolega) z KZ Jędrak Pleszczyński, któremu udało się grubo wcześniej tu wylądować, mieszka w perle Pacyfiku: Santa Barbara, gdzie z żoną (koleżanką mojej żony z Ravensbrück!) pracują jako tzw. służba domowa. On „zatrudnia się” w charakterze lokaja, a ona jako kucharka u pewnych ciężkich milionerów kalifornijskich. Za to mają pensję niezgorszą, wiktunek i opierunek i przestronne mieszkanie z ogródkiem.

Opisałem mu po krótko swoje przygody w poszukiwaniu złotego runa i, że ostał mi się jeno sznur. Nie tylko zaprosił, ale posłał czek na przejazd, bo my, oboje, pracując „na Wschodzie” jedliśmy gorzej niż w Obozie Dipisowym w Przegranych Niemczech, gdzie moja pensja, płacona przez szkopów w zrewalutowanych markach jako nauczycielowi w Polskim Liceum w stopniu „Studienrata” wynosiła 700 marek; druga pensja za stanowisko komendanta Obozu od Brytyjskich Władz Okupacyjnych 1.000 marek plus wierszowe w funtach sterlingach i papierosach angielsko-amerykańskich (najsolidniejsza waluta!) za artykuły, szkice, opowiadania, reportaże, wiersze, tłumaczenia, korespondencje przynajmniej w tuzinie polskich pism na obczyźnie — jeszcze raz tyle. Plus luksusowe mieszkanie, plus samochód z szoferem — kapralem Wacuchną.

Spakowaliśmy nasz wygnańczy dorobek, kilkaset książek, wzięliśmy dziecko pod pachę i pojechali Pomarańczowym Pociągiem na drugi koniec Ameryki. Tymczasem los nigdy nie odpoczywa, robi za darmo nadgodziny.

Państwo Ullmanowie — Jędraków chlebodawcy — wybrali się swoim samolotem na podniebny spacer, który zakończył się na dnie oceanu. Wobec czego mieszkaliśmy sami z Jędrkami w... pałacu, gdzie po staropolsku gościnny gospodarz (z przypadku) na żywca: prawdziwym sprzętem i na najprawdziwszej scenie trenował mnie na „butlera”, a jego żona moją żoną na „kuchtę marcepanową”. W tydzień zaczęliśmy pracować u dyrektorstwa lotniska w Santa Barbara.

To pierwsze miejsce nasze — oparte na protekcji „długoletnich” sług (Pleszczyńskich) oraz zaświadczeniu mojej żony z Brooklina jak i moim fikcyjnym świadectwie kochanego Xięcia Aleksandra Sapięhy z Nowego Jorku, dokumentującym, że jeszcze przed wojną byłem Jego Ekscelencji *waletem, lokajem i kamerdynerem* — nie było doskonałe, jak i my.

Żona pracowała prócz kuchcienia również jako pokojówka, co — uzględnwszy, iż była znowu w ciąży, źle się skończyło. Odsuwając ciężkie łoża jaśniepańskie dla lepszego zaścielenia — poroniła.

Po przymusowej skrobance w szpitalu, *nurse'a* mówi do mnie: — To był chłopak, a że wy Chryścijanie — przed wrzuceniem go do kubła na chirurgiczne śmiecie, ochrzciłam go JAŚ. Dziękuję, siostró...

S. L. LEWICKI

Woodside, Kalifornia, w czerwcu 1971 r.

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Wiersze

Krzysztof DĄBROWSKI

W PARYŻU NAD RANEM

*Nad ranem
gdy śpieszę się do ciebie
milkną światła
i dopalają się ostatnie krople snu
i tylko w pustych knajpach
szaleją psy*

*A po bulwarach
gorące oddechy metra
zatrzymują spóźnionych*

*Niżej rzeka
mocuje się z brudem
i na moment wzlatają liście*

*W resztkach ciszy starzeją się
drzewa mosty i kościoły
a tylko jakiś człowiek
biegnie ulicą i krzyczy
nad ranem*

DO ZOFII

*W to miasto wchodzę
jak w trumnę miłości
jak w otchłań studni gdzie jedyna gwiazda
choć umarła — leży promieniejąc*

*W tym mieście jestem
z kurzu i z płomienia
z pamięci z światła
i z twojego cienia*

JAK TO JEST

*Ileż wolności jest
w nędzy ponizeniu
w cierpieniu od choroby
miłości głodu grzechu samotności*

*Ileż radości jest
w podniesieniu z nędzy ponizenia
z cierpienia od choroby
miłości głodu grzechu samotności*

*Lecz czemu bledniesz
czemu chyłkiem umykasz
wolności —*

Krzysztof DĄBROWSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Krzysztof DĄBROWSKI ur. w 1941 w Warszawie. W 1961-68 studia w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w latach 1964-65 studia w Instytucie Sztuki w Chicago. W końcu 1971 r. przybył do Francji, gdzie poprosił o azyl. W latach 1966-70 publikował swe wiersze w warszawskiej *Kulturze*, *Twórczości*, *Poezji* i in.

Andrzej KORASZEWSKI

MODLITWA

Franciszkowi z Assyżu

*Boże, który jesteś w niebie
daj nam pokój na ziemi
Kolorowe foldery wzywają mnie do katedr
do ruin świątyń dawnych
z których ledwie odczytać można pychę i nadzieję
Boże, muszę odpocząć od czytania gazet
Więc raz jeszcze przeglądam
kolorowe zdjęcia
Rzucam monetę
„Pozwól mi nieść nadzieję gdzie panuje rozpacz”
Pozwól mi od rozpaczki wrócić do nadziei
W moim języku Człowiek nie ma liczby, mnogiej
a o ludziach nie zwykło się już mówić dobrze
Panie nie mam pokory
„Pozwól mi nieść wiarę, gdzie panuje zwątpienie”
Pozwól niech miłość nie dyktuje lęku
Panie.*

Andrzej KORASZEWSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej KORASZEWSKI, ur. w 1940 r., studia socjologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Poza pracą naukową — praca w Zw. Zawodowych, publikacje w czasopismach popularno-naukowych i tygodnikach, głównie z zakresu organizacji i zarządzania. Wyemigrował z Polski w roku 1968.

Wznowienia

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

★

Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704.

Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £ 5,25)

◆

TOM 228 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Wydanie drugie

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 4,30)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 224 — LESZEK KOŁAKOWSKI

OBECNOŚĆ MITU

Praca zawiera następujące rozdziały: *Rozróżnienie wstępne.* — *Mit w pytaniu epistemologicznym.* — *Mit w świecie wartości.* — *Mit w logice.* — *Sens mityczny miłości.* — *Mit, istnienie, wolność.* — *Mit i przypadkowość natury.* — *Fenomen obojętności świata.* — *Mit w kulturze analgetyków.* — *Trwałość i chwiejność mitu.* — *Wnioski.*

W przedmowie Autor pisze m.in.: „Pisałem tę rozprawkę od 1966 roku i na początku 1967 zwróciłem się do wydawnictwa „Czytelnik” w Warszawie z propozycją jej wydania. Zabiegi wydawnictwa o zezwolenie na publikację trwały lat pięć i pół i spełzły na niczym”.

Str. 136.

Cena F. 14; \$ 3,25; £ 1,25

Archiwum polityczne

Technologiczne pojmowanie dziejów

Byłem w Jerozolimie na urlopie z Afryki gdy nadeszła wiadomość, że Hitler zaatakował Sowiety. Nie podzielałem entuzjazmu jaki ta wiadomość wywarła. Rozumiałem korzyści wypływające z nowej sytuacji a nawet nie wykluczałem, że zrealizują się marzenia Polaków, że Hitler pobije Rosję a Hitlera pobiją Anglosasi.

Jednak nasza wojna, która do tej pory była kryształowo czystą sprawą — utraciła ten charakter. Czy można walczyć za naszą i waszą wolność za demokrację i prawo do samostanowienia — będąc po tej samej stronie wojennej barykady co Sowiety?

Na pierwsze lata służby w Brygadzie Karpackiej patrzę z perspektywy dziesięcioleci — jako na najszczęśliwszy okres w moim życiu. Spało się czasem na gołej ziemi, ściślej mówiąc na piasku — lecz spało się w niepowtarzalnym komforcie spokojnego sumienia. Prawda, której służyliśmy — była nie tylko prawdą lecz była również prawdą niezachwianą i oczywistą. W biuletynach obozowych a później w *Ku Wolnej Polsce* nie było potrzeby uprawiać propagandy; wystarczyło pisać prawdę. Owey prawdy nie trzeba było szukać — czy dochodzić do niej poprzez skomplikowaną i niezawsze przekonywującą analizę. Prawda — jak na prawdę przystało, była widoczną i jasną treścią każdego naszego dnia.

Po jednej stronie byli Polacy, Anglicy i Wolni Francuzi a po drugiej stronie wojska hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. W owym czasie na Zachodniej Pustyni istniał wręcz biblijny podział na dobro i zło — na siły światła i siły ciemności — na tych co opowiadali się za wolnością i demokracją i na tych co opowiadali się za ideologią totalizmu i faszyzmu.

Byłem wówczas młody i nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że tak bezkompromisowo i czysto skonstrastowane sytuacje trafiają się w życiu i w polityce niezmiernie rzadko.

Prawdę — względnie to co w danej epoce historycznej uwa-

żane jest za prawdę — formułujemy poprzez kulturę. Dlatego nie ma dziś chyba rządu w Europie, który w swoim zespole nie miałby ministerstwa kultury.

W świetle wydarzeń historycznych XX wieku to rosnące zainteresowanie polityków kulturą wydać może się dziwne. Kultura okazała się bardzo pozornie niezmiernie słaba w porównaniu z władzą polityczną. Naród, który wydał Goethego, Beethovena i Tomasza Manna — zaakceptował w krótkim okresie czasu ideologię hitlerowską, która była zaprzeczeniem zachodnio-europejskiej kultury. Nawet w ramach kartezjańskiej Francji politycy Vichy zdołali narzucić odłamowi obywateli faszyzm z drugiej ręki — operetkowy lecz tym bardziej upokarzający.

W rzeczywistości jednak uginają się nie kultura tylko ludzie. Plastyczność wykazują masy ludzkie lecz nie fundamentalne założenia naszej kultury. Nawet w Sowietach po pół wieku — choć ujarzmiono 80 czy nawet 85 procent obywateli — kultury nie zdołano w pełni wykorzenić.

Kultura europejska oparta na chrześcijaństwie jest kulturą „na wyrost”. Nigdy nie jesteśmy w stanie zrealizować w pełni jej założeń i owa „utopijność” stanowi o jej trwałości. Normy i wzorce kultury chrześcijańskiej są szlachetne i słuszne — tylko my jesteśmy niedoskonalimi. Trzeba więc zmieniać i wychowywać człowieka oraz przekształcić instytucje społeczne, by pełniej wyrażały naszą kulturę.

W świecie Zachodu nikt nie myśli o odrzuceniu kultury czy zastąpieniu jej nową kulturą. Nawet *science fiction* nie pokusiła się zaprodukować nowej kultury. Przeciwnie klasyczne dzieła w tej dziedzinie — jak „1984” Orwella czy „Nowy Wspaniały Świat” Huxley’a — przedstawiają koszmarny obraz piekła, które czeka nieuchronnie tych, którzy by chcieli unicestwić i pogrzebać naszą kulturę.

Jest coś finalnego w naszej kulturze. W świadomości każdego z nas zakorzenione jest głęboko przekonanie, że mit naszej kultury nie może być zastąpiony żadnym innym mitem — bo żadnego innego mitu nie ma i nigdy nie będzie. Słowa „mit” używam w tym kontekście w podobnym sensie znaczeniowym jaki temu terminowi nadaje Kołakowski w swojej książce niedawno wydanej przez Instytut Literacki.

Kultura chrześcijańska opiera się na serii aksjomatycznych stwierdzeń, które nie legitymując się empirycznym dowodem. Przyjmujemy na przykład, że wszyscy ludzie są równi, choć nie ma na to żadnego naukowego dowodu. Przeciwnie, obserwacja wskazuje, że ludzie nie są równi w skali porównawczej jednostek jak również w skali porównawczej ras. Postulat równości wszystkich ludzi „poprawia naturę” — co jest jedną z funkcji mitu i nakłada na nas obowiązek wyrównywania swej naturalnej niesprawiedliwości.

„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego” jest nakazem nie tylko na wyrost lecz postulatem utopijnym — ponieważ trudno sobie wyobrazić społeczeństwo, które w pełni i całkowicie zreali-

zowałoby ów nakaz. A jednak pomimo wielkiego wzrostu zbrodni i przestępczości — w coraz większym stopniu realizujemy postulat miłości bliźniego co przejawia się nie tylko w ustawicznej rozbudowie *Welfare State* lecz również w rosnącej liczbie organizacji specjalnych, które starają się rozwiązać problemy bezdomnych, opośredzonych fizycznie czy psychicznie, dzieci z rozbitych małżeństw itp., itd.

Organizacje powyższe, których są nie setki lecz tysiące — nie przypominają w niczym wiktoriańskich instytucji filantropijnych, których zasług nie należy pomniejszać. Współczesne organizacje tego typu prowadzone są nie przez amatorów lecz przez fachowy personel i pracują nie tylko w terenie — lecz tworzą również potężne *pressure groups* z którymi musi liczyć się parlament a tym samym rząd. Celem tych organizacji nie jest zebranie wśród bogatych lecz polityczna walka o zmianę ustawodawstwa lub o wprowadzenie nowego ustawodawstwa.

Przed kilku tygodniami w jednym z miast Wielkiej Brytanii zmarła samotna starsza pani. Ciało jej odkryto dopiero po kilku tygodniach. Zmarła naturalną śmiercią.

Jeszcze przed 50 laty byłby to epizod bez większego znaczenia. Lecz dziś telewizja, radio, prasa — nadały tej samotnej śmierci wymiar społecznego skandalu. Zarządzono dochodzenie, by wyjaśnić jak to się stało, że owej śmierci nikt nie zauważył, ponieważ ta śmierć była milczącym oskarżeniem społeczeństwa, że zaniedbało przykazanie miłości bliźniego. Najbliższego bliźniego, którym jest sąsiad.

Zanika tradycyjna modła życia. Automacja i nowe metody produkcji powodują bezrobocie — przerzuca się masy robotników z jednego miejsca na drugie — pewne zawody, jak na przykład zawód *docker'a*, na skutek konteneryzacji stają się zbędne. Inflacja powodowana nadmiarem towarów a nie ich brakiem jak w przeszłości — staje się zjawiskiem chronicznym. Rewolucja technologiczna wytrąciła miliony ludzi z tradycyjnej drogi życiowej co powoduje napięcia i konfrontacje społeczne, załamania psychiczno-nerwowe i wzrost przestępczości. Rewolucja technologiczna zrodziła, powódź problemów z którymi parlament nie może sobie dać rady. Codziennie odbywają się dziesiątki pochodów i demonstracji. Dawniej na ulicę wychodzili tłumnie tylko robotnicy. Dziś na ulicach demonstrują nauczyciele, urzędnicy państwowi a nawet aktorzy i emeryci. Ludzie ci demonstrują na ulicach bo sądzą, że tylko w ten sposób mogą zwrócić uwagę na siebie i na swój problem. Nie wierzą, by tradycyjną „drogą służbową” mogli cokolwiek załatwić.

Technologia uskrzydliła kapitalizm otwierając przed nim nowe perspektywy. Równocześnie, technologia spotęgowała ujemne cechy kapitalizmu. W Londynie stoją puste gigantyczne drapacze chmur i równocześnie tysiące ludzi nie ma dachu nad głową. Kapitalistyczna „wolna gra sił rynkowych” w takich dziedzinach jak budownictwo mieszkaniowe czy handel terenami budowla-

nymi — prowadzą do spekulacji na gigantyczną skalę i olbrzymich zysków — utrudniając a często uniemożliwiając średnio zarabiającemu obywatelowi zdobycie własnego domu.

Podkreślałem wielokrotnie na tych łamach, że w ustrojach demokratycznych stale poszerza się przepaść pomiędzy rządem a rządzonymi. Sztuka rządu i administrowania nie opiera się dziś na tzw. zdrowym rozsądku (*common sense*), który był zrozumiały jeżeli nie dla wszystkich to w każdym razie dla większości. Sztuka rządu uległa technologizacji — to znaczy opiera się na komputerach, które stanowią niejako spotęgowanie i przedłużenie logicznego myślenia wolnego od obciążeń „mitologicznych”. Pragnę przez to powiedzieć, że o ile społeczeństwo szuka rozwiązań poprzez kulturę — o tyle rządzący szukają rozwiązań poprzez technologię.

Przeprowadzenie autostrady przez wieś, która istniała w ramach własnej wielowiekowej tradycji — dla rządu w Londynie jest problemem z kategorii „optymalnych decyzji” — natomiast dla mieszkańców cytowanej wsi owa autostrada jest przede wszystkim problemem socjalno-kulturowym. Uprawienie ogólnopaństwowej gospodarki i dopasowanie jej do wymogów EWG wymaga często zamknięcia kilkunastu fabryk, stalowni czy kopalń. Szczegółowo i precyzyjnie zaprogramowane komputery wykażą drogą analiz i skomplikowanych obliczeń, które z owych fabryk, kopalń, stalowni itd. należy zamknąć, a które należy rozbudować. Osiągnięte na tej drodze decyzje technologiczne traktowane są przez technokratów i podległą im biurokrację za niezbite, racjonalne prawdy.

Dla setek tysięcy ludzi dotkniętych tymi decyzjami problem przedstawia się zgoła inaczej. Dla walijskiego górnika zamknięcie kopalni w jego wsi czy miasteczku stanowi przerwanie komunalnego życia, które trwało i nawarstwiało się z pokolenia na pokolenie. Jest rzeczą znaną, że górnictwo to jest nie tylko zawód lecz styl życia, który wytwarza odrębne formy zwyczajowe obyczajowe i kulturalne. Zaproponować czterdziestoletniemu górnikowi, który pracuje w kopalni w trzecim lub czwartym pokoleniu — przeniesienie się z rodziną do innej miejscowości, w innym hrabstwie, gdzie na koszt rządu będzie się uczył innego zawodu — może być decyzją stuprocentowo racjonalną — lecz w wielu wypadkach będzie to decyzja nieludzka.

Zasada, która głosi, że cel uświęca środki jest sprzeczna z kodexem naszej kultury. Jednostka może poświęcić życie dla dobra ogółu. Jeżeli ów akt ofiary jest dobrowolny — w ramach naszej kultury oceniany jest jako heroizm. Lecz czy wolno krzywdzić jednostkę czy grupę społeczną w imię dobra ogółu? Czy na dalszą metę będzie można pogodzić technologię a w szczególności technologiczny system pobierania decyzji z tradycją i skalą wartości naszej kultury? Innymi słowy, czy zdołamy pogodzić czysty racjonalizm i technologię z naszą kulturą, która oparta jest na miocie?

Technologia posiada ogromną siłę integracyjną. Poprzez setki satelitów krążących w orbicie naszej planety stworzyliśmy światowy system komunikacyjny.

Technologia powoduje internacjonalizację kapitału. Powstają gigantyczne zespoły przemysłowe operujące międzynarodowym kapitałem i międzynarodowym personelem. Bez technologii nie byłoby Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Wpływowi technologii tak na życie zbiorowe jak i na życie jednostki — poświęcono tomy studiów i rozpraw specjalistycznych. W niniejszym artykule chciałbym rozpatrzyć tylko dwa aspekty tego olbrzymiego problemu, które wiążą się z dziedziną określaną luźnym terminem „polityka”.

Alistair Cooke swą serię radiowych odczytów o Ameryce (luty br.) zakończył wizją reaktorów atomowych produkujących bezgraniczne ilości taniej energii elektrycznej, która rozwiąże większość naszych problemów. Amerykanin może spokojnie snuć wizję technologicznego rajy, w którym zautomatyzowane reaktory produkować będą oceany energii elektrycznej, która z kolei trzymać będzie na „wiekuistym chodzie” tysiące zautomatyzowanych fabryk produkujących wszystko — od szpilki po helikopter, od kotletów wieprzowych po pastylki nasenne. Lecz dla Polaka, Węgra czy Czecha — projekcja technologicznego rajy zawiera przerażającą groźbę. Tę groźbę można ująć w jednym zdaniu. Technologia powoduje, że potężni stają się arcy-potężni a słabi stają się arcy-słabi. W roku 1920 wygraliśmy wojnę przeciwko Sowieciom. Dziś — na skutek technologii nie tylko Polska lecz cała zjednoczona Europa Zachodnia nie miałaby szansy wygrania wojny z Sowieciami. Setki sowieckich pocisków atomowych zorientowanych na miasta i ośrodki przemysłowe Europy Zachodniej stanowią potencjalny kataklizm na który — bez oglądania się na Amerykanów — nie mamy odpowiedzi.

Wojny atomowej może nie będzie. Lecz groźba atomowa jest i będzie.

Kraje satelickie — a w szczególności Polska — stają się z każdym rokiem coraz bardziej uzależnione technologicznie od Rosji. Powstał nowy fenomen polityczny, który można by nazwać „technologicznym imperializmem”. Polska jest uzależniona nie tylko bezpośrednio od Rosji lecz uzależniona jest również gospodarczo i technologicznie od całego bloku sowieckiego, którego główne centrum dyspozycyjne znajduje się w Moskwie.

Podkreślić również należy, że różnorodnego typu bronie atomowe — stanowiące „śmietankę” technologicznej produkcji — wywołują głęboki wpływ na psychikę i na *morale* ujarzmionych narodów.

Rosjanie dzierżą broń absolutną, której Polska nie posiada i nigdy nie będzie posiadała. Ta broń absolutna stanowi źródło największego zagrożenia i tym samym źródło absolutnej władzy.

Obecnie ujawniono, że prezydent Eisenhower doprowadził do zakończenia wojny koreańskiej ultimatum atomowym. Eisenhower wniosł podobnie jak Truman, że ostatecznym celem

broni atomowej jest zapobiec masowej rzezi żołnierzy amerykańskich.

Nie mam żadnych wątpliwości, że w razie zbrojnego powstania w państwach satelickich na poważną skalę — Rosjanie nie zawahaliby się zagrozić użyciem taktycznych broni atomowych. Oczywiście nie mówimy o rozruchach, lecz o powstaniu równoznacznym z buntem armii satelickich.

Na dnie świadomości każdego Polaka, Węgra czy Czecha — tkwi ta tajemnica, że Rosjanie posiadają argument absolutny. Stąd ten uśmiech pobłażliwej wyższości, który nieodmiennie pojawia się na twarzach Polaków krajowych ilekroć rozmowa zachacza o „tematy niebezpieczne”. Oni to wiedzą na co dzień — my tylko wówczas gdy sobie to przypominamy.



W Anglii prowadzi się od wielu lat kampanię, której celem jest brytyjskie rozbrojenie atomowe. Przywódcy tej kampanii to nie są *fellow-travellers*. Przeciwnie, są to zachodnio-europejscy liberałowie, którzy są przeciwnikami zbrojeń atomowych zarówno Wielkiej Brytanii jak Sowietów i Stanów Zjednoczonych. Bronie atomowe — jako narzędzie totalnego zniszczenia — nie mieszczą się w ramach naszej kultury. Są sprzeczne z założeniami kultury zachodnio-europejskiej w tym samym stopniu jak sprzeczne z owymi założeniami jest ludobójstwo.

W ramach mitu rosyjskiego sprawa przedstawia się inaczej. Bronie atomowe stanowią technologiczną gloryfikację jednowładztwa, są potwierdzeniem historyczno-kulturalnej tradycji samodzielnia. Absolutna władza wyposażona w absolutną moc: ideał.

Dla zachodniego Europejczyka odrzucenie broni atomowej jest reakcją naturalną, ponieważ potępiając broń atomową Europejczyk pozostaje wierny mitowi swojej kultury.

Natomiast dla Rosjanina odrzucenie i potępienie broni atomowej byłoby równoznaczne z odrzuceniem jedynej dziejowej szansy ujarznienia europejskiego Zachodu i nawrócenia go na „prawdziwą wiarę”. Jeżeli przyjąć paradoks Sir William Hayeter'a (który spędził w Sowietach wiele lat), że „Rosja nie jest zdolna do niczego, chyba tylko do opanowania świata” — to Rosjanin, który potępił i odrzuca broń atomową godzi w samą istotę rosyjskiego mitu.

Przystąpienie Sowietów do drugiej wojny światowej po stronie mocarstw sprzymierzonych zmieniło zasadniczo kulturalny pion naszej wojny. Wspomagając Sowietów militarnie i gigantycznymi dostawami broni, choć walczyliśmy nadal przeciwko Hitlerowi i jego obozom koncentracyjnym — dopomagaliśmy równocześnie Stalinowi nie tylko wyprzeć Niemców z Sowietów lecz również utrzymać w Sowietach łągi i całą maszynę niewolniczego systemu.

Dopóki trwała wojna nie mieliśmy wyboru. Zgodnie z kodeksem naszej kultury i złemu sąsiadowi należy pomóc w nieszczę-

ściu. Nawet zbrodniarza należy ratować jeżeli wpadnie do studni. Zbrodniarza, który wpadł do studni i tonie, należy ratować. Lecz uratowawszy mu życie nie należy zapraszać go do bogato zastawionego stołu ponieważ uratowany zbrodniarz nie przestał być odpowiedzialny za swoje czyny. To jest błąd, który popełnił i który mści się na Zachodzie po dzień dzisiejszy.

Oddaliśmy pół Europy o tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej komunistom — a w kilkanaście lat później wysyłałiśmy tysiące młodych ludzi na śmierć na Korei i w Wietnamie by ratować przed komunizmem małe narody nie przynależne do europejskiej kultury.

Lecz to nie jest jeszcze jeden lament na temat Jałty. Chciałem tylko wykazać, że tak jak udział Sowietów w wojnie zmienił charakter wojny — tak przekształcenie się Sowietów w super-mocarstwo atomowe uniemożliwia rozpatrywanie zagadnienia zbrojeń nuklearnych wyłącznie w kontekście naszej kultury.

Porzekadło angielskie — datujące się z epoki imperialnej — mówi, że handlować można i z ludożercami. Można — ponieważ ludożercy reprezentują niezmiernie prymitywną technologię i kulturę. Sytuacja ulega totalnej zmianie gdy ludożercy dysponują nowoczesną technologią z technologią nuklearną włącznie. Wówczas nagle i niespodziewanie „kultura” ludożerców nabiera niezmierniej wagi. Dlaczego? Ponieważ stosowanie technologii pojmujemy poprzez kulturę. Kultura decyduje o tym czy komputery stają się, czy nie stają się, narzędziem doskonałej kontroli wszystkich obywateli. Już dziś mówi się o możliwości wyposażenia wszystkich obywateli w karty identyczności ze zminiaturyzowanym odbiornikiem elektronicznym. Poprzez centralny komputer można by wówczas natychmiast odszukać każdego obywatela gdziekolwiek by w danej chwili przebywał. Anglia nie wprowadzi tego systemu, ponieważ byłoby to sprzeczne z kulturą brytyjską. Lecz czy podobny system kontroli byłby sprzeczny z kulturą sowiecką? Nasza wiedza o Sowietach upoważnia raczej do stwierdzenia, że opisany system harmonizowałby doskonale z kulturą sowiecką.

Technologia wytwarza naiwną i niebezpieczną wiarę, że postęp techniczny upodabnia ludzi i uniwersalizuje kraje i narody. Ponieważ odrzutowy samolot sowiecki podobny jest do analogicznego samolotu amerykańskiego trudno odeprzeć refleksję, że ludzie, którzy pilotują te maszyny niejako siłą faktu muszą być do siebie podobni.

Dotychczasowe doświadczenia wskazują jednak, że choć technologia pomniejsza świat w sensie czasowo-przestrzennym — nie zbliża do siebie narodów. Supersoniczne samoloty zredukowały wielokrotnie czas podróży na przestrzeni Moskwa-Paryż. Lecz dystans dzielący Sowietów od Europy Zachodniej nie uległ zmianie.

Choć politycy nigdy nie lubili słowa „kultura” — w ostatecznym rozrachunku o wszystkim decyduje kultura. Bronie nuklearne jako takie nie zagrażają nikomu. Gdyby Europejska Wspólnota Gospodarcza posiadała dziś wyłączny monopol w tej dziedzi-

nie — można by uznać za pewnik, że wojny atomowej nigdy nie będzie. Lęk przed katastrofą atomową sprowadza się do podejrzenia, że w kontekście innej kultury niż nasza — użycie broni atomowych może okazać się możliwe.

Przetrwanie dziesiątków lat niewoli oznacza zawsze zachowanie własnej kultury. „Zniemczyć” czy „zrusyfikować” to są terminy, które nie mają nic wspólnego z lingwistyką. „Zniemczyć” nie oznacza nauczyć kogoś po niemiecku — ale znaczy odebrać komuś jego narodową kulturę i zastąpić ją kulturą niemiecką. Znałem ludzi, którzy w pewnych okresach swego życia władali lepiej językiem rosyjskim niż polskim, niemniej byli stuprocentowymi Polakami. I odwrotnie znałem ludzi, którzy namiętnie przyznawali się do brytyjskości — choć ich znajomość języka angielskiego pozostawiała wiele do życzenia. Komunizm kiedyś upadnie lecz... „Pan Tadeusz” przetrwa. Klasyczne dzieła naszej literatury przetrwają obecny zabór tak, jak przetrwały zabory poprzednie. Tam gdzie są klasycy — możliwy jest zawsze renesans, ponieważ pozostają nietknięte fundamenty narodowej kultury na których można budować.

Politycy na ogół nie doceniają tych spraw. Jednak historia narodów, jak np. litewskiego, potoczyłaby się inaczej, gdyby owe narody posiadały klasyczne literatury choćby tylko na miarę klasycznej literatury polskiej.



Prasa amerykańska podaje od czasu do czasu szczegóły dotyczące chaosu komputerowego w Sowietach. Amerykanie wiedzeni zdrowym instynktem sprzedają Sowietom tylko stare modele sprzed 10 lat. W dziedzinie komputerowej dziesięć lat stanowi epokę.

Warto na marginesie zaznaczyć, że — w ocenie Amerykanów — Chiny znacznie wyprzedziły Rosję w automacji i komputeryzacji. Chińczycy — podobnie jak Japończycy — wykazują wielkie uzdolnienia w tej dziedzinie.

Rosjanie nie tają, że ich dalekofalowym celem jest automacja i komputeryzacja wszystkich przemysłów w bloku sowieckim co umożliwiłoby osiągnięcie idealnej centralizacji — to znaczy uzależnienia gospodarek państw satelickich od jednego ośrodka dyspozycyjnego w Moskwie. Niewątpliwie w teorii jest rzeczą możliwą przekształcenie gospodarek bloku sowieckiego w jeden olbrzymi kombinat przemysłowy zarządzany centralnie z Moskwy. Ów „ideał” można osiągnąć tylko poprzez sprawną i nowoczesną automację i komputeryzację.

Na Zachodzie technologia popada często w kolizję z tradycją, z modłą życia, z etyką jak np. w sprawach wolności osobistej. W Sowietach nie ma konfliktów: kultura *versus* technologia. Istnieje natomiast konflikt pomiędzy technologią a archaicznym modelem gospodarki.

Z wielu przykładów podam tylko jeden — bardzo charakterystyczny. W sowieckim modelu gospodarczym wielkość fabryki

ocenia się ilością zatrudnionych ludzi. Im więcej robotników tym większa fabryka, im większa fabryka tym większe pensje dyrektora i kierowniczego personelu. W wielu wypadkach stwierdzono, że dostarczone komputery spoczywają nierozpakowane w składowach, ponieważ dyrektorzy boją się, że skomputeryzowanie ich zakładu przemysłowego spowoduje redukcję sił roboczych co natychmiast wyraziłoby się redukcją dyrektorskich pensji.

Lecz nie łudźmy się — za 20 czy 30 lat Sowiety doślą Zachód i w tej dziedzinie technologicznej.

Z wszystkiego co do tej pory napisałem należy wyciągnąć dwa wnioski:

I. Anty-kultura sowiecka przylega do technologii jak rękawiczka. Opóźnienia w zautomatyzowaniu i skomputeryzowaniu przemysłów powodowane są brakiem dostatecznej kadry specjalistów i archaicznością organizacji przemysłu. Gdy te przeszkody zostaną pokonane — kontrola i centralizacja, tzn. jeszcze dalsze stotalizowanie systemu, staną się możliwe i osiągalne. W ten sposób Sowiety jeszcze bardziej oddalą się od Zachodu — oddalą się nie tylko od demokracji lecz od naszej kulturowej skali wartości. W Sowietach nie ma bowiem siły, która przeciwstawiałaby się socjalnie groźnym możliwościom technologii.

II. Na Zachodzie system demokratyczny i modła życia na skutek technologii ulegają przemianom. Lecz wszelkie tendencje zastępowania kryteriów socjalnych kryteriami technologicznymi w takich dziedzinach jak komunikacja, planowanie nowych miast i nowych lotnisk — spotykają się z rosnącym społecznym sprzeciwem. Powstają setki organizacji i stowarzyszeń, których celem jest obrona socjalnych kryteriów w pobieraniu decyzji dotyczących powyższych dziedzin.

Jeszcze silniejszą jest reakcja na wszelkie zakusy technologii w sferze wolnościowych praw obywatelskich i można przyjąć za pewne, że potencjalne możliwości „totalistyczne” komputerów na Zachodzie nie zostaną nigdy w pełni wykorzystane. Sfera prywatności z całą pewnością zmaleje. Coraz więcej instytucji będzie posiadało coraz więcej informacji o każdym z nas. Rośnie centralizm co wyraża się wzrostem władzy egzekutywy nad reprezentacją w każdej dziedzinie. Najwyraźniej manifestuje się ten proces w rosnącej przewadze rządu nad parlamentem. Mocowanie się — jeżeli wolno tak powiedzieć — technologii ze starą demokratyczną kulturą stanowi jedno z głównych źródeł obecnego społecznego kryzysu, ponieważ wszystko wymaga rewizji i nowych adaptacji.

Lecz dziś istnieją już podstawy do stwierdzenia, że na zachodzie technologia będzie musiała się poddać kryteriom naszej kultury a nie odwrotnie. Nie jest jeszcze całkiem jasne co budujemy lecz jest już jasne, że nie budujemy „nowego wspianego świata”.

Natomiast w Sowietach wszystkie możliwości technologii w sferze kontroli, centralizacji i totalizacji ustroju zostaną w pełni wykorzystane.

Leży przede mną broszura wydana przez PZPR „do użytku wewnętrznego” pt. „Co każdy aktywista partyjny powinien wiedzieć o dywersji ideologicznej”.

Na stronach od 16-tej do 22-giej autor (autorzy?) broszury rozprawiają się z doktrynami rewizjonizmu, zaprezentowanymi przez Juliusza Mieroszewskiego, Zbigniewa Brzezińskiego i W. Rostowa.

Moją książkę pt. „Ewolucjonizm” wymieniono na pierwszym miejscu tylko dlatego, że ukazała się przed innymi pracami tego typu.

O ile w „Ewolucjonizmie” kładłem nacisk na stopniowe rozbrojenie komunizmu poprzez nawrót do legalizmu, zdemokratyzowanie istniejących instytucji i samej partii oraz złagodzenie cenzury — o tyle Rostow w swojej teorii „konwergencji” dowodził, że rozwój nauki i techniki doprowadzi z czasem do stadium w którym oba ustroje — kapitalistyczny i komunistyczny będą ze sobą zbieżne (*convergence*).

Ewolucjonizm w moim ujęciu wskazywał drogę powrotu komunizmu do kultury europejskiej, ponieważ uważałem i uważam nadal, że kultura decyduje o tym w jaki sposób nauka i technika wpływają na ustrój i modłę życia społeczeństwa. Mimo, że od czasu ogłoszenia „Ewolucjonizmu” minęło niemal 10 lat obstaruję przy swoim. O wszystkim decyduje kultura a nie nauka i technika.

Teorie Brzezińskiego i Rostowa naukowo świetnie podbudowane — wywarły na mnie swego czasu wielkie wrażenie. Dopiero obserwując w ostatnich kilku latach przemożny i różnorodny wpływ technologii na społeczeństwo zachodnie — zdałem sobie sprawę, że tylko narody o wielkiej kulturze i tradycji demokratycznej potrafią przeciwstawić się (częściowo!) pokusom technologii. Nie chodzi o fakt, że w każdym konflikcie: maszyna *versus* człowiek — zawsze wygrywa maszyna — bez względu na to czy sprawa dotyczy monstre-samochodów ciężarowych czy monstre-samolotów komunikacyjnych. Chodzi o dwie dziedziny — o technologię komputerową i o energię atomową. Jeżeli te dwa potencjały o wręcz nieograniczonych możliwościach — nie będą w całości podporządkowane kodeksowi wartości kultury zachodniej — przeciwstawią się kulturze zachodu, która je wyprodukowała. Nie mit zagarnie wszystko — jak pisze M. Broński w *Kulturze* (Nr 1/304-2/305) — ale technologia zagarnie wszystko.

Nie ulega wątpliwości, że technologia komputerowa i technologia atomowa nie tylko nie zbliżają komunizmu sowieckiego do zachodu lecz przeciwnie umożliwiają realizację w przyszłości anty-zachodniej cywilizacji na wzór wizji Orwella.

Każdy amerykański komputer, który ląduje w Sowietach — wzmaga nie tendencje liberalne — ale usprawnia system sowiecki i przekonywuje stalinowców, że przy pomocy nowoczesnej technologii jest rzeczą możliwą doprowadzić anty-zachodni totalizm do perfekcji.

Czy kanonem „technologicznego pojmowania dziejów” — jest teza, że rolą Zachodu jest budowa anty-tezy Zachodu? Osobiście nie jestem zwolennikiem tego typu dialektyki.

Nie jestem przeciwny dostarczaniu Sowietom komputerów czy innych technologicznych urządzeń. Lecz eksportowi technologii zachodniej winna towarzyszyć kultura Zachodu, która tę upragnioną technologię wydała. Nie powinniśmy akceptować „kontraktu”, który by zakładał, że zachodnia technologia jest wspólna, lecz kultura zgniła — że nasze komputery są znakomite, lecz nasze książki są dekadencjonalne.

Koszta wolności w naszej epoce rewolucyjnych przemian są przerażające. Przystępczość, pornografia, strajki, kryzysy gospodarcze, wynaturzenia w literaturze, w muzyce, w malarstwie, wrzenia społeczne, zwariowane sekty religijne, narkotyki i wieczny opętanczy niepokój.

Owe „koszta” na pewno należy zmniejszyć. Lecz ludzie gotowi są płacić nawet absurdalną cenę za wolność. Gdyby jutro konsulaty brytyjskie w Moskwie, w Kijowie, w Leningradzie, w Pradze, w Warszawie, czy w Budapeszcie ogłosiły, że udzielają wiz wjazdowych bez ograniczeń — Anglia zapadłaby się w morze pod ciężarem ludzi, którzy by tu wylądowali.

Tam gdzie jest wszystko lecz nie ma wolności — w gruncie rzeczy nie ma niczego. Ponieważ bez wolności — życie z komputerami czy bez komputerów — nie ma smaku.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

„Jesteśmy już tylko wasalami...” westchnął Jan Masaryk, minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, kiedy w lipcu 1947 roku zdawał swemu koledze, ministrowi handlu zagranicznego Rypce, sprawozdanie z podróży do Moskwy, gdzie dowiedział się, że towarzysz Stalin nie życzy sobie aby Czesi i Słowacy korzystali z dobrodziejstw Planu Marshalla. „To nie żadne dobrodziejstwo a zwyczajna prowokacja, powiedział generalissimus. Chodzi nie o wasze szczęście, a o izolację ZSSR”. Wielki wódz narodów tak bardzo się nie mylił, bowiem niecne intencje o których wspominał nie były istotnie obce inicjatorom dolarowego potopu. Nie mylił się także Masaryk. Jedyłą poprawkę jaką można by wnieść do jego westchnienia, to ta, że nie tylko Czesi i Słowacy, ale także i inne narody z pojańtańskiej rodziny przeszły na statut wasali. Rząd warszawski np. dowiedział się o swojej decyzji

odrzuć planu Marshalla przez radio. Radio Moskwa, naturalnie.

Gilotyna spadła w kilka miesięcy później. 17 lutego 1948 KC partii komunistycznej ogłosił alarm dla Pragi i okolic: uwaga, nadchodzi reakcyjny pucz; towarzysze, do broni. Odzew był natychmiastowy. 19 lutego przybywa do Pragi wiceminister spraw zagranicznych Zorin, poprzedzony dyskretnie czasowym przybyciem niewielkiej grupy generałów armii czerwonej. 20 lutego prezydent Benesz zostaje postawiony przed ultimatum. Sytuacja była następująca. 12 niekomunistycznych ministrów, stanowiących większość rządu postanowiło podać się do dymisji na znak protestu przeciwko usunięciu kilku ostatnich niekomunistycznych wyższych funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Naiwna dwunastka gniewnych ludzi myślała, że jeżeli w charakterze demokratycznej większości krzyknie na Gottwalda, komunistycznego premiera, to ten się przewróci i odda władzę. Ale stało się odwrotnie. To Gottwald krzyknął na Benesza i to Benesz się przewrócił. A wraz z nim demokracja. Prezydent protestował: „Pan się do mnie odnosi jak Hitler”, ale Gottwald nie obraził się, tylko trzasnął drzwiami i zagroził siłą. Kiedy więc 200.000 uzbrojonych przedstawicieli klasy robotniczej przedefilowało śródmieściem Pragi, kiedy policja broniąc socjalizmu zastrzeliła dwóch bezbronnnych studentów, kiedy w obronie demokracji bojówki partyjne obsadziły lokale partii niekomunistycznych i ich redakcje, Benesz skapitulował. 25 lutego Gottwald formuje rząd złożony z komunistów i *poputczyków*.

Jan Masaryk, syn Tomasza, twórcy odrodzonej Czechosłowacji, powiedział kilka miesięcy przedtem: „Jeżeli będę musiał wybierać między wschodem a zachodem, to wybiorę naturalnie wschód. Ale to mnie zabije”. 10 marca 1948 ciało Masaryka znaleziono rozstrzaskane na dziedzińcu MSZ, pod oknem ministerialnej łaźni. Benesz nie przeżył go długo. Zgorzkniały, chory, wycofał się z polityki w czerwcu 1948. We wrześniu umiera. Na jego pogrzebie płakała cała Czechosłowacja. Opłakiwała swego ostatniego prawdziwego prezydenta i swoją niezależność. Czesi i Słowacy nie wiedzieli nawet jak bardzo słusznie płaczą. Albowiem czarny lutowy tydzień z 1948 roku przyrównać można jedynie do bitwy pod Białą Górą w roku 1620, po której Czesi zniknęli na 300 lat z dziejów Europy.

Dziwni faceci

Ale nie chodzi tu przecież o kolorowe porównania i wypisy z kalendarza. I nie chodzi jedynie o obchód rocznicy dyskretnego zejścia Czechosłowacji z listy wolnych narodów. Chodzi natomiast o politykę, o lekcję historii, która, choć *magistra vitae*, idzie w las, na marne i zawsze zaczyna się od nowa. I choć

dzisiejsza powtórka też nie na wiele się przyda, to takie historyczne purgatorium ma swoje dobre higieniczne strony.

Nie sięgając więc zbyt daleko w przeszłość, powiedzmy że dla Benesza koniec Czechosłowacji z lutego 1948 rozpoczął się 10 lat wcześniej. Już w 1938 roku przerażony Benesz patrzył z Pragi na to co robią jego najwierniejsi i niezawodni sojusznicy, Paryż i Londyn, gdzie krótkowzroczność polityków dorównywała jedynie ich tchórzostwu. Pierwszy pogrzeb Czechosłowacji rozpoczął się w marcu 1938, w momencie *Anschluss'u Austrii*. Wyrok śmierci zapadł faktycznie 21 lutego 1938 i to wcale nie w Berlinie a w Londynie, kiedy to p. Halifax oświadczył w Izbie Gmin, że Wielka Brytania „nie udziela żadnych gwarancji”. Resztę Benesz przewidział od razu, a jeżeli nie przewidział, to mógł się dowiedzieć od niejakiego Litwinowa. Ówczesny minister spraw zagranicznych Stalina oświadczył w momencie *Anschluss'u* ambasadorowi amerykańskiemu że „Hitler weźmie się niedługo za polski korytarz i za Gdańsk”, że „nie ulega kwestii, iż Czechosłowacja będzie miała w lecie poważne kłopoty”, a także, że „niedługo tylko dwa państwa będą w stanie w Europie stawić czoła faszystom: ZSSR i Wielka Brytania”.

Na Hradczynie w tym czasie światła w oknach nie gasły. Benesz wie co go czeka. I wie już także, że nie może liczyć na nikogo, a przede wszystkim na Zachód. W momencie bowiem kiedy pewien nauczyciel gimnastyki, pół Czech zresztą, nazwiskiem Henlein, proklamuje się *führer'em* Sudetów i zwiastuje koniec Czechosłowacji, Francja nie reaguje ani jednym słowem, mimo iż traktat o sojuszu zobowiązuje ją do akcji wojskowej. Dla wszelkiej pewności 20 września 1938 wieczorem Benesz wywa ambasadora Francji i pyta, czy Paryż dotrzyma słowa w wypadku niemieckiego ataku. Kilka godzin później, Francja przy poparciu Anglii odpowiedziała, że jeżeli Praga odrzuci propozycje ugody czyli kapitulacji, to Czesi będą musieli bić się sami. Tylko pewien młody deputowany konserwatywny robi szum wokół Czechosłowacji. Ponieważ ma dobre nazwisko i jest z dobrej rodziny, więc zmusza Chamberlaina do zajęcia stanowiska. 26 września 1938 roku Foreign Office ogłasza wszem i wobec, że „jeżeli mimo wszystkich wysiłków premiera, Niemcy zaatakują Czechosłowację, to natychmiast Francja uzna się za zobowiązaną do przyścia z pomocą sojusznikowi, a Wielka Brytania i ZSSR staną na pewno u boku Francji”.

Młody deputowany nazywał Sir Winston Churchill i nie był nawet na lotnisku kiedy Chamberlain po raz pierwszy w życiu wsiadał do samolotu aby jak najprędzej znaleźć się u boku nie Francji a austriackiego kaprała nazwiskiem Hitler i udowodnić, że każde zdanie w komunikacie Foreign Office było albo kłamstwem albo głupstwem. Francja bowiem nie miała żadnego zamiaru „przyjść z pomocą”, Anglia nie miała zamiaru „stawać u boku”, a już najmniej ZSSR, który nie był nawet konsultowany w tej sprawie. Stalin słusznie więc oświadczył nieco później, że „ZSSR nie będzie za innych wyciągać kasztanów z ognia”.

Okropna wizja premiera

Tylko, powtarzamy, Benesz wiedział. Bez większego zdziwienia słuchał więc przez radio (TV jeszcze nie było) sprawozdań ze „spontanicznych, największych od 20 lat manifestacji” jakie zgotowały tłumy w Paryżu i Londynie Daladierowi i Chamberlainowi, triumfalnie powracającym z Monachium. Na rok przed wybuchem najstraszliwszej w historii wojny, angielski premier wymachiwał parasolem i świstkiem papieru, wołając o pokój na jedno co najmniej pokolenie. To wtedy właśnie ów mąż stanu powiedział: „Jakże okropna, fantastyczna, nie do wiary jest myśl, że musielibyśmy drążyć okopy, zakładać maski gazowe z powodu kłótni w jakimś oddalonym kraju między facetami, o których niewiele wiemy”.

Pamiętajcie te słowa, one towarzyszyć będą całej historii Wschodniej Europy! Od tej chwili pół kontynentu już na zawsze przeszło do kategorii „oddalonych facetów”. Nie wiadomo co tu bardziej podziwiać: hipokryzję czy zwyczajną głupotę, która, jak wiadomo, w polityce jest największą zbrodnią. W każdym razie Ribbentrop jest 30 września 1938 w Paryżu, i ma rację, kiedy bez żadnego protestu ze strony gospodarzy, rozciąga monarchijski model *desintéressement* Zachodu na wszystkich wschodnich sąsiadów Rzeszy. Leon Noël, ówczesny ambasador Francji w Warszawie nie ukrywa, iż intencją Paryża było wówczas „szybkie i wyraźne wypowiedzenie układów Francji” z Polską i ZSSR. Znany nam już Litwinow tak powiedział do ambasadora francuskiego: „Mój biedny przyjacielu, cożecie najlepszego uczynili? Dla nas nie ma już innego wyjścia niż czwarty rozbiór Polski”. Litwinow, człowiek bywały, nie pomylił się, jak wiemy. Nie przewidział tylko, że sam padnie ofiarą tej prognozy. Musiał mianowicie, ze względów rasowych ustąpić miejsca Mołotowowi, który jako czysty aryjczyk był bardziej predystynowany do załatwienia z Hitlerem sprawy „wersalskiego bękarta”, jak to pieśczośliwie, nieco później, nazwano nadwiślański kraj w najwyższym sowiecie.

Resztę już znamy. Po Monachium i po zaspokojeniu apetytów Polski i Węgier poczechosłowacką padliną, Benesz i Masaryk ustępują. 13 marca 1939 powstaje „niezależne” państwo słowackie. 14 marca 1938 Hacha i Chvalkovsky, premier i minister spraw zagranicznych Pragi wezwani są do Berlina. Dowiadują się tam, iż pokój w Europie wymaga porządku w Pradze i że tylko czasowa obecność wojsk niemieckich może zapewnić właściwe warunki normalizacji. „*Incident de parcours*” powiedzą w Paryżu i Londynie, kiedy Wehrmacht defilował przed Hitlerem przez Vaclavske Nameste. *Finis*.

W kilka miesięcy później, 23 sierpnia 1939 o godz. 18.00, Ribbentrop przechodzi przez bramę Kremla, nie wiedząc z kim będzie miał okoliczność. Po chwili jest już w objęciach samego Stalina. Podpisany zostaje traktat jawny i dwa załączniki tajne. Z pierwszego wynika czwarty rozbiór Polski i w ogóle podział Europy.

„Daję panu słowo, że ZSSR nie zdradzi partnera” — powiedział Stalin Ribbentropowi na pożegnanie. I tego słowa Stalin dotrzymał. I to tak dalece, że w chwili wzięcia Warszawy Stalin wysłał do Hitlera depezę, stawiając „scementowaną krwią” przyjaźń obu krajów. W kilka dni później Polski już nie było, a Anglią i Francją były w wojnie. O rok za późno. Jak pisze Shirer: „Gdyby Niemcy znalazły się w wojnie 31 października 1938, byłyby szybko i łatwo pokonane i ich klęska pociągnęłaby klęskę Hitlera i koniec III Rzeszy”. W 1939 roku alianci nie mieli żadnej szansy szybkiego zwycięstwa. Świat za to drogo zapłacił. Ale niczego się nie nauczył.

Bez hipoteki

Benesz już był w Londynie. I w 1943 roku odwiedził Stalina w Moskwie. Benesz bowiem był przekonany, że wysnuwa właściwe wnioski z historii. Tłumaczył więc De Gaulle'owi tak: „Rosjanie zbliżają się do Karpat, podczas gdy alianci zachodni nie są nawet gotowi do lądowania we Francji. Wynika z tego, że to armia czerwona wyzwoli mój kraj, że to ze Stalinem powinienem się porozumieć. I to właśnie uczyniłem na zasadach, które w niczym nie obciążają suwerenności Czechosłowacji”.

Benesz miał rację w dwóch tylko punktach. Po pierwsze, że nie ma co liczyć na zachód i po drugie, że to armia czerwona wyzwoli Czechosłowację. Jeżeli chodzi natomiast o suwerenność to się raczej mylił, o czym miał się stosunkowo szybko przekonać.

Pierwszy rząd wolnej Czechosłowacji utworzony został w Koszycach w kwietniu 1945. Kilka dni później, 4 maja 1945, wybuchło powstanie w Pradze. Nie wybuchło przypadkowo, amerykańskie czołgi gen. Pattona stały bowiem pod murami miasta. Churchill naciska na Eisenhowera: „Panie generale, wal Pan, bierz Pan miasto, przeciw prażaniu o niczym innym nie marzą. Czyż zresztą nie umówiliśmy się w Jaćcie, że ten lepszy kto pierwszy, i że Berlin, Wiedeń czy Pragę zajmują te wojska, które się tam pierwsze znajdą?”. Ale Eisenhower się droczy. „Ech, tam, mówi, komuniści odrzucili wszystkie nasze propozycje pomocy. A poza tym linia Karlsbad-Pilzno-Budziejowice taka ładna i wygodna. Na cholere, powiedział dosłownie, ryzykować życie choćby jednego żołnierza amerykańskiego, aby zająć kraj, który i tak trzeba będzie oddać Rosjanom”.

I nie zaryzykował. Zapamiętajcie i to zdanie. Ono także przeszło do historii Wschodniej Europy. Benesz, choć bez większych złudzeń, próbował jeszcze budować most między Wschodem a Zachodem, państwo, które by stanowiło dowód na możliwość współistnienia komunistów i innych partii, coś pośredniego, w oparciu o wspólny program z Koszyc, między komunizmem a socjal-demokracją, między dyktaturą a demokracją. I pomylił się. Teoria ta była bowiem zabawna tylko do chwili kiedy Stalin

uznał, że czas przejść do zimnej wojny. Zdanow ogłosił wtedy, że „na świecie powstały dwa obozy i trzeba wybierać”. Stalin wybrał wtedy za Benesa i to tak gruntuwnie, że Czechosłowacja musiała zrezygnować nie tylko z niewygodnej pozycji siedzącej między dwoma fotelami i z budowania mostów, ale nawet z rokowań nad zawarciem jeszcze jednego traktatu z Francją o wspólnej obronie przed niebezpieczeństwem niemieckim.

Po takim końcu „nieobciążonej suwerenności” Benesz już się tylko krótko opierał w lutym 1948. Zanim jednak wycofał się do swej rodzinnej miejscowości Sezimowo-Usti, zdążył jeszcze zainkasować kolejny koncert zbędnej hipokryzji. 26 lutego Londyn, Paryż i Waszyngton ogłosiły notę potępiającą rozwój wydarzeń, „których skutki nie mogą nie być katastrofalne dla narodu czechosłowackiego”. I rzeczywiście. Gottwald zwyczajnie zignorował to kwieciste oświadczenie. Żeby jednak nie było wątpliwości, że nie chodzi tu tylko o Gottwalda, to amerykański gen. Clay, wówczas rządzący miłościwie w Berlinie, wysłał 5 marca depezę, w której ujawnił „od kilku tygodni wyczuwam w stanowisku rosyjskim subtelną ewolucję, której nie mogę skontretyzować, ale która sprawia wrażenie, że wojna mogłaby wybuchnąć z dramatyczną nagłością”. Subtelny generał rozwiął wszystkie wątpliwości, łatwe skąd inąd do skonkretyzowania. Ryzykować życie amerykańskiego żołnierza? O co? O te kilkanaście milionów facetów, o których nic w Ameryce nie wiadomo, mieszkających w jakimś oddalonym kraju, który i tak trzeba będzie Rosjanom oddać? Ideową kropkę nad i, postawił francuski mąż stanu Bidault. Też 5 marca, też 1948 roku i także depezą wezwał on USA do jak najściślejszej współpracy „starego i nowego świata w obronie jedynej cywilizacji jakiej warto bronić”. Rozumie się, tak jak przed 10 laty i tak jak 20 lat później, cywilizacja ta nie obejmuje „oddalonego kraju, gdzie się kłóca faceci, o których niewiele wiemy”.

Miłość z granicami

Koniec Benesa i jego Czechosłowacji otwiera w historii dwa różne ale równoległe procesy. Z jednej strony zimna, letnia i gorąca wojna, a potem zimne, letnie i gorące pojednania. Państwo pamiętają zapewne Koreę, blokadę Berlina, niemiecki „nowotwór” i chirurgię Chruszczowa, rakiety w Karaibach. A potem, nie mniej pamiętne fazy przeprosin. ZSSR ubiera się w coraz strojnieszsze szaty. Począwszy od chińskiej schizmy i kilku kolejnych katastrof gospodarczych zwycięskiego komunizmu, umizgi przechodzą w głębokie uczucie. Nixon w Moskwie, SALT, zboże z Ohio, konferencja w Helsinkach. Miłość nie ma granic.

Przepraszam, ma. Wszystko kończy się na granicy obozu pokoju i socjalizmu. Z drugiej bowiem strony, dogadywanie się z Zachodem odbywa się tylko pod warunkiem monachijskiego *desintéressement*, nie mieszania się w żadne wewnętrzne sprawy

bloku wschodniego. „Czy warto *wam* ryzykować, skoro to wszystko i tak należy do *nas*” — trawestują Rosjanie wielką myśl Eisenhowera, który, nieprzypadkowo, tylko w ZSSR uchodzi za wielkiego polityka. Żeby to jakoś naukowo ująć, kremlinolodzy wymyślili nawet doktrynę Breżniewa. On sam najlepiej wie, że nic nie wymyślił, że doktryna jest nie wschodnia, a zachodnia, że sformułowana została nie w Moskwie a w Monachium.

Losem Czechosłowacji było służyć za najlepszy wzór trafności tego prawa na każdym etapie historycznym. Najpierw w fazie zimnej wojny. Kiedy Zachód odmówił powojennego bankructwa i kiedy w obliczu różnych teorii w stylu *containment*, *roll-back* czy doktryny Trumana, ratowania Grecji, Turcji, planu Marshalla itp., trzeba było utworzyć monopolistyczny, twardy jak granit, niewzruszony jak skała, scementowany krwią (skąd my to znamy), związany łańcuchem odwiecznej przyjaźni blok państw socjalistycznych, Czechosłowacja jedna z pierwszych i najgorliwszych stawia się na apel. Proces Slansky'ego, las szubienic, prochy powieszonych rozsiane po ugorach, wojna ze syjonizmem, doradcy sowieccy, rozpol na uran, towary po cenach światowych z... 1938 roku, morderstwo kultury, nikt, z nader nielicznymi wyjątkami niektórych aberacji „narodowych w formie i socjalistycznych w treści”, nie wniósł już wiele nowego w czechosłowacki model gleichszaltowania wschodu na sowieckie kopyto. Czechosłowacja, jak wzorcowy metr pod Paryżem, stała się ideałem satelizacji ochotniczej i narzuconej. A nikt się w to nie mieszał, bo przecież i tak ten dziki kraj trzeba będzie oddać Rosjanom.

20 lat później

Potem przyszedł okres przejściowy. Jak wiadomo, przejściowość okresów to specjalność socjalizmu, który, w zasadzie, nigdy z tego okresu nie wychodzi. Otóż, Czechosłowacja, z dużym opóźnieniem zaczęła przechodzić do okresu Novotny'ego. Ale zrobiła to tak skutecznie, że przeszła od razu do okresu Dubczeka. Rosjanom to nie odpowiadało. Zauważyć tu można, że mimo tezy Marksa, według którego jeżeli historia się powtarza, to za drugim razem jest już tylko komedią, w 1968 roku historia się powtórzyła, ale nikomu nie było do śmiechu. Breżniew mówił z Dubczekiem jak Gottwald z Benesem, a Czechosłowacja jak po 1938 i po 1948 roku stać się miała modelem normalizacji. Ale najważniejsze, że tak jak przed 20 laty od Pragi zaczęła się zimna wojna, tak od inwazji w 1968 roku zaczął się definitywny, na okres przejściowy naturalnie, proces zbliżenia amerykańsko-sowieckiego. Amerykańskie radary w NRF, którym muszka nie umknie, nawet nie zabrzęczały w nocy z 20 na 21 sierpnia, kiedy armada z czerwoną gwiazdą na skrzydłach leciała na Pragę. Było to tak naturalne (przecież i tak należy do Rosjan), że nikt nawet nie zwrócił uwagi na oświadczenie pre-

zydenta Johnsona. „Nie możemy i nie powinniśmy w tym 1968 roku powrócić do świata niepohamowanej agresji. Nie pozwólmy zapanować siłom agresji. Niech nikt nie żywi wątpliwości co do prawdziwych uczuć narodu amerykańskiego”, wołał prezydent po dłuższym, bo aż 8-dniowym czekaniu aż się Rosjanie wycofają. Pieczołowicie zredagowany tekst nie przyniósł większych zmian, natomiast faktyczne i manifestacyjne *desintéressement* zachodu losem Czechosłowacji, ponowne uznanie zasady nieinterwencji w wewnętrzne sprawy ZSSR, jaką była niewątpliwie likwidacja suwerennego ustroju w Czechosłowacji, uruchomiło ostatecznie wszystkie rezerwy sowieckiego „otwarcia na zachód”.

Potem już się wszystko potoczyło gładko. Dziś nawet poważni politycy zachodni nie odróżniają Polski od Bułgarii, liczy się tylko Moskwa. P. Rockefeller, prezes Chase Manhattan Bank, odwiedził ostatnio kilka krajów na wschód od Łaby. Milioner nie powinien podpisywać niczego z wyjątkiem czeków, ale p. R. o tym nie wie i postanowił swe wrażenia ujawnić w druku. Otóż, gdyby pozaklejać geograficzne tytuły poszczególnych rozdziałów, to w ogóle nie można by odróżnić, w którym kraju p. R. właśnie przebywał. Normalka, jak mawiają w Warszawie. P. R. jedyne swoje biuro na wschodzie otwiera przecież nie w Sofii a w Moskwie, choć jego urzędnicy muszą tam czekać po kilka miesięcy na skromne mieszkanie, jeżdżą Wołgami, a o dziewczynkach nie mogą nawet marzyć, bo to albo od razu krótkometrażowy film w negliżu albo kusząca kobieta okaże się w łóżku kapitanem KGB. A co to za przyjemność spać np. z kapitanem Czechowiczem?

W tej sytuacji nic dziwnego, że niektóre kraje na wschodzie do niedawna nieco samodzielne zaczynają manifestować pewne symptomy otrzeźwienia Ceausescu bardzo nie lubi sowieckiej okupacji, nawet w Czechosłowacji, ale w końcu pojechał do Pragi do Husaka, którym prywatnie głęboko gardzi. Ceausescu był mianowicie ostatnim politykiem, który odwiedził Pragę przed inwazją w sierpniu 68. Na sześć dni przed „bratnią pomocą” Ceausescu zaprzysiągł Dubczekowi wieczną przyjaźń i pomoc, ale nie mógł się wywiązać. Drugi taki to Tito. Ten też zdążył jeszcze w sierpniu 68 odwiedzić Dubczeka. Też mu wiele rzeczy obiecał, i też nie zdążył się wywiązać. W czasie kiedy Ceausescu był w Pradze, Tito przyjmował Chnioupka, „ministra spraw zagranicznych” z Pragi, co też jest zapewne wstępem do jakiejś „nieoficjalnej” wizyty Tito w Czechosłowacji lub Husaka w Belgradzie. To są ważne wydarzenia, albowiem w ten sposób Husak otrzymuje najwyższe zaświadczenie o dziewiczo-niewinnym charakterze jego ustroju od dwóch kapłanów socjalistycznej suwerenności.

Dlaczego w gruncie rzeczy Ceausescu i Tito mają być bardziej katolicy od samego papieża. Paweł VI posłał do Pragi przeciwko samemu Casaroli, jako że nareszcie Husak zgodził się na mianowanie czterech biskupów, których szalenie brakowało nad Wełtawą. Biskupem został przecież także były szef organizacji księży-

patriotów, działających pod znakiem czegoś w rodzaju czechosłowackiego „Pax”-u. Ceausescu i Tito mają naturalnie rację. W 1968 roku Breżniew poszedł dalej niż Stalin wobec Tito w 1948 roku, nawet niż Chruszczow wobec Węgier w 1956 roku. Niezależnie bowiem od bandyckiego charakteru napaści na Budapeszt, Kreml w 1956 roku mógł się powołać na decyzję Węgier wypisania się z Paktu Warszawskiego i powrotu do systemu wielopartyjnego. Ale w Pradze, w 1968? Nic podobnego. Zlikwidowane zostało autentyczne, popularne kierownictwo popieranej przez cały naród monopolistycznej i rządzącej partii komunistycznej. Mówiono: Praga 1968 to zwycięstwo wojskowe, ale klęska polityczna. Jaka klęska? Gdzie? Co Rosja przegrała politycznie? De Gaulle dał co prawda wyraz swemu obrzydzeniu, ale to jego premier wylansował natychmiast, w 30 lat po Monachium, ideę *accident de parcours* i już było po wszystkim. Klęska? Wprost przeciwnie — sukces polityczny. Dowodów przecież nie trzeba. To nie polityka się zmienia, to tylko partnerzy się zmieniają.

„O nie, my to zupełnie co innego!”

W świetle tych rozważań, zupełnie śmiesznie wyglądały wszelkie próby porównywania Francji 1973 do Pragi 1938, 48 czy 68. Piszę te słowa w spokojnej atmosferze, w dzień po drugiej turze wyborów francuskich. Ale ja byłem taki mądry i przed wyborami, porównanie takie nie miało w ogóle sensu. Po pierwsze bowiem, Rosjanie, jak to jeszcze Stalin udowodnił, należą do najbardziej lojalnych partnerów świata kapitalistycznego. A nigdy jeszcze w historii Rosja nie miała bardziej spokojnego, bardziej konserwatywnego i mniej awanturniczego kierownictwa niż trojka Breżniewa. Można spać spokojnie i jak długo Zachód nie będzie się pchał w wewnętrzne sprawy bloku, nic Francji nie grozi. Francja jest bowiem z tej strony linii podziału świata, a ta linia to dla Kremla rzecz absolutnie święta. Po drugie — we Francji nie ma wojsk sowieckich. Po trzecie — Francja nie ma wspólnej granicy ani z ZSSR ani nawet z obozem. Po czwarte i najważniejsze wreszcie — Kremlowi wcale nie zależało na zwycięstwie lewicy we Francji. Breżniew woli niezawodny, konserwatywny rząd Pompidou od niepewnej awantury frontu ludowego. Tu znowu nic się nie zmieniło. W chwili zwycięstwa Frontu Ludowego, tego pierwszego w 1936 roku, cytowany już Litwinow powiedział w wywiadzie dla pewnego dziennika paryskiego: „Najważniejsze aby Francja nie dopuściła do osłabienia swej potęgi wojskowej. Pragniemy, aby żadne zakłócenia wewnętrzne nie ułatwiły realizacji zamierzeń III Rzeszy”. Teraz też Breżniew chciałby przykryć Pompidou, aby się on tylko nie przeziębził. Polityka ta sama, tylko partner się zmienił. Zresztą Breżniew woli trzymać komunistów francuskich w opozycji. Kreml wie, że nic tak nie korumpuje jak władza i że w rządzie komuniści francuscy, ostatni bastion stalinizmu i bezkompromi-

sowego prosowieizmu na Zachodzie, ulegliby niechybnie za-
truciu.

Dla Kremla najlepszy jest *status quo*. Każdy *status quo* — terytorialny, ideologiczny, polityczny. Najlepszy taki Zachód, co to nie ryzykuje. Jak ten, który 35 lat temu nie ryzykował bo i tak trzeba było oddać tych facetów Hitlerowi. Jak ten co nie ryzykował 25 lat temu, bo i tak trzeba było ich oddać Stalinowi. Jak ten, który 5 lat temu o żadnym ryzyku nawet nie myślał, bo nikomu nie przychodziło do głowy, że Czechosłowacja, lub też inny kraj na Wschodzie, mogą do ZSSR nie należeć.

Lord Palmerston zwykł był mawiać: „Prawdziwe mocarstwa nie mają ani stałych przyjaciół, ani stałych nieprzyjaciół, mają tylko stale interesy”. Czechosłowacja, i nie tylko ona, należała czasem do niestałych przyjaciół Zachodu, ale nigdy do jego stałych interesów. Interpelowani prywatnie, Amerykanie czują, że z tymi stałymi i niestałymi przyjaciółmi coś nie tak jak trzeba. Nadrabiają więc miną i próbują takiej odpowiedzi: „Do 21 sierpnia 1968 w Czechosłowacji żyło 15 milionów przyjaciół ZSSR. Od tego dnia żyje tam 15 milionów wrogów ZSSR. Czy USA zrobiły kiedyś lepszy interes nie ryzykując ani jednego żołnierza. A przecież i tak trzeba by to było oddać Rosjanom”.

To się w Ameryce nazywa zwycięstwem pragmatyzmu. Od takich zwycięstw bieleje włos. Zwłaszcza Czechom i Słowakom. Ale nie tylko im...

BRUKSELCZYK

Pisane 12 marca 1973

ROBOTNIK

Organ Polskiej Partii Socjalistycznej — kwartalnik.
Omawia zagadnienia polskiego ruchu robotniczego.
Wychodzi lat 79 z czego 55 lat na uchodźctwie
ale zawsze dla kraju.

Prenumeratę zamawiać można w administracji:
84, Fordhook Ave., London, W.5., England.

Sąsiedzi

Byłem...

Bardzo stary człowiek, mieszkający w Polsce, wyruszył w podróż, zapewne w jego życiu ostatnią, do swoich stron rodzinnych. Wzruszający opis tej podróży, przesłany przez niego za granicę z prośbą o opublikowanie, dość długo wędrował zanim dotarł do naszego pisma. Drukujemy ten dokument zachowując wszystkie właściwości polszczyzny autora, ograniczając się do poprawienia kilku oczywistych błędów syntaktycznych.

Redakcja

Zaryzykowałem odwiedzić kolebkę swej młodości Mińsk Litewski, Orszę i Smolany pomimo, że w swoim czasie, w latach 1944-1947, musiałem przymusowo zwiedzić łagry w Ostaszkowie i Morszańsku.

3 października 1971 roku ruszyłem w tzw. indywidualną podróż na wschód. Na granicy koło Brześcia podniesiono nasz wagon w górę, usuwając europejskie podwozie i osadzając na szerokim podwoziu kolei radzieckich. Kontrola celna nie była zbyt uprzejma, po czym mogłem kontynuować sen w wagonie sypialnym. Z dworca w Mińsku (były brzeski) odwieziono mnie samochodem do Hotelu „Jubilejny”. Obsługa spotkała mnie bardzo uprzejmie i odprowadziła windą do pokoju na 6-ym piętrze, gdzie jest łazienka z ciepłą wodą, prysznic, telefon no i naturalnie radiotoczka. Tu spostrzegłem, że w drodze zgubiłem okulary, ale na szczęście obsługa przypomniała sobie, że mają u siebie zapomniane przed rokiem przez kogoś okulary, które, jeżeli pasują (a właśnie pasowały) mogą sobie zabrać. Czuję, że to był szczerzy, przyjazny gest Białorusinów wobec Polaka, o czym później przekonywałem się na każdym kroku. Zaraz po śniadaniu poszedłem zwiedzać miasto. Poszedłem najpierw zobaczyć kościół św. Szymona, który górował nad Mińskiem, a który już służba hotelowa

pokazała mnie przez okno: kościół stoi przy obecnym dużym placu za ogrodzeniem. Wiem, że intencją fundatora było postawienie świątyni w takim stylu, aby rząd carski nie mógł później zamienić jej na cerkiew, tak jak kiedyś to zrobił w Białyniczach nad Drucią, gdzie dłuższy czas utrzymywała się legenda, że zamalowany katolicki obraz wciąż się odnawiał. A Białynicze były kiedyś mekką, dokąd szły pielgrzymki katolików z Mińszczyzny i Mohylewsczyny. Otóż kiedy tak rozmyślałem nad smutnym losem opuszczonego kościoła św. Szymona podeszła do mnie uroczą niewiasta w średnim wieku i powiedziała po rosyjsku, że rozumie mój ból nad losem tej świątyni, dodając że tutejsi katolicy jeżdżą do Rakowa, zdaje mi się, i do Klecka, gdzie są kościoły i księża. Później poszedłem na cmentarz katolicki na dawnej Złotej Górze, a obecnie zwany Kalwarią — to najwyższy punkt Mińska. Zachowały się tam groby dawnych kresowców z XIX wieku — Puciatów, Czeczotów, Bohdanowiczów, Hryhorowiczów, Sipajłów i innych. Mały kościółek zamknięty na kłódkę, w pobliżu okazały grób rodziny Ejgieltów. Kiedy tu oglądałem to wszystko podeszedł do mnie, jak mi się zdawało, Białorusin, prosząc aby za nim pójść, to mnie coś pokaże. Trochę dalej od kościółka pokazał groby jego rodziców z okresu 1920-30 r. z polskimi napisami Świętorzeckich — mówiąc, że on właśnie jest Świętorzecki, wymawiając osobno *r* i *ż* i że już zapomniał mowę polską, ale że wiedział kogo prowadzi do nich, obserwując jak wielkie wrażenie zrobił na mnie fakt zmiany czasów, pytając jednocześnie o moje nazwisko. Teraz serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie. Później opuściliśmy cmentarz, ale na ulicy mówił, że trzeba rozmawiać ciszej.

Po rozstaniu się ze Świętorzeckim pojechałem trolejbusem na były plac soborny, skwerek na placu mało się zmienił od carskich czasów. Na miejscu zniszczonej katedry katolickiej stoi nowoczesny kilkupiętrowy dom, a obok, jak przypuszczam, ocalała siedziba b. gubernatora. Sobór prawosławny z dwoma wieżami ocalał, nie wiem dokładnie czy w nim odbywają się nabożeństwa, ale widziałem jak kilka starszych kobiet wchodziło bocznymi drzwiami aby pomodlić się. Za soborem jeszcze pozostały stare relsy od dawnego konnego tramwaju, którym się zjeżdżało na tak zwany niski rynek. W pobliżu soboru pozostały jeszcze opuszczone sklepy żydowskie (tak zwany wysoki rynek), które były niegdyś urządzone w jakiejś starej okrągłej kamienicy. Te relsy w starym bruku i te sklepy, gdzie przy drzwiach wisiły jeszcze staroświeckie połamane kłódki najbardziej rozczulały człowieka, który tu nie był 60 lat, a zdawało się, że to było wczoraj. Widziałem też w innym miejscu obdrapaną starą jednopiętrową kamieniczkę z charakterystycznymi zewnętrznymi schodami na

I piętro. Rozplanowanie ulic Mińska tak się zmieniło, że absolutnie człowiek się gubi w tym nowym labiryncie. Zapytałem kiedyś przechodnia czy można w kiosku kupić plan miasta, a on mi na to, że niech Pan nawet nie pyta („*Wy daże nie spraszajawajtie*”). Mocno uścisnął moją dłoń, dając do zrozumienia, że mogą podejrzewać o szpiegostwo. Komunikacja bardzo tania, trolejbusy i autobusy bez konduktora, a bilety wykupione w kioskach odbija się w automatach, które często się psują. Kierowca ogłasza przez głośnik jaki przystanek i przypomina o uiszczeniu należności za przejazd. Czasami nie miałem dobrych, więc ktoś z podróżnych użyczał mi gratis swego biletu. Mój hotel stoi nad Świsłoczą, która jest ocebrowana, mnie się zdaje, że to Lachówka, za rzeką drewniane parterowe domki to rzekomo dawna „tatarska sloboda”. Byłem w dawnym ogrodzie gubernatorskim, obecnie imienia Gorkiego. Tu mój wzrok popieściły stare sosenki nad trekkiem. Ani śladu archijerejskiej cerkwi, a i teatr „Kupały” w innym otoczeniu wydał mi się obcy. Byłem na Sierebrance — dzielnica w budowie, rozkopana, kupy piachu i pustka. To samo na Storożówce. Wieczór spędziłem w restauracji hotelowej, gdzie różnie jazz — publiczność mieszana, pół mińszczan i pół obcokrajowców, tańczą bardzo ładnie, sala obwieszona herbami miasteczek: Sienno — skrzyżowane kosy, Postawy — trzy rybki, a Prużana — żubr. Sąsiadem moim przy stoliku był Niemiec mówiący po rosyjsku, który przyleciał z New Yorku. A innym razem Uzbek więcej sympatyczny, i mniej sympatyczny Rosjanin partyjny lat 25, który szczyt się tym, że wygnał swoją żonę za to, że nosiła krzyżyk na szyi.

Drugiego dnia swego pobytu w Mińsku odważyłem się wyjechać poza miasto, na co przepisy nie zezwalały i pojechałem autobusem do Tołoczyna autostradą Brześć-Moskwa. Łapczywie przyglądałem się polom i małym wioszczkom o drewnianych zabudowaniach. Mijaliśmy Kurhan Sławy, który mało mnie wzruszył. Sąsiad mój, młody człowiek, chętnie mnie wyjaśniał niektóre szczegóły dotyczące rolnictwa: na przykład te ogromne zbiorniki rozrzucone po polu to benzyna dla traktorów. Potem opowiadał, że skończył szkołę melioracyjną w Homlu i że miał kolegów Rosjan, którzy tak lubili Polaków, że specjalnie uczyli się polskiego, że na Polesiu dużo łośi, które prawie nie boją się ludzi. W końcu tak się zaprzyjaźniliśmy, że on nawet przyznał się, że ma tranzystor i słucha Waszyngtonu. W Borysowie zatrzymaliśmy się po drugiej stronie rzeki Berezyny w pobliżu jakby odnowionej kopalustej cerkwi. Po krótkim postoju przejeżdżaliśmy koło Prijamina i stacji Krupka, mijaliśmy też ogrodzony drucianą siatką kołchoz o symbolicznej nazwie „Bolszewik”. Z przystanku autobusowego Tołoczyn pojechałem okropną drogą miejsco-

wym autobusem na dworzec kolejowy. W międzyczasie uciałem pogawędkę z kołchoźnikiem, który mile mnie tytułował po białorusku „dziadulo”. Mówił, że mieli dobry urodzaj, że w kołchozie lepiej niż w sowchozie, że mają dobre mieszkania itd. Zaczynam wierzyć, że ten ustrój spółdzielczy utrzyma się, że maszyny rolnicze i z góry nakazana agrotechnika podniosła jednak wydajność zbiorów, a najważniejsze to niesamowite złodziejstwo — widocznie komunizm wytrącił poczucie cudzej własności.

Wracałem do Mińska tegoż dnia, ale już koleją, pociągiem towarowo-pasażerskim. Trzeba powiedzieć że pociągi chodzą bardzo punktualnie. W drodze podsiadł się do mnie jakiś gość z odległego przedziału i zaczął opowiadać mi, że astrachańscy Tatarzy nie honorują zarządzeń władz sowieckich — ja nie chciałem wdawać się z nim w dyskusję i milczałem, a wówczas on wstał i poszedł na swoje miejsce mówiąc: „nie, ja polityki nie uprawiam”. Przypuszczam, że ten facet orientował się do kogo mówi, ale mój brak reakcji zachwiało to jego przypuszczenie. Tory kolejowe jak zawsze są obsadzone świerkami, ale grunty przytorowe tak jak u nas nie są wykorzystywane rolniczo. Nazwy stacji w dwóch językach: u góry rosyjski, tak jak i nazwy ulic w miastach, a w dole białoruski, odczuwa się odwrót od internacjonalizmu... Czytałem w prasie, że wkrótce mają być wydane mapy rozmieszczenia dialektów mowy białoruskiej. Widziałem takie dziwolągi jak nazwy dwóch stacji pomiędzy Borysowem a Mińskiem — „Pobieda proletariata” i „Krasnoje znamia”, a Żodino obecnie nazywa się Żodino.

Podróż do Smolan

Kiedy już udało mi się bez większych przeszkód zjechać aż do Tołoczyna i cało wrócić, postanowiłem na 3-ci dzień pojechać przez Berezynę, Mohylów, Orszę i w Smolanach zanoć. Wyjechałem autobusem z dworca o godz. 7-ej niezłą szosą do miasteczka Berezyna. Szosa obsadzona 5-ma rzędami drzewek, tak że pół prawie nie widać. Dużo torfowisk poprzecinanych melioracyjnymi kanałami, które podobno z braku śluz nie mają zastosowania. Przejężdżaliśmy przez sowchoz Nataljewsk, gdzie nasz autobus przy okazji podwoził bezpłatnie, tak jak i u nas, dzieci do szkoły. I tu odczuło się ten reżym sowiecki, nawet już od dziecinnych lat! Na rozkaz kierowcy: „rebiata, żywiej” dzieci, jak koraliki na sznureczku wbiegały przez przednie wejście do autobusu tak szybko, że chyba w pół minuty ulokowało się na stojąco ze 40-ro dzieci. Po paru kilometrach gdzieś koło szkoły to wszystko migiem wysypało się. W Berezynie autobus

stał 5 minut w pobliżu rzeki na wzgórzu, skąd jednak nie było widać zabudowań dworskich z wysokim białym murem. Pojechaliśmy dalej przez długi most przez Berezynę a w myśli sięgałem dalej po rzece gdzieś do Brodzca, Boratycz, Gobyłanki, Wiazowca, Pućkowa. Teraz już przez tak zwane mszary, przez Druć do Białynicz, w okolicach w których dużo młodego lasu, gdyż jak mnie informował młody leśnik, lasy obecnie zajmują 35 % powierzchni Białorusi, podczas kiedy w Polsce tylko 25 %. Do Białynicz, a raczej do rzeki Druć, droga monotonna bez przystanków. Miasteczko o starej zabudowie, chyba ocalało od pożogi wojennej. Sławnego kościoła nie widziałem, gdyż jest o kilka kilometrów od Białynicz. Po paru minutach postoju, mijając wieś o ładnej nazwie Kniażyczy, jedziemy do Mohilowa. Na dworcu autobusowym jakiś starszy człowiek, widząc moją nieporadność, bo nie wiedziałem jak dalej jechać do Orszy, koleją czy autobusem, poradził autobus, gdyż prędzej dochodzi. Żegnając mnie powiedział cichaczem: „Ja służyłem w wojsku polskim”. W autobusie poprosiłem jakiegoś młodego człowieka, aby usiadł przy mnie i miło sobie rozmawialiśmy na różne tematy. Spokój zakłócał jakiś pijany wojskowy wykrzykując niecenzuralne słowa i jak mnie się wydało, coś antypaństwowego: wówczas kierowca przez megafon krzyknął, że każe mu wysiąść, jeśli się nie uspokoi. To poskutkowało natychmiast. Szosa względnie dobra, też gęsto obsadzona drzewami. Przejężdżaliśmy Babinicze, skąd wywodził się Kmicic. Dojechaliśmy do miasteczka Orsza, gdzie mój współtowarzysz podróży szybko kupił mi bilet autobusowy do Smolan i za 5 minut już jechałem przepelnionym obskurnym autobusem po okropnej drodze zrobionej w ten sposób, że z jednej strony drogi wybiera się ziemię z pasa około 10 m. szerokości i sypie się na drugą stronę, przywałowuje się i po tym chodzą autobusy, jeżeli nie padają przeciągłe deszcze. Przejężdżaliśmy kilka razy tory kolejowe — na przejazdach było napisane: „bieregis pojezda”. Dalej przecięliśmy autostradę Brześć-Moskwa i tu zacząłem wpatrywać się kiedy zobaczę coś znajomego. Wreszcie ledwo dostrzegłem drogowskaz „Sielce” i to jakby z dodatkiem polskim. Dalej nie było żadnych osiedli tylko pola z runiejącym zbożem, względnie kopki zebranego lnu. Przedmieścia Smolan nie poznałem, tylko jak zobaczyłem 2 wieże opuszczonego kościoła serce mi zabiło żywiej... Było to 8 października i kochane błoto smolańskie nie zawiodło, chociaż to było w pobliżu zajazdu Rapoporta, którego Białorusini kiedyś tytułowali Kadziński — tj. centrum miasteczka. Dwie godziny szukałem prywatnego noclegu, ale wszędzie odmawiano zanim kobieta-listonosz nie napisała dwóch adresów rodzin polskich, gdzie, jak zapewniała, na pewno mnie przenocują. Już pierwszy chętnie mnie przyjął, a mieszkał

za byłym żydowskim cmentarzem. Przed wieczorem poszedłem zobaczyć ruiny zamku królowej Bony, który, jako pamiątka historyczna, jest obecnie chroniony. Przechodziłem koło plebanii, na której pozostały jeszcze litery M.T.S. (maszynowo-tractorowa stacja), a przy kościele na wzgórku przychylony kombajn zbożowy, ten okręt pól, chluba władz, teraz zapomniany przez tegoż rolnika rdzewieje w centrum miasteczka na pośmiewisko otumanionej ludności. Fama w Smolanach głosi, że rząd chciał otworzyć kościół, ale zbyt mała ilość katolików stoi temu na przeszkodzie. Natomiast jest cerkiew i obecny pop nie pijak i jest kobieta, która chodzi po domach „otpiewać” zmarłych. Wróciłem na nocleg, gdzie gościnnie mnie, suto, nakarmili, ale rozmowa toczyła się po rosyjsku, bo mąż Białorus a żona Polka, która cichutko do mnie powiedziała po polsku, że do niej tak mogę mówić i prosiła przysłać jej opłatek. Syn traktorzysty więcej ma krwi polskiej, bo bardzo chwalił maszyny polskie, a młoda żona jego skwapliwie zapisywała mój adres w języku polskim, chociaż go nie znała. Sam gospodarz dopiero później pokazał swoje komunistyczne oblicze. Umówiliśmy się, że w zamian za opłatek przysłał mi zdjęcie zamku królowej Bony, czego jeszcze nie uczynili. W czasie swego 7-dniowego pobytu na Białorusi umówiliśmy się z sześcioma doraźnie poznanymi osobami, że będziemy do siebie pisywać i pomimo że już spełniłem swoją obietnicę, to tylko jedna osoba szybko odpisała, nie podając na kopercie swego adresu.

Ze Smolan wyjeżdżałem nazajutrz rano o 7-mej. Kiedy czekałem na przystanku podeszła do mnie jakaś starsza, bardzo reżolutna osoba (widocznie fama o mnie szybko rozniosła się), dała zaraz swój adres i prosiła abym jej przysłał coś z damskiej garderoby, a ona mnie czym innym odwdzięczy się. Najciekawsze, że wskazała na jakiś dom, mówiąc że tu, jak pewno pamiętam, stała apteka Hałubczyna i wtedy obraz Smolan dawnych stanął mi w oczach. Opowiadała mi, że przy drodze do Orszy jest gdzieś ogrodzone miejsce, gdzie Niemcy w 1940 roku wybili wszystkich Żydów smolańskich, a między nimi było dużo Żydów z Polski. Na cmentarzu katolickim w Smolanach nie byłem, ale prosiłem, aby napisali, czy jest tam pochowany ktoś z Zanów.

Autobus przyszedł punktualnie i oderwał mnie od wspomnień lat młodości i atmosfery życzliwych ludzi. Wracałem do Orszy, aby pociągiem dojechać do Mińska, musiałem jednak czekać na dworcu 5 godzin, gdyż na najbliższy — za godzinę — już nie było biletów. Przy dworcu pomnik bohatera ostatniej wojny, gen. Zasłanowa, o postaci przypominającej Mikołaja I. Gmach dworca odbudowano na wzór zniszczonego, tylko znacznie dłuższy. Pierwsza stacja w stronę Mińska Kochanów, który kochało się kiedyś

wracając na ferie świąteczne do domu. Jeszcze kiedy wracałem w 1947 roku z Morszańska stał stary drewniany żółty budynek — obecnie coś nie swojego, tak jak i nie ma starych grubych świerków przydrożnych przeciwniegowych, spiłowanych do wysokości 3 m. Tory obsadzono nowymi. Za Tołoczynem znowu przejeżdżam w pobliżu Monastyrów Bagieńskich, ale niestety nie dojrzałem tego szlabanu na torze, a tylko laszek zastaniający widok na dwór z okien wagonu.

Do Mińska przyjechałem pod wieczór i ciekaw byłem czy służba hotelowa zauważyła moją 2-dniową nieobecność. Okazało się, że tak, ale mile spytała: „*nu czto, pojezdili?*”. Potwierdziłem że tak. „*Nu i sława Bogu*” — pomimo, że poprzednio przy załatwianiu formalności mej podróży była dość oschła. Weszła w położenie wagabundy. *Maitre d'hotel* usadził mnie uprzejmie w towarzystwie obcokrajowców — był to ten sam Niemiec z żoną mówiący po rosyjsku, który przyjechał z New Yorku.

Na drugi dzień po powrocie ze Smolan pojechałem tramwajem na Storożówkę — to dzielnica Mińska gdzieś w pobliżu Trojeckiej Góry — aby obejrzeć tak zwaną „Pticefabrykę”, to jest zakład hodowli kur. Od ostatniego przystanku tramwajowego musiałem iść pieszo. Zapytałem małych dziewczynek jak iść. One bardzo uprzejmie szły przodem powoli, abym mógł nadążyć i gdy już byliśmy niedaleko tego zakładu, pokazały mi go, a same pospieszyły do swego domu. Zauważyłem, że obsługa i pasażerowie komunikacji miejskiej są niezwykle uprzejmi do ludzi w podeszłym wieku i nawet szczerzą się tym mówiąc „*u nas stariki w poczocie*”, czyli starszankowie są honorowani. Może to jest też nakaz z góry, a może przez współczucie dla ludzi, którzy tyle przecierpieli w różnych okresach swego życia w Związku Sowieckim.

Na zwiedzenie „pticefabryki” ze względów sanitarnych mi nie zezwolono, ale służba chętnie mnie zaprosiła do portierni wypytując się o życie i warunki pracy w Polsce, unikając szczegółów o swym życiu. Wracać widziałem na tym przedmieściu wóz, tak zwane po białorusku „kalosy”, o długości około dwóch i pół metrów, o 4-ach kołach lichy okutych, zaprzężony w chudego konika, dawniej zwanego „każeką”, w hołoble. Podobny wóz widziałem i w Tołoczynie, gdzie nawet ktoś wyśmiewał ten rodzaj lokomocji widząc na mej twarzy zaciekawione zdziwienie. Ale mnie się zdaje, że te „kalosy” jeszcze długo będą egzystowały zanim pobudują zaniedbane drogi. Sadząc się na zdobycze w kosmonautyce zaniedbują bliższe potrzeby. W małej encyklopedii czytałem, że „kalosa” — wóz konny — była używana na Rusi w XVII i XVIII wieku.

Pod koniec swego pobytu w Mińsku, widząc że już mało

mam rubli, chciałem zamienić posiadane złote polskie na ruble, ale niestety nasze pieniądze mają złą markę w ZSSR i wszystkie banki odmawiały, pytając czy może mam dolary, te chętnie by wymienili na ruble. Ten rygorystyczny, merkantylny stosunek władz do obywateli bratniego słowiańskiego narodu — człek tym mocniej odczuł spotykając jednocześnie tak serdeczną przyjaźń przeciętnego Białorusina czy też Rosjanina. A przecież był czas w okresie lat 1960-1964 gdy można było posyłać przez niektóre nasze urzędy pocztowe starą odzież lub paczki żywnościowe do ZSSR. Obecnie, chcąc wysłać przygodnie poznanym osobom w Mińszczyźnie paczki, dowiedziałem się, że prawie wszystkie przedmioty podlegają w ZSSR wysokim stawkom celnym, co się nie opłaci ani wysyłającemu, ani odbiorcy. Wiem jednak, że ci co jeżdżą w odwiedziny do krewnych na wschodzie często przeszmulgują przez granicę niektóre rzeczy i dobrze tam sprzedają na tak zwanej „barachołce”, co jest dowodem że odzież i obuwie z Polski cieszy się dużym powodzeniem.

Despotyzm wschodni trzyma się zasady „sam nie mam i nikomu nie dam”.

Któregoś dnia gdy wracałem do hotelu szwajcar o złotych galonach zademonstrował mnie nowy nabytek hotelu: automatacznego czyścibuta, który po wrzuceniu kilku kopiejek wypucał mnie kamasze. Tegoż dnia wieczorem przy kolacji dowiedziałem się, że w drugiej sali jest wycieczka zbiorowa z Polski. Podeszłem do ich stołu i wówczas jakaś nieznamoma mnie Pani serdecznie mnie powitała i powiedziała, że poznała mnie przed 20-tu laty, czego ja sobie nie przypominalem, i że ja pewno przyjechałem do Mińska, aby potem być w Hlewinie koło Borysowa i przypomnieć sobie Lalę, do której kiedyś smałem kopczerzaki. Ta Pani jechała z wycieczką zbiorową i miała w planie być jeszcze w Chatyniu (pisanym przez Ch) i Moskwie, tej największej wsi świata. Ostatnią kolację w hotelu spożywałem w towarzystwie młodego Ukraińca, który władał piękną polszczyzną i mówił, że we Lwowie jeszcze dużo pozostało napisów nazw ulic w języku polskim.

Ostatnią noc ciągle się budziłem aby nie przespać, a i służba hotelowa też dbała o to i zawczasu mnie telefonicznie powiadomiła abym wstawał. Z uwagi na to, że ten zaplanowany pociąg powrotny miał tylko miejsca sypialne, o czym nasz „Orbis” widocznie nie wiedział — musiałem ponad opłaconą w kraju podróż w obie strony zapłacić jeszcze w rublach koszt miejsca w sypialnym wagonie. Odwieziono mnie hotelowym samochodem na dworzec, gdzie chciałem od razu wysiąść, ale mój cicerone powiedział: „minutoczku” (chwileczkę) — oj, myślę, coś niedobre — jakiś nowy hamulec. Ale jak później pomyślałem — mój opie-

kun bał się abym, jak to w zamieszaniu — nie zwiął albo gdzieś nie zawieruszył się przez co załamałby się cały plan tej uzgodnionej i zsynchronizowanej podróży, a on byłby za to odpowiedzialny. Tenże cicerone wskazał mnie wagon i miejsce w przedziale.

Wgramoliłem się przy pomocy miłej Rosjanki-lekarka na drugą półkę. Te sypialne wagony są naszej konstrukcji, z 3-ma miejscami do spania po jednej stronie przedziału. Niestety z powodu niskiego pułapu nie ma możliwości siedzenia i obserwacji przez okno terenu i domów kolejowych. W Brześciu czekałem dwie godziny aż podadzą pociąg po zmianie podwozi na tor europejski. W tym czasie spostrzegłem skrzynkę pocztową. Wrzuciłem list do przyjaciela w USA nie podając na kopercie swego adresu, a list był bardzo zagadkowy gdyż składał się ze słów „pozdrowienia z Mińska” bez podpisu autora. Wiem, że doszedł, widać nie dojrzeli w nim żadnej „kramoły”, a pisany był na świstku gazety.

Czekał ze mną w poczekalni jakiś szczupły mały Japończyk, to mi przypomniało mój pobyt w 1946 roku w łagrze w Morszańsku, gdzie było dużo jeńców wojennych Japończyków, do których żywiłem wielką sympatię. Nas nazywali „porando”, znaczy Polak. Usiadłem w pobliżu niego i porozumiewaliśmy się za pomocą jego jakiegoś podręcznika w 4-ch językach i pospolitych zdań — że on jedzie z Władystoku do Kopenhagi. Ja obrazowo pokazałem że Japan i Porando — to taka sztama, odchylając w bok skurczoną w łokciu rękę, a on mi na to przyciskając rękę do serca mówił: „chorosz”, i „chorosz”. Po czym wymieniliśmy sobie na pamiątkę kilka monet metalowych, przy czym jedna japońska miała wywiercony otwór pośrodku co dla mnie jest zagadką.

Przypomniał się miły Japończyk z Morszańska, który pełnił funkcje sanitariusza w obozie, a który wyleczył mój formujący się wrzód na nodze, za co później przyniosłem mu, wracając z roboty poza drutami, 2 surowe kartofle — wówczas on serdecznie przychylił moją głowę do siebie i pocałował w czoło. To zostaje w pamięci na całe życie. Innym razem, wkrótce po bitwie na Okinawie, zapytałem na migi niepozornego Japończyka gdzie to jest ta miejscowość. Wówczas on pokazał mnie obrazowo na piasku dla orientacji trzy punkty, tu Tokio, tu Osaka, a to Okinawa. Ja pokiwałem głową, że rozumiem i zapytałem — Lejtenant? A on mi zaprzeczył ruchem głowy i powiedział: „Generał-Lejtenant”. Długo na siebie patrzyliśmy! On, myśląc co interesuje tego oberwańca Polaka, a ja „z jakimi ludźmi można połączyć los we wspólnym obozie i biedzie”.

Zbliża się ostatni etap mojej podróży. Na granicy sowiecka straż celna brutalnie obmacuje moje kieszenie, twierdząc nachalnie, że wiozę złoto, chociaż nie zagląda nawet do mojej podręcznej walizki. Dziwi mnie to tym bardziej, że kraj tak bogaty w złoto boi się jego ucieczki, a jednocześnie broni się od przemykania do ZSSR złotych krzyżyków.

Przed samym dojazdem do Warszawy poznałem młodego człowieka z hippisowskim zarostem — okazał się Polakiem, urodzonym w Nowgorodzie Wielkim i tam mieszkającym. Mówił, że większość Polaków w Nowgorodzie zapomniała swego języka, a on ukończył Uniwersytet w Moskwie, gdzie równocześnie studiował język i literaturę polską, a przyjechał zwiedzić kochaną Warszawę. Uściskaliśmy się serdecznie.

Ludwik SMOLAŃSKI
(pseudonim)

Władysław Komaras

Litewska prasa emigracyjna omawia udział 9-ciu Litwinów w monachij-skiej olimpiadzie i dodaje:

„Jeżeli uważać go również za Litwina, to nie może być pominięty reprezentant Polski, zwycięzca w rzucie kulą Władysław Komaras. Urodził się on w roku 1940 w majątku Raguvele (Rogówek), pow. poniewieskiego, i przed końcem wojny, wraz z rodzicami udał się do Polski. Rodzice jego byli dobrze znanymi, bardzo zamożnymi ziemianami, a ojciec jego był również znanym naszym sportowcem — lekkoatletą. V. Komaras osiągnął nowy olimpijski rekord w rzucie kulą”.

Natomiast *Tydzień Polski* podaje, że matka W. Komara — Wanda Jasińska-Komarowa „... była mistrzynią Polski w kuli, a jego ojciec startował pod pseudonimem Zaborzyński i był mistrzem Polski w biegu 110 metrów przez płotki”. Obie te pozornie sprzeczne wersje są z grubsza zgodne z prawdą, a losy Władysława Komara seniora tak się komplikowały na skutek konfliktu polsko-litewskiego, że warto je tutaj przypomnieć.

„Tam na północ, hen daleko, szumią puszce ponad rzeką”, a wśród nich nad Niemnem mieściła się rezydencja Giełgudzyski, z ruinami zamczyska i licznymi folwarkami. Było to gniazdo rodzinne gen. Giełguda z Powstania 1831 roku, oraz przodków Sir John Giełgud'a. Jeszcze w roku 1914 były tam zachowane porządki — tradycje po generale kawalerzyście — konie robocze w każdym folwarku były innej maści, jak w szwadronach jazdy. W roku 1920 Giełgudzyski zostały skonfiskowane przez rząd litewski, bo- wiem ówczesny ich właściciel służył w wojsku polskim, a był nim Komar, stryj młodego wówczas Władysława.

Gdy Władysław (ojciec olimpijczyka) śladem wielu młodych Polaków z Litwy, udał się nielegalnie na studia w Polsce, i zaczął osiągać sukcesy

w sporcie, — obawiając się rozgłosu sięgającego Litwy — występował pod pseudonimem Zaborzyński. Po zakończeniu studiów w Poznaniu i po ożenku, wrócił na Litwę i wstąpił do polskiego klubu sportowego „Sparta”. Lecz polskie kluby sportowe w Republice Litewskiej były wyłączone z ogólnokrajowych organizacji sportowych, obłożone bojkotem — jak Rodezja na olimpiadzie. Zbliżyły się zawody lekkoatletyczne trzech państw bałtyckich w Tallinie i największe nadzieje Litwy były pokładane w Komarze, który był „black”. Po dłuższych pertraktacjach znaleziono jakiś kompromis, Komar zdobył większość nagród dla Litwy, ale nie jako członek polskiej „Sparty”, zresztą dogorywającej z racji bojkotu.

Przyszły lata wojny. Rodzina Komarów powiększyła się o chłopaczka, imieniem również Władysław. Przyszły olimpijczyk urodził się nie w rodzinnym Rogówku a w klinice położniczej w Kownie. Ojciec jego osiadł w Wilnie i w roku 1944, prawie w przededniu ponownego wkroczenia Sowietów, zginął od kuli niestety — litewskiej. Opisuje to dokładnie Józef Mackiewicz w książce o jakże aktualnym w tym wypadku tytule „Nie trzeba głośno mówić”.

Litwini uważają również za swego A. Waitiekaitisa, który zdobył medal dla Polski.

E. ZAGIELL

Litewskie skargi...

(Notatkę tę sporządził ksiądz litewski zamieszkały w Rzymie, który w październiku ub. roku odwiedził Polskę i miał sposobność spotkać się z Litwinami sejmnejskimi).

Trochę historii

Po trzecim rozbiorze Litwy i Polski, pod koniec XVIII wieku, rejon za Niemnem przeszedł pod panowanie Prus. Rząd pruski nie chciał aby wierni tego rejonu należeli do diecezji wileńskiej, wobec czego podjęto niezbędne kroki dla założenia nowej diecezji w *Vygriai*, której pierwszym biskupem został proboszcz *Prienai* (Litwa), ks. Karpavicius. Później, po najeździe napoleońskim, rejon został włączony do Księstwa Warszawskiego. Jego biskupi Gołaszewski i Czyżowski byli Polakami. Jako członkowie Senatu, spędzali większość czasu w Warszawie. Później do diecezji *Vygriai* włączono część diecezji płockiej z 33-ma parafiami, łącznie z miastem Łomżą. Po stworzeniu guberni suwalskiej biskup Wierzbowski przeniósł swoją siedzibę do Sejnu. Tu założono seminarium, uczęszczane w większości przez alumnów litewskich. Wśród 24-ch seminarzystów jednego kursu znajdował się jeden tylko Polak — przyszły biskup Romuald Jałbrzykowski. W każdym razie w całej diecezji nauka religii odbywała się jeszcze

po polsku. Biskup Baranauskas, zmarły w roku 1902, był pierwszym który zwrócił się do wiernych w katedrze sejneńskiej po litewsku. W pierwszych dziesięcioleciach b. stulecia Sejny były ważnym ośrodkiem litewskiego życia religijnego i kulturalnego.

Podczas pierwszej wojny światowej biskup Karozas został ewakuowany do Mohylewa. Do godności jego wikariusza, po odbudowaniu niepodległości Polski, został wyniesiony ksiądz Jałbrzykowski. Biskup Karozas, w wyniku konfliktu między Polską a Litwą, odmówił przyjęcia obywatelstwa polskiego, i był z tego powodu prześladowany. Przeniósł się do *Punskas* i w miesiąc później otrzymał zezwolenie wyjazdu na Litwę.

Aż do zakończenia drugiej wojny światowej proboszczem Sejn był ksiądz litewski Astasevicius (zmarły w roku 1946). Chór parafialny składał się z samych Litwinów. W Polsce tymczasem, w roku 1925, stworzono diecezję łomżyńską. Pierwszym biskupem był Jałbrzykowski. Od tej diecezji, od samego początku, zależała parafia w Sejnach. Dążąc do spolonizowania wiernych, biskup nakazał aby w czasie nabożeństw kazania wygłaszano po polsku. Litwini, na znak protestu, wychodzili z kościoła przed kazaniem. Polacy starali się im to uniemożliwić, wywołując w ten sposób częste incydenty. Kazanie po litewsku i pieśni religijne po litewsku dozwolone były tylko po zakończeniu Mszy Św.

Na początku drugiej wojny światowej na stolec biskupi w Łomży został wyznaczony dziekan Gumowski, do którego Litwini zwrócili się z prośbą o wprowadzenie do nabożeństw języka litewskiego. Odpowiedź była negatywna. Biskup oświadczył: Czekać na lepsze czasy. Dopiero w wyniku interwencji oficera armii niemieckiej prośba została uwzględniona. W każdym razie po zakończeniu wojny sytuacja powróciła do stanu poprzedniego.

Sytuacja po drugiej wojnie światowej

Nowy proboszcz Sejn, kanonik Złatkowski, zniósł nabożeństwa litewskie i zagroził delegatom litewskim wydaleniem z parafii i grzywnami administracyjnymi. Sytuacja nie zmieniła się za jego następcy, ks. Wężyka. Za obecnego proboszcza jego zastępcy, przychylnie usposobieni do sprawy litewskiej, nie zagrzewają długo miejsca na swoich stanowiskach. Wierni litewscy odczuwają tak boleśnie fakt ignorowania ich praw, że często odmawiają przyjmowania wizyt pasterskich proboszcza i jego wikarych. Z tego samego powodu liczni wierni, u progu śmierci, nie życzą sobie pogrzebów religijnych. Podczas pogrzebu pewnego Litwina we wsi *Jonaraiszczai* wikary kazał śpiewać pieśni religijne po polsku. Nikt go nie posłuchał. Ale gdy nad grobem organista zaintonował hymn po litewsku, wszyscy podchwycili chórem. Wikary, rozgniewany, nawymyślał obecnym od „muryznów”.

Nie ma roku by wierni litewscy nie posyłałi petycji indywidualnych i zbiorowych do biskupa, domagając się przywrócenia

w Sejnach nabożeństw litewskich. Lecz wszystkie petycje pozostają bez skutku. Pisano również do kardynałów Wysznińskiego i Wojtyły. Wystano specjalne delegacje do kurii, lecz niestety zawsze bez rezultatu. Biskup Mościcki, na przykład, odpowiedział, że ponieważ przez 20 lat nie odprawiało się nabożeństw po litewsku, nie widzi potrzeby przywrócenia ich obecnie. Potem dodał, że należy czekać lepszych czasów.

Sytuacja seminarzystów litewskich w seminarium łomżyńskim

Sytuacja seminarzystów litewskich w seminarium w Łomży nie jest lepsza. Na przykład młody Litwin nazwiskiem Jurkevicius, należący do parafii w *Punskas*, poprosił o przyjęcie do seminarium. Władze kościelne, dowiedziawszy się że młody człowiek rozmawia w domu po litewsku, doradziły mu przeniesienie się do innego rejonu i wstąpienie do innego seminarium. Użyły przy tym pretekstu, że zainteresowany ma wkrótce odbyć służbę wojskową. Rektor seminarium powiedział raz innemu alumnowi, że gdyby był wiedział iż rozmawia on w domu po litewsku, nie przyjąłby go do seminarium. Alumn odpowiedział, że ochrzczono go jak innych i chce wobec tego być traktowany jak inni.

Sytuacja religijna młodych, pomoc chorym

Nie brak rodziców, którzy wysyłają swoje dzieci, w celu przygotowania do Pierwszej Komunii, do *Punskas* albo do *Smalenai*. Ten fakt wywołuje niezadowolenie lokalnych księży w Sejnach. W czasie zebrania członków dziekanatu wysunięto wnioski, by księża nie mieli prawa zajmować się wiernymi należącymi do innych parafii. W samej rzeczy zdarza się, że chorzy z parafii sejneńskiej wzywają księży z *Punskas* lub ze *Smalenai*. Były proboszcz *Punskas*, ks. Sumauskas, odpowiedział wówczas, że wszyscy wierni potrzebujący pomocy mają prawo zwracać się do jakichkolwiek parafii, i że każdy ma prawo wbrać sobie takiego spowiednika, jakiego woli. Spowiednik zaś ma obowiązek — jeśli nie *ex iustitia*, to co najmniej *ex caritate* — wysłuchać jego spowiedzi.

Traktowanie Litwinów przez nowego biskupa łomżyńskiego

Pod rządami nowego biskupa łomżyńskiego sytuacja Litwinów nie uległa poprawie. Podczas jego krótkiej wizyty w Krasnawie wierni litewscy, w obecności proboszcza, przedłożyli mu swoje prośby. Biskup zaczął od wymówek; potem próbował zastraszyć rodziców, twierdząc że popełniają grzech nie posyłając dzieci na lekcje katechizmu. Jeden z obecnych zwrócił się wtedy do biskupa z pytaniem: Kto w rzeczywistości popełnia grzech — ci którzy nie posyłają swoich dzieci na lekcje katechizmu, czy

raczej ci którzy nie pozwalają uczyć ich w języku ojczystym? Wierni przypomnieli także biskupowi słowa Apostoła Pawła: Idźcie i nauczajcie wszystkie narody. Biskup wyjechał, w niczym nie zmieniając sytuacji. Petycja wiernych litewskich została wręczona biskupowi podczas innej wizyty pasterskiej, w Smalenai. Biskup wziął ją i bez czytania położył na stole, po czym udał się by odprawić Mszę Św. Jeszcze przed jego powrotem z kościoła znaleziono petycję spaloną. Jasne więc, że nie mógł jej nawet przeczytać.

Smutne konsekwencje obecnej sytuacji

Z różnych przytoczonych wyżej faktów wynika niezbitie, że nie przywiązuje się żadnej wagi do słusznych żądań wiernych litewskich, którzy chcą się modlić i wychowywać swoje dzieci w języku ojczystym. Ten stan rzeczy nie tylko napełnia głęboką gorczyzą katolików litewskich w rejonie suwalskim, lecz skłania ich też (zwłaszcza młodych) do oddalania się od Kościoła, a nie rzadko i do ulegania propagandzie marksistowskiej.

LIST SKIEROWANY DO PROGRAMU LITEWSKIEGO RADIA WATYKAŃSKIEGO

Dosyć to dziwne, że prasa i radio za granicą nigdy nie wspominają o sposobie, w jaki są traktowani Litwini suwalscy w kościołach tego rejonu.

Już w dalekim roku 1824 stworzono w Sejnach seminarium litewskie. Suwałki i Sejny były prawdziwymi litewskimi ośrodkami kulturalnymi. Od niepamiętnych czasów aż do roku 1946 w parafialnym kościele w Sejnach odprawiano nabożeństwa litewskie. Ale wiosną roku 1946, po śmierci ks. Staseviciusa, zniesiono je zarówno w Sejnach jak w *Smalenai* i w *Vyzainiai*. Noszono się z zamiarem zniesienia ich także w *Punskas*, ale litewski proboszcz w *Punskas*, ks. Zievys, sprzeciwił się temu. Uporczywa działalność w obronie praw ludności litewskiej podjęła jego zdrowie i spowodowała wkrótce potem jego przedwczesną śmierć. Akcja w obronie tych praw kontynuowana była również po jego zgonie, aż do roku 1959, kiedy to parafianie litewscy w *Punskas* postawili na swoim. Także w kościele parafialnym w *Smalenai*, dzięki wysiłkom parafian litewskich, w roku 1959 przywrócono nabożeństwa litewskie, które odprawiane są po dziś dzień.

Parafianie litewscy w Sejnach, od dnia zniesienia nabożeństw litewskich w kościele parafialnym w marcu 1946, kontynuują działalność zmierzającą do ich przywrócenia. Ale biskup łomżyński i sam kardynał Wyszyński nie chcą nawet o tym słyszeć. Ilekroć parafianie litewscy w Sejnach wysyłają do kardynała petycję, otrzymują następującą odpowiedź: przekazałem waszą

prośbę biskupowi łomżyńskiemu, by zbadał sprawę. A tymczasem minęło już 25 lat, odkąd różni biskupi łomżyńscy badają sprawę.

W roku 1970 biskup łomżyński przyjechał z wizytą do *Punskas* i przy tej okazji Litwini parafii sejneńskiej wręczyli mu petycję, dotyczącą przywrócenia nabożeństw litewskich w kościele parafialnym w Sejnach. Biskup odpowiedział z ironią: Kupcie sobie stodołę i przeróbcie ją na kościół. Odpowiedź tego rodzaju nie mogła nie zaskoczyć Litwinów. W Łomży liczni przedstawiciele kleru są niechętnie usposobieni do Litwinów.

Jak wiadomo, Litwini rozproszeni są w całym rejonie suwalskim. Niektórzy z nich są spolonizowani, inni pozostali wierni językowi ojczystemu. Niestety liczni księża w rejonie suwalskim, oraz sam biskup łomżyński, prowadzą politykę antylitewską z wyraźnym celem spolonizowania Litwinów suwalskich, wykorzystania ich przywiązania do języka ojczystego, tak aby nikt go więcej nie używał. Nie należy się zatem dziwić, że również ludność polska, za przykładem kleru, odnosi się z pogardą do języka litewskiego, wyśmiewa tych którzy go używają, powodując w ten sposób tarcia między Litwinami i Polakami.

Ludność litewska w rejonie suwalskim broni się uparcie przeciw tej tendencji kleru polskiego, ale trudno powiedzieć, czy zdoła osiągnąć swój cel. Litwini mają jedynie to szczęście, że socjalistyczny rząd polski pozwala im posiadać własne organizacje kulturalne i szkoły, w których uczy się języka litewskiego.

Na zakończenie litewskich skarg:

Podajemy polskie nazwy wymienionych wyżej miejscowości: Vyzeniai — Wiżajny, Punskas — Puńsk, Virgriai — Wigry, Prienai — Preny, Smolenai — Smolany. Jonaraszciai — zapewne mała wioska której nazwy nie umieliśmy ustalić.

Biskupem łomżyńskim jest Mikołaj Sasinowski.

Tę pasję litewszczenia wszystko można było zrozumieć w okresie utrwalania się świadomości narodowej i języka litewskiego, kiedy istniała obsesyjna obawa przed polonizacją. Dziś to wygląda na kompleks. Jak długo naród może sobie pozwolić na wykreślenie ze swej historii 500 lat współzycia z Polską, jak długo nawet historyczne nazwiska litewskie będą poddawane lituanizacji? Zamieszczony powyżej artykuł Komar-Komaras jest jaskrawą ilustracją. A nazwisko redaktora *Kultury*? Tu też „puryści” uważali za swój obowiązek je „unarodowić”.

W sowieckiej prasie

Niedługo trzeba było czekać na nowe święto. 1 marca 1973 r. towarzyszy Breżniew — Leonid Iljicz — w obecności członków politbiura i sekretarzy KC wystawił legitymację partyjną nr 1 nowego typu Leninowi, Włodzimierzowi Iljiczowi. Rozpoczęła się kampania „wymiany legitymacji partyjnych”.

Legitymacja nr 1 jak najbardziej przysługuje Leninowi, on to bowiem wymyślił nie tylko partię, ale również i „czystkę”. Pierwsza czystka, w 1921 roku, była przeprowadzona pod jego mądrym kierownictwem. Legitymacja nr 2 powinna oczywiście być wystawiona na nazwisko Stalina (przyznam się, że nie wiem dokładnie jak odbywa się wręczanie legitymacji członkom partii leżącym w mauzoleum, czy w ścianie kremłowskiej — jeśli piszą o tym w gazetach, uważam za swój obowiązek kronikarza fakt ten odnotować). Stalinowi legitymacja Nr 2 należy się po pierwsze dlatego, że bez przerwy, do 1939 roku czyścił partię (w owym czasie partia liczyła 1,5 miliona członków, a wyczyszczono — 2,5 miliona). Po drugie to Stalin wymyślił — w 1935 roku — formułę „wymiana legitymacji partyjnych”, która zastąpiła nieprzyjemne słowo „czystka”. Stalin również wprowadził nową metodę czystki („wymiany”). W początkach lat dwudziestych czystka członków partii była przeprowadzana na otwartych zebraniach partyjnych, w których mogli brać udział, a nawet występować, bezpartyjni. W 1935 roku kontrola w stosunku do członków partii przeszła w ręce aparatu partyjnego.

W uchwale KC KPZS z 19 maja 1972 — w sprawie metod wymiany legitymacji partyjnych — zachowała się z czasów stalinowskich nie tylko nazwa, ale i metoda: wymiana legitymacji jest przeprowadzana „ściśle indywidualnie” osobiście przez sekretarzy gorkomów, rajkomów itd.

Pierwsze czystki przeprowadzone przez Lenina miały oczywiście na celu oczyszczenie partii od tych, którzy chcieli przyłączyć się do zwycięzców. Lenin pisał w 1921 roku: „Jeśli mamy w partii 300-400 tysięcy członków, to jest to ilość nadmierna”. Ludność Rosji wynosiła w tym czasie 130 milionów. Leninowi wydawało się, że 400 tysięcy członków partii na 130 milionów ludności to jest zbyt dużo — domagał się więc usunięcia 100 tysięcy. Obecnie Związek Sowiecki liczy około 240 milionów ludności, a partia powyżej 13 milionów. Ale obecnie przywódcy nie chcą zbyt wielkiego zmniejszenia ilości członków partii. Obecnie im więcej, tym lepiej. Zadaniem „wymiany legitymacji” jest utrwalenie dyscypliny w partii. Ostatnia kontrola była przeprowadzana w 1957 roku — przeprowadzał ją Chruszczow. Obecnie sprawdza partię jej nowy gospodarz — Breżniew. Sądząc po

artykułach, wypełniających stronicę gazet i pism, obecna „czystka” ma dwa zasadnicze cele: wzmocnienie dyscypliny ideologicznej i usprawnienie kierownictwa produkcją.

Pierwszy cel można łatwo osiągnąć. Pismo *Kommunist* (nr 12 z 1972) podaje czarno na białym: „KPZS popiera w partii demokrację, ale bynajmniej nie tzw. „swobodę” wypowiedzania wszystkich opinii lub prowadzenia działalności nie do pogodzenia z prawami i obowiązkami komunisty”. Tu wszystko jest jasne: demokracja i żadne wolności. Przestać osądzać, i robić to co każą: Od komunistów zajmujących kierownicze stanowiska wymaga się jednocześnie inicjatywy i posłuszeństwa. Ale już od więcej niż pół wieku rozwiązanie tej kwadratury koła nie udaje się władzom komunistycznym.

Możliwe jednak, że walkę o czystość ideologiczną, o ideologiczną dyscyplinę, łatwiej jest prowadzić w partii niż poza nią. A ten problem także w ostatnich czasach coraz więcej zajmuje sowieckich przywódców. W nieznanym przedtem ilości pojawiają się na łamach prasy gniewne recenzje z prac burżuazyjnych historyków i literaturoznawców, którzy ośmielają się brać w swoje brudne ręce czystą, sowiecką literaturę czy historię. Już pisałem przedtem o protestach niektórych pisarzy przeciw publikowaniu za granicą ich książek przez „wroga wydawnictwa”. W *Liternyj Gazietie* nr 7 białoruski pisarz, Wasyl Bykow, protestuje nawet przeciwko recenzji — niewłaściwej — ogłoszonej w *Welt des Buches* o jego książce, która wyszła jak najbardziej legalnie w Zachodnich Niemczech. Łatwo sobie wyobrazić, że Wasyl Bykow nie jest tu winien, jego — jak pisze — „zaznajomiono z recenzją”. Wszystkie te oświadczenia i artykuły są dowodem gwałtownej chęci położenia ręki na publikacjach książek i artykułów o Związku Sowieckim poza jego granicami. Plan ten bynajmniej nie jest tak fantastyczny, jak by się to mogło wydawać. A o tym jak silne jest dążenie przywódców sowieckich świadczy fakt przyłączenia się Związku Sowieckiego do konwencji genewskiej w sprawie praw autorskich.

Od dziesiątków lat wydawnictwa sowieckie przekładały ze wszystkich języków wszystko na co miały ochotę i publikowały tak, jak im się to podobało, nie płacąc autorom ani kopiejki. Jeśli niektórym „swoim” płacono, to tylko w drodze największej łaski. W jednym tylko 1972 roku wydawnictwa sowieckie wydały 8.100 tysięcy egzemplarzy książek pisarzy amerykańskich. Wszystko było więc jak najlepiej. Kiedy jednak wielu amerykańskich pisarzy, drukowanych w wielkich nakładach w Związku Sowieckim, poprosiło o przekazanie ich honorariów Sołżenicynowi, odpowiadano im, że żadne honoraria im się nie należą.

I nagle, 9 marca br., przewodniczący Państwowego Komitetu do Spraw Wydawniczych, Borys Stukalin, zwołał konferencję prasową i zawiadomił, że 27. 5. br. Związek Sowiecki podpisze

konwencję o prawach autorskich. Wydawnictwa sowieckie składają i wydają znacznie więcej książek pisarzy zagranicznych niż na Zachodzie wydaje się pisarzy sowieckich. Niewątpliwie jest to strata finansowa. Ale, jak wiadomo, nie samym chlebem człowiek żyje. Możliwe, że organy sowieckie spodziewają się zysków nie materialnych, a ideologicznych. Z wyjaśnień Borysa Stukalina wynika, że obrona praw autorskich dotyczy autorów i ich praw, a nie wydawnictw czy Związku Pisarzy. Obrona praw obejmuje również nieopublikowane w ZSSR rękopisy pisarzy sowieckich. Nie jest jeszcze jasne, jak to wszystko będzie realizowane w praktyce. Ale jest najbardziej oczywiste, że Zofia Wasiljewa (tak nazywają w Moskwie władzę sowiecką) i Galina Borisowna (tak nazywają organy bezpieczeństwa) zdecydowane są położyć swoją łapę na samizdacie.

Samizdat stał się siłą, z którą nie mogą się nie liczyć w Moskwie i której nie można już dalej ignorować. Tylko w ciągu ubiegłego roku opublikowano na Zachodzie rozpowszechniane w Związku Sowieckim przez samizdat książki: „Spusk pod wodu” Lidii Czukowskiej, „Prognozy na завтра” Anatolia Gładilina, trzy powieści braci Strugackich „Ulitka na skłonie”, „Skazka o trojkie” i „Gadkije lebiedi”, powieść Andreja Płatonowa „Czewiengur”, zbiór wierszy i piosenek Aleksandra Galicza „Pokolenie obriczonnnych”, II tom pamiętników Nadieżdy Mandelsztam i wspomnienia Piotra Jakira o latach łągiernych „Dietstwo w tiurmie”. A to jest tylko literatura piękna i pamiętnikarstwo. W o wiele większej ilości wyszły książki o tematyce społeczno-politycznej, filozoficznej i ekonomicznej. Wystarczy wymienić „Piered sudom istorii” i „Kniga o socjalistycznej demokracji” Jaurësa Miedwediewa, poza tym nadal wychodzi „Chronika Tiekuszczych Sobytii”, której ostatni, 27-my numer ukazał się w końcu ub. roku. Pojawiły się i nowe wydawnictwa periodyczne. Wyszły dwa numery pisma *Siejatiel*, które określa siebie jako „socjal-demokratycznie agitacyjną ulotkę”, wyszedł w końcu ub. roku pierwszy numer społeczno-politycznego pisma *Swobodnaja mysl* i wychodzą pisma *Demokrat* i *Wiecze*.

Wszystko to świadczy o tym, że mimo represji ferment umysłów w Związku Sowieckim trwa, zmienia formy, szuka nowych.

Z tego punktu widzenia zasługują na specjalną uwagę dwa artykuły zamieszczone w *Swobodnej Mysli*. Jeden pod tytułem „Od samizdatu do kolizdatu”, drugi „Fotografia, jako metoda reprodukcji dokumentów”.

Autor pierwszego artykułu, S. Topolew, wychodząc z założenia że „pozycja prasy jakiegokolwiek ruchu politycznego jest świadectwem sytuacji tego ruchu” analizuje szczegółowo działalność samizdatu i dochodzi do wniosku, że jeśli „przy pierwszych krokach ruchu demokratycznego — kiedy ilość jego członków można było określać jednostkami lub dziesiątkami — samizdat był jedyną formą druku odpowiadającą niskiemu stanowi rozwoju ruchu”. Obecnie niedociągnięcia organizacyjno-techniczne samizdatu przeszkadzają zdaniem autora „w powstawaniu lokal-

nych organizacji ruchu demokratycznego i w późniejszym stwożeniu na ich podstawie ogólnozwiązkowych partii wyrażających rozliczne tendencje w ruchu demokratycznym”.

W związku z nowymi zadaniami autor uważa za konieczne postawienie zagadnienia o „przejsciu do nowej formy druku, która powinna usunąć braki samizdatu i zachować jego walory”.

S. Topolew proponuje przejście od samizdatu do kolizdatu tj. do wydawnictwa kolektywnego. Wykłada drobniawgo zasady organizacyjne swojej propozycji: jak wydawać utwory bez cenzury, jak je powielać, jak je rozpowszechniać, i jak je przechowywać. Myślą przewodnią autora artykułu jest konieczność zrezygnowania z przypadkowego przepisywania poszczególnych nieocenowanych utworów i zorganizowanie ich druku w pismach. Wskazując, że wychodzi już cały szereg pism, S. Topolew zakłada, że „to sporadyczne zjawisko należy przekształcić w zasadę”. Pisma ułatwiają bowiem wymianę poglądów, pozwalają koordynować pracę autorów utworów nielegalnych.

Następnie autor artykułu analizuje zagadnienie powielaczy. „Aby osiągnąć nakład pisma odpowiadający zapotrzebowaniu, które obecnie można obliczać na setki i tysiące egzemplarzy, ruch demokratyczny powinien zrezygnować z maszyny do pisania, jako głównego środka powielania, i wykorzystywać specjalne aparaty”. S. Topolew radzi korzystać z rotatorów, rotaprintów, hektografów itp. Podkreśla on, że w samizdacie wyszła już praca K. Suchowa „Proste metody powielania dokumentacji technicznej” (w tym samym numerze *Swobodnej Mysli* zamieszczony jest artykuł tegoż Suchowa pt. „Fotografia jako metoda reprodukcji dokumentów”). Apeluje do „demokratycznych inżynierów i uczonych”, by zajęli się znalezieniem łatwo dostępnych i wydajnych aparatów do powielania.

S. Topolew, w rozdziale poświęconym rozpowszechnianiu, proponuje wprowadzić opłatę za pisma samizdatowe. Jego zdaniem odsunie to od ruchu ludzi przypadkowych, będzie materialną pomocą, niezbędną dla działalności wydawniczej, pozwoli stworzyć fundusz pomocy dla prześladowanych.

„Niewątpliwie — pisze w zakończeniu Topolew — represje wzmagają się. Jednak, naszym zdaniem, nie ma innej drogi przyspieszenia rozwoju ruchu demokratycznego”.

Wszystkie materiały samizdatowe, czy to poszczególne prace, czy też pisma, wydawane są na Zachodzie, a następnie wracają do Związku Sowieckiego. Można więc myśleć, że przystąpienie Związku Sowieckiego do konwencji obrony praw autorskich ma jako jeden z celów — uniemożliwienie druku tych materiałów za granicą.

Są książki, które starają się za wszelką cenę nie dopuścić do czytelnika. Nie ulega jednak wątpliwości, że wydawnictwom zachodnim najchętniej będzie udzielone prawo wydawania w każdym nakładzie nowego *best-seller'a* sowieckiego „Dzin Grin —

nietykalny. Kariera agenta C.I.A. nr 014". Moskiewskie wydawnictwo „Mołodaja Gwardia” wydało ten wielki tom (686 stron) w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. W ciągu dwóch dni książka zniknęła z półek księgarskich, i gdy w *Litieraturnej Gazecie* (numer 5) ukazała się recenzja z tej książki pod wielkim tytułem „Trzask rozrywanych koszul” było już za późno — książki nigdzie nie można było dostać.

Zacznijmy jednak od samej książki. Jako namiętny wielbiciel James'a Bond'a nie mogłem nie przeczytać sowieckiej powieści, która wzięta jako temat przygody bohatera książek Flemminga. Na okładce powieści zamieszczono nazwisko autora brzmiące dziwnie po rosyjsku: Griwadij Gorpożaks. Ale tajemnica jest z miejsca wyjaśniona. Wstęp od autora podpisany jest przez trzech „cierpliwych tłumaczy”: Wasilija Aksjonowa, Grigorija Pożeniana i Owidia Gorczakowa. „Cierpliwi tłumacze” są autorami i we wstępie określają swoją książkę jako „powieść przygodową, dokumentalną, detektywistyczną, kryminalną, polityczną, parodię, satyryczną, naukowo-fantastyczną i przy tym wszystkim realistyczną”.

Redakcja w krótkiej notce wyklada sens książki bardzo prosto, popularnie i bez obłudy: „awanturyczna powieść, w której demaskuje się metody szkolenia amerykańskich wywiadowców”. Temat powieści jest nieskomplikowany. Ojciec Dżina Grina, Paweł Nikołajewicz Griniew, został zabity. Dżin Grin jest synem rosyjskiego emigranta, urodzonym w Paryżu, obecnie mieszkającym w New Yorku. Morderca, zanim zastrzelił starca, oświadcza że zabija go na polecenie „Smersz'u”. Żeby ukarać zabójców, Dżin, za radą swego najlepszego przyjaciela Lota, b. esesowca a obecnie współpracownika wywiadu amerykańskiego, wstępuje na służbę do C.I.A., do „zielonych beretów”, których wysła się wszędzie tam, gdzie jest to potrzebne amerykańskim imperialistom. W książce szczegółowo opisuje się jak Dżin Grin jest szkolony na wywiadowcę, a potem jak wykonuje podłe zadania imperialistów amerykańskich w Wietnamie. Wreszcie wysyła go do wypełnienia jeszcze jednego podłego zadania do Moskwy. I tutaj wszystko się załamuje. W amerykańskim szpiegu Dżinie Grinie odezwał się głos krwi, odezwała się rosyjska krew Pawła Nikołajewicza Griniewa. Pomaga w ujęciu podłego esesowca, swego byłego przyjaciela Lota, i zaczyna rozumieć swoje błędy. Krótko mówiąc, otwierają się przed nim wspaniałe perspektywy. Jak bowiem dobrze wiadomo władza sowiecka jest wielkoduszna.

Główną wadą książki jest to, że jest nudna. Rozpoczęta jako parodia James Bond'a powieść przekształca się bardzo szybko w normalny sowiecki produkcyjniak demaskujący amerykańskich szpiegów, esesowców, niektórych emigrantów w których jeszcze nie odezwała się krew rosyjska, amerykańską mafię, prześladowania Murzynów w USA itd., itp.

W książce tej jest tylko jedna rzecz interesująca: mimo największych wysiłków autorzy nie mogą pozbyć się fascynacji amerykańską cywilizacją. Z prawdziwą miłością, pod pozorem paro-

dii, opisują nocne kluby, restauracje, krój koszul i spodni, gatunki whisky i koniaków które spijają bohaterzy powieści. Już w satyrycznej komedii Majakowskiego „Łażnia” jakaś działaczka oświadczała: „Jeśli to jest potrzebne dla propagandy, to pokażcie nawet taniec brzucha”. Autorzy „Dżina Grina” w celach propagandowych pokazują taniec brzucha, *streap-tease* i w ogóle „gnijącą, ale — jak to określił Majakowski — mimo wszystko przepiękną, zagranicę”.

I właśnie te strony będą z zachwytem połtykane przez sowieckich czytelników, zmuszonych jednak docierać do nich poprzez dziesiątki stron nudnej agitacji.

Jak dotąd jedyną recenzją z „Dżina Grina” był artykuł Jewtuszenki. Znakomity poeta także uważa książkę za nudną jednak, jego zdaniem, głównym błędem powieści jest to, że autorzy pozwolili sobie umieścić akcję kilku rozdziałów w Wietnamie i napisać parodię „na tle ludzkiej tragedii, ludzkiej krwi”. Jewtuszenko uważa, że powieść jest nieudana głównie dlatego że jest w niej zbyt mało demaskacji amerykańskiej soldateski i agresywnej polityki Pentagonu. Jewtuszenko stwierdza to jako człowiek, który doskonale wie co mówi. Długi pobyt w Stanach Zjednoczonych zrobił z niego niewątpliwego znawcę polityki Pentagonu.

Mimo wszystko byłoby śmieszne bronienie przed Jewtuszenką autorów niezdarnej powieści. Dziwi tylko w zestawie autorzkiego kolektywu nazwisko Wasilja Aksjonowa, pisarza niewątpliwie utalentowanego. Mierny poeta Pożenian jest tu być może na miejscu. Za to jak najbardziej na miejscu jest główny autor powieści, Owidii Gorczakow, który w latach wojny skakał do Warszawy jako sowiecki wywiadowca, ale pod postacią angielskiego kaprała Woodstocka, a po wojnie produkuje książki o sowieckich wywiadowcach.

Chorobliwa miłość sowieckich pisarzy do literatury detektywistycznej nie znajduje ujścia: można pisać jedynie albo o starych sprawach, albo o wzroście wszelkiego rodzaju przestępczości w Stanach Zjednoczonych. A w tym samym czasie samo życie podsuwa sowieckim prozaikom tematy, których by im pozazdrościł sam Ian Flemming. Już w swoim czasie wspominałem o gigantycznej aferze w Gruzji, o działalności Laziszwili, który miał w kieszeni całą republikę. Niedawno ogłoszono nowe szczegóły. Tyfliska *Zaria Wostoka* zamieściła wiadomość o procesie. Sądzono Laziszwili i jego 81 współników. Byli oskarżeni o przywłaszczenie sobie 836.792 rubli. Prokurator domagał się za takie nadużycia kary śmierci dla Laziszwili. No, ale są jeszcze sędziowie w Gruzji! Wielki kombinator dostał wszystkiego, albo — jak kto woli — tylko 15 lat.

W lutym odbyło się plenium KC gruzińskiej kompartii, na którym postawiono zagadnienie skutków skandalu, ujawnienie wszystkich osób z nim związanych. Ale dobrać się do nich nie będzie łatwo. Nawet nowemu pierwszemu sekretarzowi KC, Sze-

warnadze, który działa w myśl przysłowia: „Nowa miotła dobrze zamiata”. Informując o plenum *Zaria Wostoka* pisała: miały miejsce zjawiska sprzeczne ze stylem i metodami leninowskiej pracy. I wyjaśniała następnie co to znaczy: „Żony i członkowie rodzin zaczęli zastępować w ich funkcjach wysoko postawione głowy rodzin. Sprawy państwowe decydowały się w wąskim kręgu krewnych i bliskich... coraz częściej i częściej można było słyszeć w aparacie formułę: tak mówi gospodarz, tak chce gospodyni”. Gazeta przyznaje, że „w szeregu wypadków kombinatory, żulicy, szantażyści, osiągnęli nieczystymi sposobami kierownicze stanowiska. W tym to okresie stało się możliwe by znany kombinator Babunaszwili zażądał dla siebie, i otrzymał, stanowisko ministra”.

W Gruzji dla nikogo nie jest tajemnicą, że jest tu mowa o bardzo niedawnych czasach, kiedy gospodarzem republiki był pierwszy sekretarz KC Mżawanadze, a gospodynią jego małżonka.

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

W grudniu 1972 trzech intelektualistów czeskosłowackich, Jirzi Lederer, Karel Kosik i Rudolf Slansky junior, zwróciło się do praskiego sądu miejskiego z żądaniem zwrotu skonfiskowanych im przez policję w czasie rewizji domowych „materiałów o treści antypaństwowej”. Lederer został zwolniony z więzienia po odciernieniu części kary (skazany został w lutym 1972 za „znie wagę państw obozu socjalistycznego” a konkretnie za krytykę Gomułki w marcu 1968), natomiast Kosik i Slansky sądzeni nie byli. A oto wykaz owej „antypaństwowej” literatury, o której zwrot walczą wymienieni: książka Arthura Londona (jednego ze skazanych w procesie Slansky'ego seniora) „Przyznanie się”, przemówienie Rogera Garaudy'ego na XIX zjeździe KP Francji, tzw. „Raport Pillera” (oficjalny dokument KPCz o procesach politycznych), „Siedem dni w Pradze” (znane również pod nazwą „Biała Księga”, opracowana przez Instytut Historyczny Akademii Nauk CSSR kronika inwazji sowieckiej w sierpniu 1968), Pavla Kohouta „Dziennik kontrrewolucjonisty”, protokół sesji Zgromadzenia Narodowego z 22 sierpnia 1968 oraz inne „wywrotowe” materiały.

Anna Szabatowa, żona skazanego na 6 i pół roku więzienia dra Jaroslava Szabaty oraz matka również skazanych i przebywających w więzieniu Vaclava, Jana i Anny Szabatów, wystosowała list otwarty do „wszystkich partii komunistycznych i robotniczych na ręce przewodniczącego KP Anglii”, w którym ujawnia pewne okoliczności związane z procesem swych najbliższych, tudzież swą obecną sytuację. Na wstępie wyjaśnia autorka listu powody, które skłoniły ją do tego kroku. Stwierdza, iż obecnie w Czecho-

słowacji nie istnieje żadna oficjalna instancja, do której można się zwrócić. List jej do Gustava Husaka, wysłany w grudniu 1971 w związku z aresztowaniem całej jej rodziny, pozostał oczywiście bez odpowiedzi. Sama autorka listu nie może, rzecz jasna, wykonywać pracy w swym zawodzie (poprzednio pracowała jako redaktor w jednym z wydawnictw), a ostatnio została także zwolniona z pracy na stacji benzynowej w Ołomuńcu (oddalonym o 70 km od jej miejsca zamieszkania).

Jaroslav Szabata od lata 1968 do jesieni tegoż roku był sekretarzem komitetu wojewódzkiego partii w Brnie, a poprzednio, przez kilkanaście lat, kierownikiem katedry psychologii na uniwersytecie J.E. Purkyni w Brnie. Do chwili aresztowania w 1971 zmuszony był do ciężkiej pracy fizycznej mimo przebytego zawału serca w 1964 oraz poważnych schorzeń żołądkowych. W maju 1972 przeszedł w więzieniu drugi zawał, tym razem połączony z utratą przytomności. Mimo zaświadczeń lekarskich o schorzeniach żołądkowych otrzymuje on wyżywienie niebezpieczne dla stanu zdrowia.

Autorka listu opisuje następnie atmosferę wokół procesów. Wstęp na salę sądową był ściśle ograniczony — budynek sądu otoczony przez umundurowaną policję — i aczkolwiek procesy były oficjalnie prowadzone jako jawne, tylko jeden przedstawiciel najbliższej rodziny oskarżonych mógł przystąpić do rozprawy i to po okazaniu specjalnej przepustki. Szabatowa nadmienia, iż w procesach, które ze względu na ochronę tajemnicy państwowej, wojskowej lub gospodarczej prowadzone jako niejawne, kodeks postępowania karnego zezwala na obecność dwóch przedstawicieli najbliższej rodziny. Wszyscy oskarżeni płci męskiej wprowadzeni byli na salę rozpraw w kajdankach.

Autorka listu podkreśla swą (i swych najbliższych) przynależność do ruchu komunistycznego. Stwierdza, iż dr Wolf, przewodniczący sądu w procesie synów Vaclava i Jana w uzasadnieniu wyroku wskazał, iż sąd nie doszedł do przekonania jakoby oskarżeni byli przeciwnikami socjalizmu. Wyciąga z tego wniosek, że był to proces komunistów sądzonych za odmienne przekonania.

Szabatowa wyraża pogląd, że wiele organizacji komunistycznych i lewicowych, związkowych i innych wyraża zaniepokojenie w związku z procesami w Czechołowacji. Każdy ma prawo do krytyki. Również w interesie obrony praw człowieka należy dopuścić do tego, by międzynarodowa opinia publiczna miała prawo się wypowiadać. Autorka uważa, iż międzynarodowy ruch komunistyczny powinien znaleźć wspólny język, nie może się jednak zgodzić, by ingerencja wojskowa nazywana była międzynarodową pomocą, natomiast krytyka posunięć rządu ze strony innych partii i organizacji — mieszaniam się w wewnętrzne sprawy państwa. Z tego względu autorka listu dowodzi, iż istnieje konieczność wypracowania na najwyższym szczeblu zasad działania ruchu, dokonania analizy sytuacji, zaś partie sprawujące władzę powinny przedstawić program dalszego działania, w szczególności zaś odpowiedzieć na pytanie „jak w państwach socjalistycznych ma być realizowana władza zdobyta przez klasę robotniczą”. Partie komunistyczne w krajach kapitalistycznych — kończy Szabatowa swój list — oraz ich sojusznicy muszą widzieć perspektywę, które pozwoliłyby uczynić socjalizm przyciągającym także dla innych warstw społecznych. Nie można wykorzystywać sojuszników tylko w chwili zdobywania władzy. W interesie międzynarodowego ruchu komunistycznego należy zapewnić demokratyczne prawa w epoce „rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego”, i to w taki sposób, aby nie mogły być gwałcone.

Na marginesie tego listu wypadałoby wspomnieć o dyskusji nad problematyką praworządności socjalistycznej jaka toczy się w czeskosłowackich

kołach prawniczych. Oto niejaka Eva Hrivnakova na łamach czasopisma *Pravny Obzor* (listopad 1972) pisze, że problematyki praworządności nie można rozpatrywać jedynie jako kategorii czysto prawnej, lecz należy widzieć w niej również „polityczną metodę realizacji funkcji państwa za pomocą prawa”. Pojmowanie problematyki praworządności jedynie jako przestrzegania obowiązujących norm prawnych (w sensie węższym) oznacza, zdaniem Hrivnakovej, statyczne pojmowanie tej zasady, której autorka przeciwstawia pojmowanie twórcze, klasowo-polityczne. Tu autorka ma na myśli stopień akceptacji prawa przez społeczeństwo. Akceptacja zaś wynika ze stopnia świadomości prawnej, ta ostatnia jest z kolei funkcją ideologii politycznej. Z tego wynika zdaniem autorki nierealność istnienia prawa w oderwaniu od polityki. Nie można zatem w oderwaniu od polityki interpretować artykułu 102 konstytucji CSSD, który mówi o niezawisłości sędziów, którzy wyroki swe mają ferować jedynie w oparciu o prawo i socjalistyczną świadomość prawną. Autorka cytuje wypowiedzi w dyskusji na ten temat w latach 1968-1969, kiedy to powoływano się na Monteskiusza, wedle którego „sędziowie to tylko usta cytujące tekst ustawy”. Sędzia powinien zatem być osobistością polityczną, który stosuje prawo będące wolą klasy. Autorka nie podaje jedynie sposobu przekazywania owej woli sędziom.

Kronika ukraińska

Rok 1972 skończył się na Ukrainie bardzo ponuro. W tym okresie odbyły się procesy 11-tu inteligentów ukraińskich, skazanych na łączną karę 110 lat pozbawienia wolności, w tym 77 lat łagrów i 33 przymusowego osiedlenia. W roku bieżącym w Kijowie i we Lwowie oczekuje się nowych procesów. M.in. procesu Iwana Dziuby, aresztowanego wiosną ub. roku. Dziuba jest ciężko chory na płuca i powszechnie istnieje obawa, że podzieli los Jurija Gałanskowa. Oczekuje się również licznych procesów osób aresztowanych na podstawie zeznań banderowca z Belgii, Dobosza; zarzuca się im działalność konspiracyjną. ■ Na Ukrainie kursują fantastyczne pogłoski dotyczące P. Szelesta, b. I-go sekretarza KC KPU i członka biura politycznego KC KPZS. Prowadzona jest „szepciana” propaganda przez pewne koła związane z KGB o jakoby opozycyjnej działalności Szelesta w partii. Mówi się również, że w jego obronie stanął przewodniczący prezydium Rady Najwyższej ZSSR, Mikołaj Podgorny, który miał zagrozić swoją dymisją w przypadku usunięcia Szelesta z Biura Politycznego. ■ Nastroje pesymistyczne panują nie tylko wśród społeczeństwa, ale również i w aparacie partyjnym. Głównym powodem jest sytuacja ekonomiczna na Ukrainie. Już drugi rok powtarza się klęska nieurodzaju. Ostatnia pięciolatka ustaliła przeciętnie na lata 1971-1975 zbiory na 40 milionów ton ziarna rocznie. Tymczasem w roku 1971 zebrano 39,4 miliony ton, a w 1972 — już tylko 32,6 milionów ton. Ta ciężka sytuacja powstała w dużym stopniu na skutek „biurokratycznych idiotyzmów”. Chruszczow forsował, jak wiadomo, uprawę kukurydzy i w latach 1961-1965 powierzchnia zasiewów kukurydzy na Ukrainie wynosiła 3,46 milionów ha, co stanowiło 20,9 % całej powierzchni zasiewów. W okresie brzeżniewowskim, w roku 1970, powierzchnia uprawy kukurydzy zmalała do 2,1 milionów ha. W gorliwości zapomniano, że właśnie na Ukrainie oprócz pszenicy ozimej głównie udaje się kukurydza. Na skutek katastrofalnej

sytuacji 1 lutego br. zdecydowano w Kijowie podwoić do końca pięciolatki zbiory kukurydzy. ■ Pogorszyła się również sytuacja wewnętrzno-polityczna. Prowadzi się kampanię przeciwko „wrogom państwa sowieckiego”, szpiegom zagranicznym, przestrzega się przed uczonymi zachodnimi, którzy jakoby przyjeżdżają na Ukrainę ze specjalnymi zadaniami wywiadowczymi. Zwiększyły się również ostatnio ataki na Radio Liberty i Free Europe. W organie ministerstwa Kultury Ukrainy *Kultura i życie* ukazały się w lutym br. artykuły demaskujące spiski „burżuazyjnych nacjonalistów” robione wspólnie z syjonistami, a ekstremistycznie nastawiony rabin nowojorski, Kahane, zaangażował prawie na wodza ukraińskich nacjonalistów. Kampanię tę prowadzi Kłym Dmytruk, autor książki pt. „Bezbatcenke”, która ukazała się we Lwowie w końcu 1971 roku. Entuzjastyczną recenzję o tej książce napisała w *Kultura i Żytia* Zinowia Franko, wnuczka Iwana Franki. Należy przypomnieć, że była ona zamieszczana w aferę Dobosza. *Ukraiński Wisnyk* podaje w numerze 6-ym szczegółowe informacje o Dmytruku: „Major KGB, Kłymyntyj Ewgeniewicz Galskij, Polak z Żytomierszczyzny. Podczas wojny pracował w organach bezpieczeństwa, odpowiedzialny za maltretowanie więźniów politycznych w latach 60-tych”.

Borys LEWICKYJ

Z NOWOGRÓDKA I OSZMIANY

Wileński *Czerwonny Sztandar* w nrze z 10 marca, podaje, że władze na Białorusi przystąpiły do konserwacji ruin zamku w Nowogródku. Mają być odtworzone wszystkie mury zamku, fundamenty zniszczonych wież i zabudowań wewnątrz dziedzińca oraz uporządkowanie terenu. Ma być również założone muzeum, w którym znajdą się przedmioty znalezione na terenie zamku. Władze apelują do obecnych i byłych mieszkańców Nowogródzczyzny o nadsyłanie starych dokumentów, książek, czasopism, rysunków i fotografii, związanych z zamkiem w Nowogródku. Niemniej ważne są opinie ludzi, którzy pracowali na zamku podczas jego konserwacji w latach 1924-1930.

Rada Muzeum Krajoznawczego im. Franciszka Bohuszewicza w Oszmianie rozpoczęła zbieranie materiałów dotyczących życia szkolnego Henryka Dembińskiego. Henryk Dembiński, rozstrzelany przez Niemców w sierpniu 1941 roku, kończył oszmiańskie gimnazjum i w nim w roku 1927 otrzymał świadectwo dojrzałości. Ponadto dyrekcja Muzeum poszukuje wszelkich danych, dotyczących Ignacego Chodźki (1794-1861) pisarza, autora „Pamiętników Kwestarza” i innych.

Sprawy i troski

„Dal” - 1973

Tak długo jak to było możliwe odkładałem napisanie tego artykułu — chciałem móc mówić obiektywnie.

Teraz z innych przyczyn czas nagli, a więc zabieram się do pisania.

Ponieważ idzie tu o „Dal”, który stanowi część naszego wspólnego dziedzictwa, piszę ten artykuł do Polaków rozsianych po całym świecie, ale przede wszystkim do tych w Polsce, którzy dziedziczą przyszłość.

W tej całej historii najważniejsze jest to, aby „Dal” mógł być odesłany do Polski zdrow i cały, w swojej oryginalnej postaci.

Jestem głęboko przekonany, że kiedy wygasną prywatne interesy i namiętności Polonia Amerykańska będzie w stanie zrozumieć to, co się stało.

Jest faktem, że proces który wytoczyłem spowodował w rezultacie wstrzymanie wszystkich rozpoczętych już prac, zmierzających do „transformacji” „Dalu”. Mam więc prawo twierdzić, że tylko dzięki mojej interwencji znalazł się czas, aby postawić przed oczami opinii publicznej problem, że „Dal” jako zabytek historyczny powinien istnieć w swojej niezmięnionej postaci. A więc ogromna suma, którą musiałem zapłacić, nie poszła na marne, pozwoliła bowiem wszystkim zrozumieć, że „Dal” należy do historii polskiego morza i do naszych pierwszych niepewnych kroków po oceanach.

Zdecydowałem się odwołać do sądu przede wszystkim dlatego, że:

p. Gieblewicz rozpoczął już — wraz z komitetem przebudowy „Dalu” i nowo utworzonym w tym celu klubem im. Conrada-Korzeniowskiego — tzw. prace „rekonstrukcji i modernizacji” „Dalu”, mówiąc, że przepłyń na nim Atlantyk. Rozumiejąc, że te zmiany zniszczą wartość „Dalu” jako zabytku, pierwszą rzeczą którą należało zrobić, i to jak najszybciej, było wstrzymanie

tych prac. Był na to tylko jeden sposób: spowodować opieczę-towanie statku; i to zostało zrobione.

Mogę więc powiedzieć, że moja interwencja, która przede wszystkim dała czas do namysłu, spowodowała że „Dal” nie został zmasakrowany, a jego wartość bezpowrotnie utracona.

Obecnie dowiaduję się, że „Dal” został przywrócony na nowo do swego poprzedniego stanu. Co spowodowało tę szczęśliwą zmianę planów?

Cały proces, który wytoczyłem i przegrałem, był więc jedynie po to, aby statek pozostał w swoim stanie pierwotnym, — inaczej mówiąc zmuszono mnie do zapłacenia 15 tysięcy dolarów po to, aby w końcu zrobić to, czego żądałem.

Następnie dochodzimy do podstawowego zapytania: do kogo należy „Dal”?

Mija akurat 40 lat od chwili, gdy kupiłem „Dal” za moje własne pieniądze w Gdańsku, gdzie został zbudowany. Załoga składała się z obywateli polskich. Pływalismy pod polską banderą. (Ścisłej pod banderą Marynarki Wojennej, ponieważ byłem oficerem Wojska Polskiego). Podróż kosztowała życie jednego z członków załogi, śp. Witkowskiego.

Witkowski i Świechowski ukończyli Szkołę Marynarki Handlowej i przeszli przeszkolenie na Darze Pomorza. Zresztą Świechowski był już znany jako doświadczony nawigator. Jeśli idzie o mnie, to będąc o jakieś 8-10 lat starszy, pływałem m.in. z gen. kawalerii Zaruskim (który był jednocześnie kapitanem dalekiej żeglugi; poznałem go w Karpatach na nartach) i miałem za sobą staż we francuskiej Marynarce Handlowej. Kroczyliśmy śladami dawnych tradycji. Nie należy zapominać, że Admirał hr. de Bougainville zanim rozpoczął wyprawy morskie był pułkownikiem, dowódcą pułku dragonów. A u nas komandor Łoś, który dowodził łodzią podwodną, był przedtem porucznikiem 5 pułku ułanów i nosił ślady cięć kozackiej szabli.

Kiedy przybyłem do Chicago znalazłem się pod silną presją licznych członków komitetu powitalnego, którzy domagali się pozostawienia im jachtu, uważając że jest to polski zabytek narodowy. Co też zrobiłem.

„Dal” był zarejestrowany w Gdyni jako polski statek. Nigdy nie został wykreślony z rejestru polskich statków i nigdy nie przynależał do żadnej innej floty. Zresztą, dowodem że status jachtu nie był *de facto* zmieniony, jest to że ten „eksponat” w Muzeum Nauki i Przemysłu — o ile wiem — nigdy nie przeszedł przez amerykańską komorę celną.

Innym aspektem tej sprawy jest *vox populi*.

Posiadam fotografie „Dalu” z lat kiedy znajdował się we wspomnianym Muzeum pod polską banderą, z podaniem jego portu macierzystego w Polsce.

To jeszcze nie wszystko. W czasie ponurych lat wojny, gdy wiele osób pochodzenia polskiego zamieszkałych w Chicago posiadało krewnych i przyjaciół pod okupacją niemiecką, najbar-dziej wzruszające uroczystości odbywały się w Muzeum przed

„Dalem”. Tam miały miejsce przemówienia oficjalnych osobistości ówczesnego rządu polskiego i rządu amerykańskiego. Podnoszono i opuszczano polską flagę na „Dalu”. A przede wszystkim jedno przemówienie był powtarzane szereg razy: „Ponieważ jacht jest pod polską banderą i należy do polskiej floty tym samym stanowi część polskiego terytorium”. Czy można więc mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że dla Amerykanów polskiego pochodzenia „Dal” był Polską?

Wydaje się więc jasne, że przyszłość „Dalu” powinna należeć znów do macierzystego kraju.

Po zwróceniu Polsce przez Kanadę arrasów wawelskich „Dal” jest ostatnią ważną pamiątką polską, która znajduje się na kontynencie amerykańskim.

Do chwili obecnej w Polsce historia polskiego morza była całkowicie niezrozumiana z historycznego punktu widzenia. Czytałem w prasie polskiej artykuły pisane przez młodych, którzy skręcali się ze śmiechu na wiadomość, że kawalerzyści zajmowali się morzem. Niech więc poznają historyczną stronę tego zagadnienia.

Na początku lat 20-tych armia polska zajęła Pomorze.

Straż przednia kawalerii przybyła na brzeg morza i szwadrony wkroczyły do wody — to była obłędna radość. Zanurzano szable i lance w morzu; każdy żołnierz rozumiał wagę tej chwili: po tylu wiekach odzyskać morze! I to właśnie w tej chwili śmieszność połączyła się ze wzniosłością; polska potęga na morzu składała się ze szwadronu kawalerii w wodzie!

W 12 lat później przepłynęliśmy Atlantyk.

Przybывая do Chicago „Dal” witany był jako pierwszy statek pod polską banderą i jako jeden z pierwszych, jeżeli nie pierwszy, który przyptynał z kontynentu europejskiego na Wielkie Jeziora (nie należy zapominać, że to się działo przed otwarciem drogi rzeką św. Wawrzyńca, co pozwoliło okrętom wpływać do środka kontynentu przez Wielkie Jeziora).

Innym wyczynem „Dalu” w czasie tej podróży było to, że przeszedł przez oko cyklonu, co udało się w tych czasach jedynie bardzo niewielu statkom tej wyporności.

Kiedy wyjeżdżaliśmy, wszystko to co dotyczyło jachtingu było jeszcze w Gdyni w powijkach i tak np. dopiero w Kopenhadze nabyliśmy odpowiednie liny, które nam były potrzebne.

W naszych czasach załoga małego jachtu dzieliła jego los — przepłynęła, albo tonęła z nim razem. Dzisiaj radio odgrywa wielką rolę w niebezpiecznych chwilach.

Jeśli idzie o losy „Dalu” od roku 1968 — kiedy został odebrany z Muzeum Nauki i Przemysłu — są one znane dzięki artykułowi Pawła Zdziechowskiego, który ukazał się w *Kulturze* w maju 1972, więc nie będę już do tej sprawy powracał.

Tylko w ramach historii „Polski na morzach” należy umieścić „Dal”. Ponieważ dopiero teraz, kiedy stracił swój aspekt sensacji, nabiera praw do prawdziwej historii.

Moralnym obowiązkiem Polonii Amerykańskiej jest zwrócenie

tych pieniędzy, który zmuszony byłem wydać, aby przeszkodzić wandalizmowi.

Spieszę zaznaczyć, że nie chcę tych pieniędzy dla siebie. Głęboka rana jaką mi zadano pozostanie niezablizniona do końca mego życia, a pieniądze nie mogą być na nią żadnym lekarstwem.

Przekazuję ten dług Muzeum Morskiemu na zbudowanie w Gdyni, w pobliżu basenu jachtowego, projektowanego od wielu lat budynku.

Zdaję sobie sprawę, że dziś nie ma przychylniej ku temu atmosfery, ale po mału i atmosfery się zmieniają. Ludzie także. Za kilka miesięcy, za kilka lat, być może później, znajdą się ludzie, którym ten dług będzie ciążył i którzy będą gotowi wyrównać tę sprawę.

Dziś Polskie Wybrzeże jest o ileż większe; pokryte jest stoczniami i dokami. Dziś naprawdę Polska liczy się na morzach. Trzeba jednak pamiętać, że to wszystko miało swój początek w tych trudnych latach przed wojną, kiedy z uporem stawialiśmy pierwsze kroki, formowali pierwsze kadry, własną tradycję morską, a w czasie wojny zdaliśmy wspaniale egzamin.

Andrzej BOHOMOLEC

A P E L

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD POLSKIMI ZABYTKAMI I GROBAMI HISTORYCZNYMI WE FRANCJI APELUJE O POMOC NA ODNOWIENIE GROBU GENERAŁA WYSOCKIEGO ZMARŁEGO PRZED 100 LATY W PARYŻU I POCHOWANEGO NA CMENTARZU PÈRE LACHAISE

Józef Wysocki był bohaterem wszystkich powstań polskich XIX wieku. Walczył w powstaniu Listopadowym i był odznaczony przez gen. Skrzyneckiego krzyżem *Virtuti Militari*. Brał udział w powstaniach w Poznańskim i w Krakowie w roku 1948. W powstaniu węgierskim, mianowany generałem brygady, dowodził Legionem Polskim i Dywizją Węgierską. W powstaniu Styczniowym był mianowany przez Rząd Narodowy Naczelnikiem sił zbrojnych woj. lubelskiego i Rusi, i dowodził w bitwie pod Radziwiłłowem. Odgrywał poważną rolę na emigracji we Francji, wykładał w szkołach wojskowych w Genui i w Cuneo.

Pochowany został w grobie zbiorowym z innymi uczestnikami powstań. Na kolumnie kamiennej wypisane były w marmurze nazwiska 20 patriotów, spoczywających w tym grobie. Dziś większość tablic niszczyła i brak 11 nazwisk, w tym gen. Wysockiego.

Grób wymaga gruntownej restauracji. Trzeba wyrzeć 19 nazwisk w granicę i utrwalić nazwisko gen. Wysockiego na nowej tablicy marmurowej, kasując skruszałą kolumnę. Całość kosztów przekroczy 6.500 F. Sama emigracja polska we Francji dokonać tego nie zdoła.

Czeki wystawione na *Sté pour la protection des souvenirs polonais* prosimy przesyłać na adres:

MR. R. HYŻY,
9, AV. DE L'ESSONNE,
91130 - RIS-ORANGIS.

Kraj

Rocznicowe refleksje

Wydaje się, że to już koniec fety. W grudniu i w styczniu przetoczyła się przez kraj fala obchodów z okazji 50-tej rocznicy powstania Związku Sowieckiego. Gdy w Anglii rozległy się na rozkaz królowej „fanfary dla Europy”, prawie dokładnie w tym samym czasie w całym bloku wschodnim fetowano 50-te urodziny wielkiego brata. Choć naród zwolna przyzwyczaja się do uroczystego obchodzenia rozmaitych świąt i nawet tak poważne okazje jak rocznica urodzin Feliksa Dzierżyńskiego — nie mówiąc już o krajowych działaczach — nie robią na nim większego go wrażenia, to jednak z pewnym zaskoczeniem przyjęto rozmach, z jakim kierownictwo partii w Polsce postanowiło uczcić pięćdziesiątą rocznicę ZSSR.

Zgryźliwi wobec „fanfar dla Europy” zachodni korespondenci prasy krajowej, na dowód bezusadnionej rozrzutności rządu premiera Heath'a, przytaczali kwoty funtów szterlingów jakie rząd Jej Królewskiej Mości przeznaczył na obchody, z okazji przyjęcia Anglii do wspólnego rynku. Cóż sami korespondenci — gdyby nawet chcieli przytoczyć sumy jakie kosztowały obchody urodzinowe ZSSR w Polsce — nie dysponowali żadnymi w tej materii danymi, a kto wie, czy porównanie wysokości sum przeznaczonych na obchody w Anglii i w Polsce, nawet przy uwzględnieniu słabości polskiego pieniądza w zestawieniu z funtem, nie świadczyłoby o większej zamożności Polski. Myślę, że pełne dane na ten temat są pilnie strzeżone — w chwili gdy potrzeby społeczeństwa ciągle nie mogą doczekać się zaspokojenia, wydawanie milionów z takiej okazji, mogłoby wywołać uzasadnione niezadowolenie. Jak bardzo są uzasadnione wyrażone powyżej przypuszczenia dowodzą choćby fragmentaryczne dane, które przedostały się do wiadomości opinii publicznej.

Zacznijmy od centralnej akademii w grudniu, w Teatrze Wielkim, która odbyła się przy udziale najwyższej postawionych osobistości partyjnych, w której wystąpiło 1.300 osób i która koszto-

wała bagatelną kwotę 3,5 miliona złotych. Zważywszy, że podobne akademie, na które przecież nigdzie nie oszczędzono grosza, odbyły się w całym kraju, dochodzimy do sum wielomilionowych. Trudno by się tu nawet bawić w hipotetyczne obliczenia — boję się, że łatwiej byłoby o zaniżenie kwoty niż o jej nieuzasadnione podwyższenie.

Ten sam Teatr Wielki, w kilka tygodni później obserwował kolejne wydarzenie, jakim była okolicznościowa premiera „Borysa Godunowa” Musorgskiego; nie skrępowany ograniczeniami finansowymi reżyser przedstawienia, Jan Świderski, mógł sobie pozwolić na takie ekstrawagancje jak wprowadzenie na scenę żywego konia, czy zafundowanie Bernardowi Ładyszowi królewskiego kostiumu za jedne 350 tysięcy złotych. Nie mam nic przeciw wydawaniu pieniędzy na kulturę, więcej nawet, cieszyłby mnie fakt tak hojnego mecenatu państwowego, gdyby państwo równie szczerze łożyło na sztukę nie tylko wtedy gdy ma ona zobrazować temperaturę uczuć narodu polskiego w stosunku do sowieckich przyjaciół. Jednym słowem znam lepsze cele na wydanie jedenastu milionów złotych, które kosztował „Borys”. Suma ta, większa od kosztów przeciętnego filmu fabularnego w Polsce, jest całkowicie przekonywująca zważywszy, że trzeba było specjalnie ubrać biorących udział w przedstawieniu 600 śpiewaków, chórzystów i statystów. (Suma ta nie obejmuje stałych pensji śpiewaków, muzyków, chórzystów itp.).

Mamy w Polsce około 60 teatrów i każdy z nich zobowiązany był do przygotowania specjalnej premiery z okazji wspomnianej rocznicy. Koszty przedstawień nie wchodziły w grę — rady narodowe, ministerstwo kultury, zakłady pracy dysponowały na ten cel specjalnymi funduszami. Ze za pieniądze jednak miłośność niezawsze da się kupić (prawda ta, *nota-bene* dosyć banalna, została widać zapomniana przez kierownictwo partii), więc też publiczność licznych spektakli, wieczornic, akademii, nie dała się ogłupić i szczerym śmiechem reagowała na trudne perypetie bohaterów sowieckich sztuk w walce o budownictwo socjalistyczne. Wymownym tego przykładem było festiwalowe przedstawienie łódzkiego Teatru Nowego, w czasie Warszawskich Spotkań Teatralnych w grudniu ubiegłego roku, gdzie sztuka niepełnego skąd inąd pisarza Arbuzowa pt. „Szczęśliwe dni pechowca” w pierwszej części wzbudziła szaloną wesołość na widowni — drugą zaś część przyszło grać aktorom z Łodzi przy na wpół opróżnionej sali.

W Krakowie „Bolszewików” Szatowa można było zagrać zaledwie osiem razy po premierze — co jest swoistym rekordem, zważywszy że najlepsze przedstawienia tego teatru sięgają liczby dwustu-trzystu, jeśli nie więcej. Trzeba było przedstawienie zdjąć z afisza, bo nie było dla kogo grać.

W warszawskim Teatrze Współczesnym cenzura zainterweniowała, gdy jeden z bohaterów sztuki wypowiadał zdanie, z którego wynikało, że „w Związku Sowieckim ludziom żyje się najlepiej”. Do tej, tak oczywistej, prawdy obywatele wciąż jeszcze

nie mogą się przekonać — swoją wątpliwość wyraziliby najpewniej salwą śmiechu, więc też lepiej było skreślić fatalne zdanie.

Ponoć, kilku usuniętych w tym roku dyrektorów teatrów zawdzięcza swe dymisje nieudanym realizacjom jubileuszowych spektakli.

Przed brutalnymi interwencjami cenzury nie uchroniło się także „Wesele” w filmowej wersji Andrzeja Wajdy i Andrzeja Kijowskiego, którego rozpowszechnianie przez długi czas stało pod znakiem zapytania i w końcu zostało uzależnione od zgody autorów filmu na kilka ingerencji cenzury. I tak oto cenzorom zawdzięczamy fakt, że słynna kwestia Czepca: „A jak tam, panie, Chińczyki...” otwierająca sztukę — wtłoczona została gdzieś w środek filmu, między bełkot pijanych weselnych gości. Wreszcie pozbawiono film sceny w której Jasiek, zwołujący chłopów do powstania, spotkawszy u zbiegu granic trzech zaborów patrol austriacki i kozacki zostaje dotkliwie pobity przez stróżów państwa rosyjskiego. Choć sama scena spotkania z patrolami zaborców pozostała, to wycięto jej niezbyt szczęśliwe dla Jaśka zakończenie. Dwukrotne odroczenie terminu premiery wynikało między innymi z konieczności oddzielenia jej od nader uroczystych obchodów 50-tej rocznicy ZSSR.

Faktem zupełnie drobnym i w zasadzie bez większego znaczenia, ale ilustrującym jak daleko absurd przeniknął polską rzeczywistość, była interwencja cenzury w sprawie recenzji z sowieckiego filmu znanego reżysera Tarkowskiego pt. „Solaris” (film oparty na utworze Stanisława Lema — piszącemu te słowa film się podobał), która miała ukazać się na łamach *Trybuny Ludu*. Nieszczęsny recenzent ośmielił się stwierdzić, że skąd inąd świetny film zawiera liczne długiżny. Jednak nie było dane odważnemu krytykowi podzielić się z czytelnikami tą tak kontrowersyjną refleksją.

W zestawieniu z faktami o których była mowa, nie ulega wątpliwości że głupocie i niedokształceniu cenzora zawdzięcza Antoni Słonimski, iż w pierwszym, po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, felietonie, w *Tygodniku Powszechnym* udało mu się zacytować wielkiego pisarza rosyjskiego, Aleksandra Sołżenicyna. Rzecz jasna, Słonimski nie wymienił nazwiska pisarza. Opisując swoje wrażenia z Nowego Jorku napisał tylko, że mieszkał w hotelu, z którego widział siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych w tym miejscu dodał, że jak powiedział pewien wielki pisarz „jest to organizacja zrzeszająca rządy nie narody”. Cenzor, któremu przyszło kontrolować felieton Słonimskiego pewnie w ogóle nie wiedział, że istnieje coś takiego jak niewygodne przemówienie z okazji przyznania nagrody Nobla Al. Sołżenicynowi, w którym rosyjski pisarz wypowiedział zacytowaną na temat ONZ refleksję.

Ci czytelnicy *Tygodnika Powszechnego*, którzy zorientowali się o podstępie Słonimskiego mieli nie lada uciechę.

Kulminacyjne punkty obchodów mamy już za sobą. Jednak jeszcze przez czas jakiś spóźnialskie teatry będą wypełniały przy-

jęte na siebie zobowiązania, tu i ówdzie odbędą się zaległe wieczornice, ten i ów ogłosi o wykonaniu przyjętych z tej okazji dodatkowych zobowiązań produkcyjnych. Jednak można już w zasadzie przystąpić do magazynowania dekoracji, czerwonego płótna, portretów klasyków marksizmu, zielonych paprotek itd. Wszystko to jeszcze nie raz okaże się potrzebne. Nowe okazje do obchodów i rocznic w drodze. Przecież obchody pięćdziesiątej rocznicy ZSSR, poprzedziły przed kilkoma laty nie mniej huczne fety z okazji rocznicy urodzin Lenina i rocznicy rewolucji październikowej. Nie ma więc powodów do przypuszczenia, że pieniądze wydano na darmo. Pewnie się jeszcze zamortyzują.

Szymon WALCZAK

Dwa lata Gierka

W Polsce ogłasza się już dane szacunkowe na temat wyników działalności gospodarczej w 1972 roku*. Wyniki te wskazują na dalsze przyspieszenie dynamiki wzrostu gospodarczego, to znaczy, że wzrost podstawowych wskaźników był w 1972 roku większy, niż w roku 1971. Uwzględniając te dane szacunkowe i biorąc lata 1971 i 1972 razem, zauważymy, że w dwuleciu rządów Gierka: — produkcja przemysłowa wzrosła o ponad 20 %, a rolna o ok. 12 %; — zatrudnienie w gospodarce uspołecznionej wzrosło o 750.000 miejsc; — płace realne wzrosły o 12 %, a „konsumpcyjne” dochody chłopów o ok. 30 %; — handel zagraniczny wzrósł o 25 %; — nakłady inwestycyjne wzrosły o 28 %.

Z punktu widzenia pojedynczego obywatela może nie są to wyniki szczególnie błyskotliwe. Urzędnik zarabiający 3.000 zł w 1969 roku w większości zarabia to samo i dzisiaj. A która gospodyni domowa pamięta dzisiaj, że dwa lata temu miała do dyspozycji 15 % mniej mięsa, i może sobie tę różnicę naocznie wyobrazić? Ale z punktu widzenia wielkich organizmów gospodarczych wyniki takie byłyby uznane za wysoce zadawalające w każdej szerokości geograficznej i w każdym systemie. W warunkach polskich są one wprost rewolucyjne. Zauważmy, że dla osiągnięcia analogicznego wzrostu przed rokiem 1971 trzeba było: w dziedzinie zatrudnienia — 3 lat, w dziedzinie płac realnych

* Na przykład w różnych numerach *Życia Gospodarczego* z ostatnich miesięcy. Wszystkie cytaty w niniejszym tekście pochodzą z tego źródła.

— blisko 7 lat, w dziedzinie dochodów chłopskich — tyle lat, że nie starcza PRL-u. W ocenie tych wyników *Życie Gospodarcze* używa następujących słów:

„Na żadnym z tych odcinków nie osiągnęliśmy takich rezultatów w ciągu ostatnich dziesięciu lat... handel zagraniczny osiągnął rozmiary niespotykane... notujemy największe w naszej historii przyspieszenie inwestycyjne...”.

Może zabrzmieć to jak paradoks, a jednak w wykazanym tu wzroście dynamiki zawiera się poważna krytyka systemu, panującego w Polsce od 1945 roku. Rzecznicy tego systemu przez 25 lat zaciskali konsumpcję społeczeństwa, tłumacząc to „trudnościami obiektywnymi”, koniecznością inwestowania, koniecznością — wynikłą z neodpartytych argumentów naukowego marksizmu — faworyzowania produkcji środków produkcji. Jak wyglądają te wywody w świetle pożarów wnieconych przez zniecierpliwionych robotników Wybrzeża?

Argument obiektywnych trudności jest w Polsce szczególnie rozpowszechniony. Pokrywa on takie nieszczęścia jak zniszczenia wojenne, brak pomocy z zewnątrz, brak bogactw naturalnych, brak Murzynów. Ten ostatni punkt jest szczególnie miły propagandzie komunistycznej, dla której cała zamożność krajów Zachodu („imperialistów”) stworzona została pracą wyzyskiwanych ludów kolonialnych. Argument prymitywny, a co komiczniejsze, mający i odwrotne zastosowanie: jeśli 200 milionów Murzynów może nie tylko utrzymać siebie ale jeszcze zapewnić dostatek dwustu milionom Amerykanów i trzystu milionom zachodnich Europejczyków, to dlaczego 200 milionów pracujących tylko na siebie ludzi sowieckich żyje w takiej biedzie? Pozostałe „czynniki obiektywne” również nie wytrzymują konfrontacji z widocznymi dla wszystkich przykładami: Szwecja nigdy nie miała kolonii ani zagranicznej pomocy, a ma najwyższy w Europie poziom życia (dużo wyższy niż tradycyjni kolonialści — Anglia i Francja); Dania nie ma żadnych bogactw naturalnych; Anglia ma ich mniej niż Polska; Niemcy były bardziej zniszczone, niż Polska (*nota-bene* zniszczone Niemcy wykazują znacznie wyższy postęp, niż niezniszczona Anglia); Japonia nie ma ani bogactw, ani kolonii, ani pomocy z zewnątrz, uległa ogromnym zniszczeniom, a jednak jest na drodze do stania się najbogatszym narodem świata... Jest rzeczą jasną, że „czynniki obiektywne” są dziecinnyymi wymówkami, a zamiast pseudo-ekonomicznych argumentów ma tu zastosowanie proste przysłowie „Człowiek jest kowalem własnego szczęścia”. Niestety, wiara w czynniki obiektywne, czyli w mannę padającą na Zachodzie i we własną niemożność jest głęboko zakorzeniona w psychice Polaków, narodu saksów i emigrantów. Jak dotychczas ten narodowy kompleks znakomicie ułatwiał obecnym właścicielom Polski narzucanie społeczeństwu celów ekonomicznych sprzecznych z interesami tego społeczeństwa. Ostatnie dwa lata osiągnięć zdobytych własnym wysiłkiem powinny osłabić w Polakach wiarę w cuda i oba-

lic bez reszty teoryjki, w wierze tej szukające poparcia dla usprawiedliwienia niedociągnięć systemu.

Argumenty inwestycyjne są ważnym elementem teorii ekonomicznej komunizmu. Najwięksi klasycy ze Stalinem na czele oraz całe rzesze mniejszych apostołów zapisali tony papieru, usprawiedliwiając nimi permanentny kryzys panujący wszędzie tam, gdzie zapanował stalinowski system. Tłumaczono, że konsumpcję trzeba ograniczać celem zwiększenia inwestycji, bo tylko te pozwolą zwiększyć produkcję co z kolei pozwoli kiedyś, przyszłym pokoleniom, na zwiększenie konsumpcji. Szczególny wysiłek szedł na uzasadnienie prymatu przemysłu ciężkiego, czyli środków produkcji (grupa A). Mianowicie powiększenie kiedyś konsumpcji (produkcja grupy B) wymaga zwiększenia w nieskończoność inwestycji w grupę A. Jeśli wśród polskich komunistów są ekonomiści, to dla nich wyniki lat 1971-72 powinny być takim samym szokiem, jakim swego czasu była dla czerni partyjnej mowa Chruszczowa na XX Zjeździe. Bo oto okazuje się, że motorem postępu gospodarczego w Polsce stało się przestawienie nacisku na gospodarkę rynkową: „Wzrost konsumpcji jest nie tylko wynikiem wysokiej dynamiki, ale siłą napędową tej dynamiki”. O ile w latach 1966-70 produkcja w grupie A wzrastała średnio rocznie o 9,3 %, a w grupie B o 6,6 %, to w 1971 roku dynamika wzrostu w obu grupach została zrównana na poziomie ok. 8 %, a w 1972 roku produkcja w grupie B wzrastała — według szacunkowych obliczeń — szybciej niż w grupie A. Może ważniejszy jeszcze jest fakt, że w samych inwestycjach przestawiono nacisk z grupy A na grupę B i dzięki temu, gdy inwestycje te zaczęły owocować, przewaga produkcji w grupie B ulegnie dalszemu zwiększeniu. Znajduje to odbicie w planach na najbliższe lata, które przewidują zwiększenie produkcji rynkowej w 1973 roku o 60 miliardów zł. i w 1974 roku o dalsze 100 miliardów zł. Tak więc święta krowa ortodoksyjnego komunizmu — rozwijanie produkcji poprzez zaciskanie konsumpcji — nie przeżyła nawet dwóch lat próby. Co więcej, próba ta wykazała, że właśnie produkcja dla konsumpcji prowadzi, i to bez większego wysiłku, do wzrostu inwestycji; dzięki temu właśnie mamy „największe w naszej historii przyspieszenie inwestycyjne”. Gdy odzrzucimy naiwny dogmat o trudnościach obiektywnych i fałszywe teorie inwestycyjne, musimy poszukać w czynnikach subiektywnych wytłumaczenia polskiej stagnacji gospodarczej ubiegłego okresu. Autorom krajowym rola tych czynników nie jest nieznaną:

„Ubiegłe dwa lata przetarły szlak, usunęły wiele hamulców, utrudniających przyspieszenie postępu społecznego i ekonomicznego. Punktem wyjścia była tu polityczna analiza sytuacji, zaczęto nie od tego co można, a od tego, co trzeba. Określono niezbędny do osiągnięcia pułap w dziedzinie poprawy warunków życia i do tego założenia przystosowano inne wskaźniki... (w handlu zagranicznym) usunięto biurokratyczne przeszkody, stwarzając pole do działania 'na dole'... Nowe zasady polityki rolnej wchodziły w życie w tempie, za którym nie mogły nadążyć nawet niektóre gazety, ale za któ-

rym znakomicie nadawali chłopci... Odwołano się do ludzkiej aktywności pod konkretnym hasłem: zrobimy więcej dla siebie. Dało to szybkie uruchomienie rezerw. Plany na 1971-1972 były dość luźne, tzn. otwarte na inicjatywę od dołu. Były one mobilizujące przez postawione w nich cele społeczne i przez gotowość przyjęcia inicjatywy, wehłonięcia rezerw niemożliwych do uruchomienia tylko przez odgórne działania. Niemałą rolę odegrał stopień kontroli społecznej i zwiększona odpowiedzialność — przed własnymi założeniami, odbiorcami... Przełamano stan niemożności na wielu odcinkach”.

Cytaty te dają dobry obraz subiektywnych trudności w komunizmie. Malują one obraz „subiekta”, trudności te stwarzającego. Ten nowy typ człowieka wyprodukowanego przez komunizm przedstawia się nam jako skrzyżowanie *homo sapiens* z mendą. Jako cel swego istnienia stawia on sobie:

- hamowanie postępu społecznego i gospodarczego;
- budowanie biurokratycznych przeszkód ograniczających działanie „na dole”, zwłaszcza w rolnictwie;
- unieruchomianie rezerw przez zwalczanie ludzkiej aktywności i inicjatywy;
- unikanie kontroli i odpowiedzialności społecznej;
- stwarzanie stanu niemożności na wszystkich odcinkach.

Tajemnica sukcesu Gierka to częściowe okiełznanie człowieka-mendy komunizmu. Tylko częściowe, bo posłuchajmy innej wypowiedzi:

„Nie zostały dotąd spełnione podstawowe warunki, od których zależy możliwość polepszania metod i wyników gospodarowania. Obowiązek dotrzymania planowanych (przeważnie prymitywnymi metodami) różnorodnych wskaźników, których wielkości są najczęściej sprzeczne z sobą, nie zostały jeszcze zastąpione koniecznością rzeczywistego poprawiania podstawowych wyników gospodarowania. Drobiazgowość i częstokroć niezyciowość, a nawet wręcz nieracjonalność przepisów, normujących działalność gospodarczą, nie została dotychczas zastąpiona właściwymi, prostymi i skutecznymi w praktyce zasadami”.

Widać tu jak na dłoni, jak działalność człowieka-mendy utrudnia postęp na jednym odcinku, w tym wypadku na odcinku produkcji przemysłowej. Odcinków dotkniętych tą plagą jest więcej: usługi, transport, budownictwo mieszkaniowe, turystyka... Jasne jest, co trzeba robić. Problem może powstać wtedy, gdy polityczna analiza sytuacji wykaże niezgodność między tym, co trzeba, a tym, co wolno. Sztuka życia w warunkach krajowych polega na umiejętnym i maksymalnym dysponowaniu marginesem wolności, udzielonym Polsce przez Sowiety. Margines wolności istniał w Polsce zawsze, również i za Gomułki. Zbrodniczym błędem Gomułki było, że marginesu tego nie tylko nie wykorzystywał, ale jeszcze dopuścił do tego, aby domowego chowu ludomendy margines ten samowolnie zwięźzały. Odwrócenie tej tendencji przyniosło natychmiast widoczne sukcesy w gospodarowaniu. Tu zawiera się prosta nauka dla rządzących Polską, płynąca z ostatnich dwóch lat.

Trzeba dodać, że spalanie paru Domów Partii i zlincowanie

pewnej ilości różnego typu aktywistów znakomicie pomaga klasie rządzącej we właściwym spełnianiu jej obowiązków. Ten subiektywny akt klasy robotniczej, który stał się głównym bodźcem nowej polityki, powinien na zawsze zostać w pamięci całego społeczeństwa jako nauka dla rządzonych. Wolności trzeba pilnować i o wolność trzeba walczyć. Nawet jeśli chodzi o wolność tak skromną, jak wolność nabycia 15 % więcej mięsa. Nie chodzi o porywanie się do walki z imperialnymi interesami Rosji Sowieckiej. W ramach tego imperializmu istnieje dla Polski określony zakres swobód. Chodzi o to, aby głupota, egoizm i marazm własnej biurokracji marginesu tego nie zwięźzały i w końcu całkiem nie zaprzepaciły. Tam, gdzie społeczeństwo nie ma innych środków, wyjście na ulicę jest jedyną możliwością wypowiedzenia się. Wyjściu na ulicę w grudniu 1970 roku zawdzięczają Polacy swoją obecną — jakże względną — *prosperity*. Powinni pamiętać, że jej utrzymanie może wymagać podobnej postawy w przyszłości.

Bohdan BRODZIŃSKI

Komitet PAN do spraw imperializmu

Jak już donosiliśmy, przy Polskiej Akademii Nauk w Warszawie stworzono KOMITET BADAŃ NAD WSPÓŁCZESNYM IMPERIALIZMEM I JEGO IDEOLOGIA. Dziwnie brzmi nazwa tego Komitetu w roku nauki polskiej, kiedy obchodzi się stulecie założenia Akademii Umiejętności, której kontynuatorem mieni się PAN. O powstaniu Komitetu były tylko krótkie wzmianki w prasie, unikające podawania nazwisk członków. Podajemy więc do publicznej wiadomości skład na kadencję 1972-1974.

PRZEZYDIUM:

1. prof. dr Adam Łopatka, Warszawa, INP PAN — Przewodniczący Komitetu.
 2. prof. dr Janusz Gołębiowski, Warszawa, INP PAN — Zastępca Przewodniczącego.
 3. dr Janusz Kolczyński, Warszawa, Ośrodek Badań Stos. Wsch.-Zach. — Zastępca Przewodniczącego.
 4. prof. dr Władysław Zastawny, Warszawa, WSNS — Zastępca Przewod.
 5. dr Ryszard Frelek, Warszawa, KC PZPR — Członek Prezydium.
 6. doc. dr hab. Tadeusz Jaroszewski, Warszawa, IFiS PAN — Członek Prez.
 7. prof. dr Władysław Markiewicz, Warszawa, IS UW — Członek Prez.
 8. dr Andrzej Werblan, Warszawa, „Nowe Drogi” — Członek Prezydium.
 9. prof. dr Jerzy Wiatr, Warszawa, IS UW — Członek Prezydium.
 10. dr Krzysztof Ostrowski, Warszawa, IFiS PAN — Sekretarz Naukowy.
-, Warszawa — Sekretarz Techniczny.

CZŁONKOWIE AKADEMII:

1. prof. dr Kazimierz Secomski, Warszawa, Kom. Plan.

PLENUM:

2. doc. dr Kazimierz Doktor, Warszawa, IFiS PAN — Członek Komitetu.
3. dr hab. Marian Dobrowolski, Warszawa, PISM — Członek Komitetu.
4. doc. dr Kazimierz Kąkol, Warszawa, IDz UW — Członek Komitetu.
5. doc. dr Janusz Kuczyński, Warszawa, UW — Członek Komitetu.
6. prof. dr Józef Kokot, Opole, INŚI — Członek Komitetu.
7. prof. dr Jarosław Ładosz, Opole, INP UŚI — Członek Komitetu.
8. prof. dr Wojciech Morawiecki, Warszawa, SGPiS — Członek Komitetu.
9. dr Walery Namiotkiewicz, Warszawa, „Nowe Drogi” — Członek Kom.
10. doc. dr Zdzisław Nowak, Poznań, Inst. Zach. — Członek Komitetu.
11. prof. dr Kazimierz Opałek, Kraków, UJ — Członek Komitetu.
12. prof. dr Marian Orzechowski, Wrocław, UBB — Członek Komitetu.
13. dr hab. Longin Pastusiak, Warszawa, PISM — Członek Komitetu.
14. dr hab. Maciej Perczyński, Warszawa, PISM — Członek Komitetu.
15. dr hab. Janusz Rachocki, Poznań, Inst. Zach. — Członek Komitetu.
16. prof. dr Franciszek Ryszka, Warszawa, IH PAN — Członek Komitetu.
17. doc. dr hab. Wiesław Sadzikowski, Warszawa, SGPiS — Członek Kom.
18. prof. dr Dymitr Sokołow, Warszawa, SGPiS — Członek Komitetu.
19. prof. dr Wiesław Skrzydło, Lublin, UMCS — Członek Komitetu.
20. dr hab. Wojciech Sokolewicz, Warszawa, INP PAN — Członek Kom.
21. prof. dr Józef Słodaczuk, Warszawa, SGPiS — Członek Komitetu.
22. doc. dr Hieronim Szczegółka, Zielona Góra, WSI — Członek Komitetu.
23. dr Jan Szewczyk, Warszawa, Ośr. Bad. Stos. Wsch.-Zach. — Członek Kom.
24. doc. dr Adam Szeworski, Warszawa, ZNE PAN — Członek Komitetu.
25. prof. dr Włodzimierz Wesołowski, Warszawa, IS UW — Członek Kom.
26. doc. dr Marian Wojciechowski, Warszawa, WI PAN — Członek Kom.

Warszawa, marzec 1972 roku

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kronika kulturalna

Zapomniany malarz

Któż dziś pamięta pejzażystę Romana Kochanowskiego, który należał do plejady polskich monachijczyków ostatniej ćwierci XIX wieku?

Otóż ukazała się w Monachium piękna monografia tego artysty. Materiały zebrał, całość wydania najstaranniej opracował i własnym sumptem wydał inż. Tadeusz Lewkowicz. Książka zawiera szkic biografii artysty napisany przez Wiktora Trościanko — ciekawy, *uważny*, pełen konkretnych danych nie tylko o malarzu, ale i o polskim Monachium z tamtych czasów; 22 reprodukcje ilustrują dorobek artysty, wśród nich 17 kolorowych i świetnych! Nie znam malarza, który by się nie czuł szczęśliwy posiadając taką monografię swego dorobku.

Roman Kochanowski był pejzażystą *sprzed* impresjonizmu, przeżył krótki okres rozgłosu, nawet może sławy (wystawiał w Krakowie, Lwowie, Wiedniu, naturalnie w Monachium i nawet w Londynie) potem zaś — jak pisze Trościanko — „okopał się na pozycjach wyminiętych przez style i mody, a przeżył blisko 90 lat do ostatniej chwili nie wypuszczając z ręki przynajmniej ołówka i szkicownika”. Ożeniony z Bawarką, pozostaje do śmierci — 64 lata — w Monachium, do Krakowa jedynie z rzadka dojeżdżając.

We wstępie do szkicu biograficznego Trościanko opisuje dziwne odkrycie skrzyń, dziesiątki lat nie otwieranych w starym monachijskim mieszkaniu. Jaka ich zawartość? Sukmany, nabi-jane miedzią pasy krakowskie, rogatywki, spódnice, chustki i bluzki wyszywane i noszone wówczas we wsiach podkrakowskich, a poza tym niezliczone komplety przeczytanych pism polskich, jeszcze z XIX wieku, z artykułami, wzmiankami o nowelach Sienkiewicza, Orzeszkowej, Jeża, „tydzień temu” wydanych, o przemówieniu „wczorajszym” Asnyka, setki z tamtej epoki listów,

pożółkłych fotografii pań wciśniętych w gorsety i panów w cylindrach.

Cóż to za studnia dla badacza tej epoki.

Lecz to wszystko dopiero początek. Potem wyłożono z tych samych skrzyń obrazy, przeważnie małego formatu. Wszystkie pejzaże z Małopolski: kobiety pasące gęsi, stara babka dzwigająca naręczę chrustu, wśród wierzb, wśród błotnistych, wśród chat o słomianych strzechach — laski, zagajniki, mgły poranne! Wszystko dzieła Kochanowskiego.

Pisząc o tym malarzu i jego epoce W. Trościanko wspomina anatemy późniejszych szkół polskich, rzucane na polskie Monachium, strzały wypuszczane z pozycji innych stylów i epok „przez łuczniczków wszelkiego kalibru w hierarchii sztuki”.

Pomimo (a może nie pomimo, a właśnie dlatego?), że byłbym jednym z tych łuczniczków w swoim czasie, nie umiem powstrzymać się od wzruszenia czytając o losach tego malarza, którego w latach 90-tych rodzina namawiała żeby wracał do Krakowa „...tak wyszedłeś z mody przez co pan Stanisławski niepodzielnie panuje”. Kochanowski przecież do kraju nie wraca, a na wzmiankę o sławie odpowiada: „Tak zwana sława, to dym dobry, ale do wędzenia kiełbas krakowskich, grubo krajanych”.

Autor szkicu biograficznego zaznacza, że nie chce się wdawać w oceny wartości artystycznych malarzy, o których wspomina, podaje więc szereg ich nazwisk jednym tchem, od wielkich jak Gierymscy, Boznańska, do średnich, gorszych, aż po Stachewicza i Siemiradzkiego, tak przez łuczniczków słusznie tępionych.

Każda generacja ma nie tylko prawo, ale obowiązek przeprowadzenia, w swej własnej tradycji i w swojej teraźniejszości, selekcji w której obiektywne wartości wierzy; w niejednym wypadku może i nawet musi się mylić — jest pracą następnych pokoleń wprowadzać do tych ocen korekty. Czy nie nadszedł czas by cały monachijski dorobek na nowo przewertować i może odkryć tam jeszcze nie odkryte wartości?

Witkiewicz pisał o bawarskiej Akademii der Bildungskünste, że była w owych latach „najrozumniej zorganizowanym zakładem wychowawczym dla artystów, mogła ona wyrządzać minimum szkody jaką zawsze każdy system kształcenia wyrządza, ponieważ ściśle biorąc nie było w niej żadnego systemu!” Przecież w tymże Monachium była Pinakoteka, Włochy tuż blisko, kult Grecji wówczas modny w Monachium i na tyle liberalna akademia, że ani Kaulbach, ani Lenbach nie dławili malarzy swoim autorytetem.

Malarstwo Kochanowskiego — ten skarb odkryty w skrzydniach monachijskich — jest czymś więcej niż wzruszającym wspomnieniem czasów minionych. Patrzą i patrzą na te barwne reprodukcje, wiem — niestety — że nawet najlepsze nie dają

jeszcze pewnika czym jest obraz w samej swojej materii malarzkiej.

Najwięcej trafiają mi do przekonania niewinne akwarele z wczesnej młodości artysty z okolic Krakowa (str. 11 i 43), jakaż świeżość obserwacji bezpośredniej, żadnych prób głośniejszych efektów i łatwizn, niektóre z obrazów ciemnych — „z okna”, „jesienny las” — o kresce gwałtownej i kontrastach kolorystycznych, prawie zgrzytliwych, uderzają siłą, prawie brutalnością. Nie widzę w pierwszej chwili w tych płótnach żadnej filiacji z Corotem, o której napomyka Trościanko, ale nagle staje mi się jasne, że artysta przecie do jednej z Corotem należy rodziny. Tylko co na wystawie jednej z paryskich galerii widzę obraz Daubigny (jednego z głównych malarzy grupy Barbizon) o mocnych walorowych kontrastach światła i cieni i szarpanych blaskach na niebie. Jakże to bliskie Kochanowskiego — pomyślałem odruchowo. *Stosunek* do natury barbizończyków, tych pierwszych francuskich twórców pejzażu XIX-wiecznego, grupy do której należał i Theodore Rousseau i Daubigny, Millet i do pewnego stopnia Corot, mieli jakże podobne do Kochanowskiego podejście do natury, ten sam wobec niej prawie modlitewny zachwyty, to samo *nasiąknięcie* naturą i upór przekazania jej najwierniej. Cóż z tego, że Kochanowski kilka dziesiątków lat później malował! Jakże ciekawe byłoby obrazy tych malarzy porównać, stawiając je obok siebie. „Kto pierwszy” — to nie jedyne kryterium wartości.

Akcent dominujący chyba u Kochanowskiego, zdaje mi się że przede wszystkim na walorze oparty; ta dominacja waloru nad kolorem była prawdopodobnie granicą, która zamknęła mu drogę w latach kiedy impresjonizm kolorem, nowością odkrywczą kolorystyczną transpozycji świat zdobył.

Jakże mógł się równać wówczas w Krakowie Kochanowski z żywiołowym i świetnym „panem Stanisławskim”, który ten nowy świat wrażliwości widzom odkrywał! Dziś, 100 lat po pierwszych krokach impresjonizmu, może ocenilibyśmy inaczej i bezstronnie malarstwo Kochanowskiego, który się na przeciwnych impresjonizmowi pozycjach okopał?

Ta piękna książka, z prywatnej inicjatywy wydana — hołd zapoznanemu monachijskiemu — mogłaby być może punktem wyjścia nowego spojrzenia na tamtą epokę, na polskie Monachium.

J. CZAPSKI

P.S. Jednocześnie prawie z książką, którą omawiam, wyszła w Polsce cenna książeczka wspomnień Wandy Waliszewskiej o jej mężu Zygmuncie Waliszewskim, dopełniona szeregiem listów artysty (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1972). Nie będę omawiał tych wspomnień, chciałbym jedynie zaznaczyć że *nikt* dotychczas nie napisał o artyście z taką siłą ewokacji, w prozie

aż gęstej od faktów i obrazów. Cóż, kiedy dołączone reprodukcje rysunków Waliszewskiego są nie do zniesienia złe — niektóre z nich to wprost szare plamy, gdzie zgadnąć zaledwie można co rysunek przedstawia. Niedbałość? Pośpiech? Zbiorowa, to znaczy niczyja odpowiedzialność? Różnica ze starannym, pięknym wydaniem monachijskim Romana Kochanowskiego — jest przygnębiająca.

J. C.

ANKIETA „LITERATURY”

Warszawski tygodnik *Literatura* zorganizował ankietę wśród swoich czytelników pod hasłem „Kogo wybralibyśmy do Akademii Literatury?”. Wynik ankiety jest dość charakterystyczny. Czytelnicy *Literatury* wybrali: Jarosława Iwaszkiewicza (1553 głosy), Jana Parandowskiego (1249), Jerzego Andrzejewskiego (1248), Antoniego Słonimskiego (1216), Kazimierza Wykę (1159), Romana Bratnego (1132). Melchiora Wańkowicza (1083), Jerzego Putramenta (1066), Tadeusza Konwickiego (1057), Tadeusza Różewicza (1036), Wojciecha Żukrowskiego (980), Kazimierza Brandysa (834), Mieczysława Jastruna (818), Tadeusza Kotarbińskiego (797) i Wisławę Szymborską (781). Inni literaci uzyskali znacznie mniej głosów. Tak np.: Stanisław Dygat (643), Teodor Parnicki (492), Zbigniew Herbert (358), Sławomir Mrożek (312), Maria Kuncewiczowa (282), Kazimiera Błakowiczówna (216), Artur Sandauer (162). Interesujące były również listy otrzymane z tej okazji przez redakcję, jak np. fragment jednego z listów: „Zauważyliście pewnie, że na swojej liście nie podaję pisarza X. Wprawdzie niby nadawałby się pod każdym względem do Akademii, ale ja go wykluczam ze względów moralnych i innych”.

NOWE UZUPEŁNIENIE LISTY
NAGRÓD LITERACKICH (2)

- CZERNIAWSKI Adam — 1954 — 2-a nagroda na konkursie Młodych Związku Pisarzy; 1971 — nagroda Oficyny Poetów im. Tadeusza Sułkowskiego.
- GRABOWSKA Zofia — 1942 — 2-a nagroda na konkursie Radia Polskiego w Londynie na słuchowisko pt. „W noc zawieszenia broni”; 1957 — 1-sza nagroda za słuchowisko dla Radia Free Europe do programu na Boże Narodzenie 1957 pt. „Życzenia Świąteczne do Kraju” (obie wspomniane nagrody otrzymała jako Zofia IWANOWSKA (pseudonim)); 1965 — Nagroda im. Cz. Straszewicza na Konkursie Radia Free Europe za opowiadanie pt. „Ręce”, przedrukowane w *Na Antenie* 11 lipca 1965 (nagrodę trzymała jako Klara EVANS (pseudonim)); 1968 — 2-a nagroda za pamiętnik wojenny na konkursie *Orla Białego* pt. „Zapiski z roku 1940”.
- GRYNBERG Henryk — 1966 — nagroda Fundacji im. Kościelskich za powieść „Żydowska wojna”.
- OLSZANKIEWICZ Irena (pseudo Maria KAMIL) — 1968 — 2-a nagroda na konkursie *Wiadomości* za „Cererę matką moją piszę do mnie z Polski”.

Książki

Gogolowskie składniki

Przed kilku laty rozmawiałem z Czesławem Miłoszem o słabości polskiej prozy. Wydawało mi się wówczas, że sprawa jest w pewnej mierze akcydentalna, że rolę odgrywają rozwojowe opóźnienia lub dające się usunąć nieprzystawalności. Dziś doszedłem do przekonania, że korzenie zjawiska (a może raczej brak zjawiska, wywodzący się z braku korzeni); inaczej więc: że cała ta przypadłość nie jest przypadkowa. Nie pora tu pisać o tym rozprawkę, ale na dwa fakty chciałbym zwrócić uwagę: największy poeta polski i zarazem ten, co ustanowił polszczyzną literacką — Jan Kochanowski — pisywał prozą żenująco nieporadną; dwaj najwybitniejsi prozaicy polscy dwudziestego stulecia (z rozmysłu ograniczam się do zamkniętych już dokonań), Bruno Schulz i Witold Gombrowicz, uprawiali gatunek literacki odmienny nieco od tego, co zwykliśmy potocznie poczytywać za prozę; i w jednym i w drugim wypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem granicznym. Zarazem zaś w tymże dwudziestym stuleciu napisano po polsku wiele znakomitej liryki (i rzeczy od liryki pochodnych); gdyby powstało to w języku o większym zasięgu, bardziej by to było cenione w świecie od poezji, powiedzmy, francuskiej.

Piszę o tym dlatego, żeby Kazimierzowi Orłowskiemu, a przy okazji również i Tomaszowi Stalińskiemu nie stawić słusznego i niesprawiedliwego zarazem zarzutu: że mianowicie książki ich są faktami socjologicznymi, lecz nie dziełami sztuki. Faktami socjologicznymi zasługującymi, i owszem, na uwagę i zastanowienie się, chociażby z przyczyny zacnych intencji, ale także i dlatego, że zawierają szereg istotnych informacji o stanie rzeczy w Polsce współczesnej. Takie informacje i refleksje tylko w Polsce współczesnej właśnie mogły powstać, opis zaś takiego stanu

Kazimierz Orłoś: *Cudowna melina*. Str. 180, „Biblioteka Kultury”, tom 227, cena F. 20,00.

rzeczy *rebus sic stantibus* w miejscu powstania utrwalony drugim być nie może. Dobrze więc, że stało się to gdzie indziej.

Orłoś stosuje w swojej książce chwyt z Gogolowskiego „Rewizora”. Po krótko: do miasteczka powiatowego przyjeżdża świeżo wypuszczony z więzienia oberwaniec, spodziewając się pomocy od kolegi szkolnego, piastującego poczesne stanowisko (przewodniczący Rady). Owże przewodniczący, idealista bez skazy i zmyzy, szukając sposobu, aby zdemaskować bandę szubrawych notabli powiatowych, chce skorzystać z okazji i zażyć tę bandę z mańki. Postanawia wprowadzić oberwańca do wysokiego grona jako przybyłego na reportaż dziennikarza; z oberwańca robi się więc przebieraniec i zrazu dziwna ta impreza udaje się. Do czasu wszelako. Oberwaniec-przebieraniec, drobna zresztą łajdaczyna, dowiaduje się wprawdzie o różnych świństwach i wręcz kryminalnych poczynaniach, ale w końcu powija mu się noga: sam zostaje zdemaskowany, idealista zaś (jak to powiedział był Prus o Skrzetuskim? — „Jezus Chrystus w postaci oficera jazdy”), skompromitowany zdemaskowaniem przebierańca, musi umykać z miasteczka.

Podobnie jak Gogol w „Rewizorze” daje więc przy okazji Orłoś wiele tak zwanego kolorytu lokalnego, wiadomego, widomego i sprawdzalnego: zapijaczenie, chciwość, obłeśne seksuała, złodziejstwo; a także nieudolną gospodarkę i brak cywilizowanej administracji; a także bezradność jedyne go pojawiającego się w tekście człowieka dobrej woli; a także komizm, kiedy się zapada w czasie pochodu majowego trybuna, zbudowana z wybrakowanego materiału; a także smutek, kiedy Bogu ducha winny *hippie* opuszcza miasteczko, ponieważ dygnitarz połamał mu gitarę. I tu, z okazji tego właśnie epizodu, mam nieco pretensji do Orłosa: zaprzepaścił wątek, aż proszący się o samodzielne potraktowanie, rozbudowanie do sporego opowiadania, nawet klasycznie spointowanej noweli.

Dużo by o tym pisać, dlaczego mimo sporej dawki gogolowskich składników „Rewizor” z „Cudownej meliny” nie wyszedł; dla tej samej myślę przyczyny, dla której „Noce i dnie” to nie „Komedia ludzka” (choć nudne są oba, ale bywa literatura nudna i dobra zarazem), „Popioły” zaś to nie „Wojna i pokój”. Wielki demiurg polszczyzny, Kochanowski, stworzył język z proceduru przekładowego, wynikający z relacji tekst-tekst, a nie z relacji słowo-rzecz; jest to język wyrazisty, lecz nie plastyczny, a fakt ten niesie ze sobą daleko idące konsekwencje, aż po niektóre cechy wyobraźni zbiorowej w ogóle. Stąd słabości polskiej prozy; i stąd swoista siła polskiej poezji. Mówię o tym dlatego, żeby rozgrzeszyć Orłosa z błędów nie jego. Zasluga jego natomiast pozostaje raczej w sferze wypowiedzi oderwanej: powiadania mianowicie czytelnika, że dobrymi chęciami i nawet poczynaniami wiadomego stanu rzeczy się nie ulepszy; że życia w wiadomych warunkach nie da się uczynić znośniejszym; że przeciwnie, wszelkie poruszenia ku lepszemu powodują głębsze jeszcze zanurzenie w bagnie tego, kto się w bagnie porusza.

Orłoś jest bezradny, tak samo, jak bezradny jest Staliński. Jeden nie potrafi przebić się z reportażowej konwencji, drugi z felietonowej; w jednym wypadku mamy reportażowe widzenie świata, w drugim felietonowe traktowanie świata. Obaj nie umieją spożytkować rzeczy doznanych jako surowca, z którego suwerennie buduje się utwór; miotają się w rzeczywistości i nie zgadzają się z rzeczywistością.

Dlatego tak jest, to już inna historia.

Witold WIRPSZA

R. Ingartena przedmioty intencjonalne

Minęły właśnie trzy lata od śmierci wybitnego polskiego filozofa Romana Ingardena. Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydało ostatnio zbiorek rozpraw Ingardena pod tytułem „Książeczka o człowieku”. Według redaktorki książki, Danuty Gierulanki, Ingarden nosił się z zamiarem wydania zbioru szkiców pod tym właśnie tytułem, lecz śmierć utraciła ten projekt. Obecna publikacja jest więc jakby szkicem do książeczki o człowieku. Trzy prace są poświęcone dyskusji różnic między człowiekiem a resztą natury, jedna zajmuje się kwestią tożsamości osobowości ludzkiej, a trzon książki stanowi stustronicowa rozprawa na temat odpowiedzialności.

Podłożem wielu ważkich dysput filozoficznych jest pytanie, czy człowiek i jego rzeczywistość są po prostu kontynuacją procesów, które znajdujemy w przyrodzie, czy też stanowią coś wobec reszty przyrody odrębnego. Ingarden stoi na stanowisku, że człowiek „żyje w świecie odrębnym od natury”, choć oczywiście Ingarden przyznaje, że człowiek jest ściśle uzależniony od procesów biologicznych i fizycznych, którym podlegają wszelkie pozostałe twory przyrody. Dlatego Ingarden twierdzi że twory kultury ludzkiej „konstytuują się... na podłożu rzeczy i procesów przyrodzonego świata”. Stąd Ingarden dalej wnioskuje, że „twory kultury wytworzone przez człowieka nie stanowią niczego więcej jak tylko pewnego rodzaju cień rzeczywistości, będąc jedynie tworamii czysto intencjonalnymi”.

A ten wniosek z kolei wiedzie Ingardena do konkluzji, że człowiek jest w zasadzie istotą tragiczną: dzięki świadomości, którą jest obdarzony, i dzięki zdolnościom, które pozwalają mu tworzyć to wszystko, co nazywamy kulturą, człowiek wyrasta ponad przyrodę. Ale, i tu właśnie Ingarden widzi tragizm naszej sytuacji, człowiek nigdy nie może się kompletnie wyzwolić od

zależności od przyrody, a po drugie, pisze Ingarden, „siła twórcza człowieka jest ograniczona. Nie jest zdolna stworzyć dzieł autonomicznych w swym istnieniu i niezależnych od naszej świadomości. Jest zbyt słaba żeby rzeczywiście przetworzyć pierwotną naturę w rzeczywistość człowieka”.

W skrócie ten zasadniczy dla filozofii Ingardena argument brzmi następująco. Weźmy dla przykładu Kaplicę Zygmuntofską w Krakowie. Jest to obiekt jak najbardziej solidny, skonstruowany z kamienia. Przetrwał już szereg stuleci, i zapewne przetrwa jeszcze wiele dalszych stuleci. Jako obiekt materialny Kaplica może się okazać bardziej trwałą od pobliskich drzew. A więc, czyż ten twór naszej kultury nie istnieje autonomicznie, czyż nie może on z powodzeniem konkurować z przedmiotami stworzonymi przez naturę bez interwencji człowieka? Ale czy, gdy myślimy o Kaplicy, mamy na uwadze przede wszystkim pewien układ kamieni? Nie, Kaplica Zygmuntofska odgrywa bardzo specyficzną i ważną rolę w kulturze polskiej, ponieważ skupia w sobie przełomowe momenty w naszej historii. Kaplica jest symbolem ciągłości narodu polskiego. Związane są z nią pewne obrzędy natury religijnej, które także stanowią istotny element historii państwa polskiego. Ale pojęcie obrzędu religijnego i pojęcie historii, pojęcie narodowości wprowadza nas już w obręb świata wyłącznie ludzkiego. Gdyby jutro rasa ludzka znikła, znikłyby z nią obrzędy religijne i sentymenty patriotyczne. Budowla, która pobudzała odwiedzających do tych aktów hołdu i dziękczynienia, stałaby zapewne jeszcze długie lata, ale straciłaby miano kaplicy. Innymi słowy, instytucje w rodzaju kaplic, szkół i banków, przedmioty w rodzaju obrazów, rzeźb i utworów muzycznych, istnieją tylko w zależności od umysłów ludzkich, w przeciwieństwie do drzew, ptaków, gór i kamieni. Dlatego też, zdaniem Ingardena, twory ludzkie są tak kruche, dlatego brak im autonomii bytowej.

Argument o niematerialnym, zależnym, charakterze dzieł sztuki Ingarden rozwija bardzo obszernie w swych pracach z dziedziny estetyki. W obecnych drobnych referatach ta teza jest przedstawiona w wielkim skrócie, a poza tym Ingarden wyciąga z niej wnioski wychodzący poza dziedzinę estetyki, którymi nie wydaje mi się szczególnie przekonujący. Mam na myśli tę konkluzję, że ponieważ wytwory ludzkiej kultury są bytowo od ludzkich umysłów zależne, winniśmy rozpaczać nad ich szczególną kruchością. Oczywiście że przemijanie i śmierć są wyznacznikami naszego losu, które pobudzają do tragicznych refleksji. Ale to już nie jest argument o zależnym charakterze dzieł sztuki, lecz argument dotyczący naszej śmiertelności. Jeżeli rasie ludzkiej grozi zagłada, fakt, że jej dzieła znikną razem z nią nie napawa mnie grozą. Bo jeżeli nie będzie już istot, dla których Kaplica Zygmuntofska jest czymś więcej niż kupą kamieni, to i tak nie będzie nikogo, kto by się tym obrotem rzeczy musiał martwić.

O wiele gorsze i jak najbardziej realne są, wydaje mi się,

sytuacje, w których dzieła sztuki i inne twory kultury, jak na przykład praworządność czy sprawiedliwość, ulegają zniszczeniu choć rasa ludzka trwa i rozwija się nadal. To zniszczenie przybiera różne formy. W dostównym znaczeniu Kaplicę Zygmuntofską mógłby ktoś po prostu wysadzić w powietrze, a wówczas, ponieważ zniknąłby układ kamieni na którym, jakby powiedział Ingarden, konstytuowało się dla nas dzieło sztuki, i samo dzieło sztuki także by zniknęło. Dzieło sztuki może również zniknąć po jakimś czasie po prostu dlatego, że człowiek nie wynalazł odpowiedniego sposobu przechowania danego zespołu kamieni, słów czy dźwięków. Wreszcie dzieło sztuki może być zniszczone w sensie przenośnym, to znaczy może je „zniszczyć” brak zainteresowania lub zrozumienia. Obraz w sensie kanwy pokrytej różnymi barwami może istnieć długie lata i nie podlegać znacznemu fizycznemu zniszczeniu, ale ludzie mogą przechodzić obok niego obojętnie. I ta ich obojętność „zabija” obraz, choć trwa on nadal w sensie czysto fizycznym. Ale dopóki tak trwa w sensie fizycznym, jest nadzieja, że ktoś go „wskrzesi”. Historia sztuki roi się od przykładów zapóźnionego uznania dzieł, które dziś wysoko cenimy.

Bardziej powinna niepokoić nas nie automatyczna anulacja dzieł sztuki w razie zagłady ludzkości, lecz raczej systemy rządów, które czy to siłą, czy to perswazją zmuszają nas do odmiawiania wartości artystycznej pewnym typom wytworów człowieka. Jeszcze okrutniejsza jest możliwość, że w wyniku ewolucji biologicznej nasi prawnukowie zatracą dar cenięcia dzieł sztuki stworzonych przez nas i przez naszych przodków. W jakimś sensie jest to sytuacja, którą wszyscy znamy. Dla Europejczyka sztuka Egipcjan, Azteków, Hindusów, Chińczyków i Murzynów jest zagadkowa. Czuje się wobec niej obco, często odmawia jej właśnie miana sztuki. Lecz tu znów, póki trwa ten materialny podkład, na którym konstytuuje się w umyśle ludzkim dzieło sztuki, zawsze istnieje jeszcze nadzieja, że dane dzieło sztuki zostanie wreszcie odkryte. Na początku naszego stulecia przedmioty z murzyńskich osiedli, które dostały się w ręce białych, kolekcjonowano w muzeach etnograficznych. Nagle jednak uznano je za dzieła sztuki i natychmiast przeniesiono je do galerii, przeznaczonych na kolekcje sztuk pięknych.

Ingarden przypomina nam że „już na skałach jaskiń, które człowiek niegdyś zamieszkiwał, znajdujemy pierwsze twory malarstwa, i to twory mówiące nam wiele o dobrym smaku i o żywych potrzebach artystycznych ich twórców”. Te słowa winny nas nastroić optymistycznie. Przed chwilą zastanawiałem się nad możliwością że nasi prawnukowie nie będą w stanie zrozumieć naszej sztuki. Ale jeżeli my bez trudu podziwiamy artyzm malunków w pieczarach, dokonanych przez ludzi tak różnych od nas, czyż musimy się martwić, że przyszłe pokolenia przejdą obojętnie obok naszych dzieł? Kryje się tu jednak jeszcze inne pytanie, nad którym Ingarden w ogóle się nie zastanawia. Ingarden pisze o „dobrym smaku i żywych potrzebach artystycznych”

jaskiniowców, ale skąd on wie, że jaskiniowcy świadomie tworzyli dzieła sztuki, a nie, powiedzmy, przedmioty kultu religijnego? A jeśli tak, to czy wolno jest mówić o *nieświadomym* tworzeniu dzieł sztuki?

Adam CZERNIAWSKI

Eksperyment z Pahiatua

Wśród polskich ugrupowań emigracyjnych po drugiej wojnie światowej poważne miejsce zajmuje Polonia osiedlona w Australazji, czyli w Australii i Nowej Zelandii, razem około dziewięćdziesięciu tysięcy Polaków. Byłoby zatem niepowetowanym błędem gdyby dzieje tej emigracji na antypodach nie zostały historycznie opracowane i zachowane dla przyszłych pokoleń.

Historycy mogliby od biedy wyrobić sobie pewną opinię i uzmysłowić sobie ogólny obraz życia polskiego w Australii z ukazujących się tu publikacji prasowych. Jednak gazety jako materiał historyczny są źródłem drugorzędym i dodatkowym ze względu na fakt, że zawarte w nich informacje mają przeważnie charakter sporadyczny, często przypadkowy i niezawsze obiektywny.

Jeszcze mniej zadowalająco przedstawiała się dotychczas sprawa źródeł informacyjnych o życiu Polaków w Nowej Zelandii. Aczkolwiek oba tygodniki australijskie głoszą na tytułowej stronie, że są pismem Polaków w Australii i Nowej Zelandii, to jednak, jeżeli chodzi o tę ostatnią określenie to jest raczej kurtuazyjno-reklamowe, albowiem wiadomości z Nowej Zelandii w tych dwóch periodykach nie są takie periodyczne, podawane są okazjnie, a i wtedy mają charakter mocno ogólnikowy; historyk, który chciałby na ich podstawie opracować monografię o życiu Polonii nowozelandzkiej stanąłby przed niewykonalnym zadaniem.

Od przyjazdu pierwszych transportów imigracyjnych do Nowej Zelandii minęło ponad ćwierć wieku; w tym czasie szeregi starszych wykruszyły się wydatnie. Ponadto, ludzie nie tylko umierają, lecz też stosunkowo szybko zapominają i po prostu grozi zanik jedyne go wiarygodnego źródła historycznego: noocznych świadków, którzy te czasy przeżyli i mogliby je opisać na podstawie własnych obserwacji i innych dowodów tego co widzieli i o czym mogą posiadać swego rodzaju dokumentację w formie listów, fotografii, notatek i tym podobnych materiałów z których może korzystać polski historyk-archiwista.

Możemy więc uznać za szczęśliwy zbieg okoliczności fakt istnienia w Australii aktywnego Polskiego Towarzystwa Histo-

rycznego, pod którego auspicjami ukazało się teraz jeszcze jedno opracowanie z serii dokumentaryczno-pamiętnikarskiej. Jest nim estetycznie wydana książka pani Krystyny Skwarko*.

Autorka jest jedną z tych coraz rzadszych obecnie osób, które szczerze i bezinteresownie kochają dzieci. Gdy o nich pisze, miłość do nich, naturalna i bez patosu, przebija z każdego zdania. Opiekowała się nimi od roku 1942 gdy w ośrodku organizacyjnym Armii Polskiej w Rosji otrzymała nominację na kierowniczkę sierocińca w uzbeckim kołchozie Karkin Batasz, aż do roku 1947 kiedy przebywała z nimi w czystym obozie nowozelandzkim. Książkę o nich wydała własnym nakładem w roku 1972. Najwidoczniej nie zmieniła się pod tym względem w ciągu ostatnich trzydziestu lat, od czasu gdy zanotowała w Bucharze: „Jakież to szczęście, że posiadam jeszcze trochę rzeczy na spieniężenie i nikogo nie potrzebuję prosić o pomoc”.

Aczkolwiek praca dotyczy osiedlenia sierot w Nowej Zelandii, autorka słusznie poświęciła połowę książki opisowi przeżyć tych chłopców i dziewcząt w smutnych lepiankach uzbeckistańskiego stepu i w zielonym, kojącym Isfahanie gdzie zastała ją zawiadomienie, że większa grupa sierot została zaproszona do Nowej Zelandii na okres do końca wojny. Wyjechało wtedy z Persji siedemset trzydzieści troje dzieci i sto osób personelu opiekuńczego: nauczycielskiego, administracyjnego i lekarskiego. Zamieszkałi w obozie Pahiatua.

Obecnie Polonia w Nowej Zelandii liczy około 3.000 osób. Co najmniej dwie trzecie stanowią te dorosłe już dzieci i ich potomstwo. Dlatego właśnie eksperyment w Pahiatua był bodaj jedynym w swoim rodzaju wydarzeniem w dziejach powojennej emigracji. Bo do Nowej Zelandii nie przyłynęli — jak do Australii czy do Ameryki — ludzie zdeklasowani, rozgoryczeni i na skraju nerwowego załamania; nie przybyli skłóceni, rozbici na partie i koterie.

Do Pahiatua zawitały dzieci, które — choć przeszły przez traumatyczny okres głodu i nieludzkiej poniewierki w Rosji — dzięki swej młodości i zdolności zdrowienia potrafiły szybko otrząsnąć się z oszołomienia i „wrócić do normy”. Lecz nie nastąpiło to od razu. Jakże wymownym dokumentem owych czasów są następujące na pozór suche słowa autorki, gdy mówi o chłopcach przybyłych w jednym z transportów z Rosji do Persji: „Chłopcy się przekonywują, że noszenie noży nie jest już potrzebne, że nie ma przed kim bronić dzieci, bo Persowie żadnej krzywdy dotąd nikomu nie wyrządzili. Wreszcie i oni zaczynają przystosowywać się do nowych warunków, a opiekunów obdarzać zaufaniem”. Te dwa zdania są typowym przykładem skromnego stylu jakim napisana jest cała książka — rzeczowo, rozsądnie i lakonicznie. Powieściopisarz mógłby z tych dwóch

* *Osiedlenie Młodzieży Polskiej w Nowej Zelandii w roku 1944*. Str. 85 i 34 fotografie. Z przedmową Mariana Szczepanowskiego. Nakładem Autorki, Londyn, 1972.

zdań zrobić pół książki, lecz autorka zna różnicę między doku-
mentowaniem i beletrystyką.

Obóz w Pahiatua zlikwidowano po czterech latach. Młodzież rozeszła się do szkół nowozelandzkich. Tylko mała grupa odjechała do Polski na wezwanie rodzin w kraju. Pozostało 650. Z nich aż 50 ukończyło studia wyższe, 131 ukończyło szkoły średnie, 7 wybrało stan duchowny, inni zaś zawód nauczycielski; tylko 17% wybrało rzemiosło. W sumie imponujący wynik. Wszyscy „stanęli do życia przygotowani”. Mieli „wyszałcenie, zawód, łatwość otrzymania dobrze płatnej pracy, zrobienia oszczędności i zakupienia dachu nad głową. Byli spokojni o przyszłość”.

W sąsiedniej Australii gdzie żyje blisko trzydzieści razy więcej polskich emigrantów, narzeka się obecnie na poważny rozłam między młodymi i starszymi. Może dlatego, że ci starsi wciąż kurczowo trzymają się swoich stanowisk przywódców; lub dlatego że nie potrafili wychować sobie młodych następców. Powinni byli wziąć przykład z Nowej Zelandii, gdzie — jak do-
wiadujemy się od pani Skwarko — „mniej więcej od roku 1964 już młoda Polonia przejmuję sprawy społeczne w swoje ręce. Starsze społeczeństwo z całą świadomością ustępuje miejsca młodym”.

Najciekawszy jednak jest fakt, że pomimo upływu lat ci byli wychowankowie obozu polskiego nie stracili poczucia łączności. Na dwudziestopięciolecie przyjazdu do Nowej Zelandii urządzili zlot w którym wzięło udział ponad tysiąc osób z których „wiele nie widziało się przez 22 lata”.

Eksperyment w Pahiatua udał się nie tylko dlatego, że emigrantami byli młodzi ludzie, których przeżycia w Rosji zahartowały w polskości i uodporniły przeciwko zbyt szybkiej asymilacji. Dużą zasługę trzeba też przypisać wychowawcom, a więc tej setce osób przybyłych z Persji oraz grupie byłych wojskowych, którzy przybyli z Anglii i zamiast marnować czas na jałowe spory zabrali się do pozytywnej pracy społecznej i osiągnęli dobre wyniki.

Adam NASIELSKI

„Dywersonanci”

Przypadkowo wpadła nam w ręce broszura zatytułowana „Co każdy aktywista partyjny powinien wiedzieć o dywersji ideologicznej?”, wydana w październiku 1971 roku przez „Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Komitet Wojewódzki we Wrocławiu, Wydział Propagandy. Wojewódzki Ośrodek Propagandy Partyjnej: „Materiały dla aktywu Nr 9/25 do użytku wewnątrzpartyjnego”.

Po pracowitym wyjaśnieniu co to jest wojna psychologiczna i dywersja ideologiczna, po przedstawieniu ewolucji strategii politycznej imperializmu, etc. broszura wymienia ważniejsze ośrodki antykomunistyczne. Ma się rozumieć, że CIA jest na pierwszym miejscu:

„Nie jest już tajemnicą, że wśród pism wydawanych za pieniądze CIA znajdują się paryska *Kultura*, *Encounter*, *Forum* w Austrii i *Prenters* we Francji oraz miesięcznik *Hiwart* w Libanie”.

Następuje rozdział najbardziej nas interesujący pt. Emigracyjne ośrodki dywersji ideologicznej. Czytamy w nim:

„Na terenie Francji najpoważniejszym ośrodkiem antykomunistycznym jest grupa ludzi skupiona wokół miesięcznika *Kultura*, wydawanego w Paryżu — stąd określenie 'ośrodek paryski'. Ośrodek ten powstał na terenie Włoch jeszcze podczas II wojny światowej w sztabie 2 korpusu. Jego założycielami byli: J. Czapski, J. Giedroyc, J. Mieroszewski i inni. Od 1947 r. ukazuje się miesięcznik *Kultura* jako forum antysocjalistycznej propagandy. Działalność ośrodka paryskiego w latach 1945-1955 nie odgrywała większej roli, albowiem polityka Zachodu z pozycji siły nie stwarzała dogodnych możliwości dla tego rodzaju publicystyki. Dopiero od 1956 roku, a jeszcze w większym stopniu od 1961 roku, kiedy to USA ogłosiły doktrynę 'zmniejszania' i 'erodowania' komunizmu — rola paryskiej *Kultury* wyraźnie wzrosła.

Redakcja i działacze *Kultury* finansowani są głównie przez kapitał amerykański. Największe dotacje płyną od Fundacji Forda, Fundacji Rockefellera, Stowarzyszenia Obrony Wolności, Komitetu 'Wolna Europa' oraz CIA. Należy podkreślić, że ośrodek paryski nie ogranicza się do wydawania *Kultury*. Jego działalność obejmuje edycję szeregu pozycji z zakresu propagandy antykomunistycznej. Jest to duży kombinat wydający tysiące książek z zakresu dywersji ideologicznej. We Francji oprócz książek ukazuje się 16 dzienników i tygodników, które prowadzą propagandę antypolską. Do najbardziej znanych należą *Narodowiec*, *Głos Pracy*, *Nasze Echo*, *Horyzonty* i *Głos Katolicki*.

Istotny wpływ na intensyfikację propagandy antykomunistycznej miał fakt, że w ostatnich latach ośrodek paryski został zasilony ludźmi, którzy zbiegli lub wymigrowali z Polski. Dobra znajomość nauk społecznych, duże doświadczenie i znajomość sytuacji w kraju stanowią dla nich ważne atuty w prowadzeniu dywersji ideologicznej. Do grupy tej należą: W. Jedłiecki, L. Tyrmand, A. Kowalski, A. Śluccki, St. Wygodzki, H. Grynberg i inni. Nad linią polityczną i ideologiczną miesięcznika *Kultura* czuwa triumwirat w składzie: J. Giedroyc, T. Katelbach, J. Mieroszewski. Zgodnie z amerykańskimi koncepcjami podziału zadań w ramach globalnej strategii antykomunizmu, paryskiej *Kulturze* przypadł w udziale 'zaszczyt' prowadzenia antypolskiej i antysocjalistycznej propagandy skierowanej przeciwko narodowi polskiemu.

Analiza treści tego wydawnictwa pozwala stwierdzić, że ośrodek paryskiej *Kultury* specjalizuje się w oddziaływaniu na inteligencję. Stąd wynika troska o odpowiednie słownictwo, 'estetyczne opakowanie' i sposób naświetlania problemów ideologicznych. Natomiast prasa, a przede wszystkim *Narodowiec*, *Horyzonty* i *Głos Pracy* prowadzą otwarty, niezbyt maskowany atak na system polityczny w Polsce. Jednak cel finalny obu kierunków jest taki sam.

Emigracyjne ośrodki w Londynie i Paryżu odgrywają główną rolę w propagandzie antypolskiej. Oprócz nich w ostatnim okresie zaczynają dochodzić dwa nowe centra dywersji ideologicznej: jeden w Austrii, drugi w krajach

skandynawskich. Obydwa ukształtowały się po 1968 roku i grupują przede wszystkim tzw. nową emigrację, która opuściła nasz kraj w ostatnich 2-3 latach.

Ośrodek wiedeński tworzą ludzie parający się w przeszłości naukami społecznymi i uchodzący kiedyś za czołowych teoretyków marksizmu. Do nich należą: Z. Bauman, J. Kuroń, Bursztyn i inni. Rzecz charakterystyczna, że znaleźli oni szybko wspólny język z emigrantami czechosłowackimi, jak Goldstuecker, Pelikan, Plachy i inni.

Kierownictwo ośrodkiem skandynawskim spoczywa również w rękach znanych 'ideologów' socjalizmu jak: Katz-Suchy, K. Lapter, Wł. Kopalski itd.”.

Ze zrozumiałym zainteresowaniem zapoznaliśmy się z kierownictwem i składem współpracowników *Kultury*. Dowiadujemy się, że Jacek Kuroń kieruje Ośrodkiem wiedeńskim, a naiwnie przypuszczaliśmy że w czasie pisania tej broszury siedział w Polsce w więzieniu. Wbrew jednak chyba intencjom PZPR broszura składa pośredni hołd działalności CIA. Okazuje się bowiem że ta instytucja potrafiła finansowanego przez siebie redaktora *Horyzontów* ulokować w redakcji warszawskiego *Hejnatu Mariackiego*. I to bynajmniej nie pod zakamulowanym nazwiskiem. Jest to niewątpliwie największy wyczyn w historii wojny wywiadów.

Broszura wreszcie z uznaniem wymienia twórców dywersji:

„Można dokonać próby wyodrębnienia trzech głównych koncepcji sojuszu z rewizjonizmem. Pierwsza koncepcja została zaprezentowana przez Juliusza Mieroszewskiego z paryskiej *Kultury*. Wychodzi on z założenia, że w aktualnej sytuacji bezpośredni atak na ustrój socjalistyczny jest niemożliwy. Stąd też proponuje, aby po pierwszym etapie, który ma być etapem 'przemian demokratycznych', pozostawić kierownictwo komunistom. Dopiero po dokonaniu określonych zmian na widownię powinni wkroczyć 'demokraci' i wysunąć program własny, 'program rzeczywistej i pełnej demokracji', która pozwoli na dokonanie zmian modelu ustrojowego socjalizmu.

Powołując się na wypadki marcowe w Polsce i próby kontrrewolucji w Czechosłowacji, Mieroszewski stoi na stanowisku ewolucjonizmu, erozji komunizmu i dochodzi do przekonania, iż proces ten może się odbywać w następujących etapach:

- obalenie 'stalinizmu' ('neostalinizmu'),
- podjęcie reform gospodarczych i społecznych,
- demokratyzacja ustroju — burżuazyjny model przy zachowaniu uspołecznionej gospodarki narodowej”.

Broszura kończy się wyczerpującą bibliografią ważniejszych dzieł W. Filera, J. Kolczyńskiego, T. Walichnowskiego i pomniejszych „pisarzy”.

Nadesłane nowości wydawnicze

SURYNOWA - WYCZÓŁKOWSKA (Janina). *Ze wspomnień straganiarki*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1972; cena £ 1.25).

DUSZA (Edward). *Wiersze wybrane*. Str. 75 i 5 nlb. + 5 fotografii kolorowych. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

LIBERT (Antoni). *Pieśń Solwjeji*

(Grieg). *Wiersze dedykowane Kazimierzowi Hłakowiczówniej w 80 rocznicę urodzin*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

Krzak gorejący. Antologia polskiej poezji religijnej. Opracował Ks. dr Zdzisław Peszkowski. Str. 144 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1973).

Symposium 50-ciu. Materiały z konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie w Barry's Bay 19-22 maja 1972 r. Przygotował do druku i wstępem opatrzył Benedykt Heydenkorn. Str. 195 i 1 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie, Toronto-Ottawa, 1972).

Sprawozdanie prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej na dziewiątą krajową Konwencję w Detroit, Michigan w dniach 6, 7 i 8 października 1972 r. Str. 97 i 21 nlb. (fotografie). (Wyd. Polish American Congress, Inc., Chicago, Ill. 1972).

Chcieć to móc. Komunikat Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, zawierający listę fundatorów P.O.S.K. do dnia 31. 12. 1972 r. Str. 24. (Wyd. P.O.S.K., Londyn, 1973).

Migrant Echo, volume 1, October-December 1972, Number 4. Kwartalnik w języku polskim i angielskim. (Varityper) Numer zawiera artykuły Czesława Grycza, Kerry J. Kollera, Witolda Broniewskiego, Ks. Wojciecha Sojki i Jana Kowalika. Str. 141-186. (Wyd. Migrant Echo, San Francisco, Cal.).

MOND (Georges H.). *Le régime de l'information dans les pays socialistes*. (Powielacz). Str. 92 + 38 i 3 nlb. (Wyd. Université Paris 2, Institut Français de Presse et des Sciences de l'Information, cours pour l'année universitaire 1973/1974).

STANKIEWICZ, Prof. (W. J.). *Relativism — Thoughts and Aphorisms*. Str. nie numerowane. (Wyd. Gris Press, West Chesterfield, N.H., 1972).

PODGÓRECKI (Adam). *The Tales of Si-Tien*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).

LAQUEUR (Walter). *Neo-Isolationism and the World of The Seventies*. Nr 5 serii The Washington Papers. Str. 50. (Wyd. The Center for Strategic and International Studies, Georgetown University, Washington, D.C. — The Library Press, New York, 1972).

The Journal of Byelorussian Studies. Vol. II, No. 4 — Year VIII. Str. 339-432. (Wyd. The Anglo-Byelorussian Society, Londyn, 1972).

The Israel Year Book 1973. Str. 339. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., 1973).

GÖMÖRI (George). *Literature, 1860 to the Present Day*. Str. 805-815. (Nadbitka z *The Year's Work in Modern Language Studies*, Volume 33 (1971), wyd. The Modern Humanities Research Association, Cambridge, 1972).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Patterns of Soviet Exploitation in Eastern Europe in the 1970s*. Str. 11. (Odbitka z *Federalist* No. 1/2, July/December, 1972).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Estimates of Changes in Real Wages in Poland During the 1960s*. Str. 651-656. (Nadbitka z *Slavic Review*, American Quarterly of Soviet and East European Studies, Volume 31, Number 3, September 1972).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Rocznik Statystyczny 1971 (Statistical Yearbook 1971)*. Opracowanie na stronach 476-477 w *Journal of Economic Literature*, June 1972.

THOMPSON (Ewa M.). Nota na str. 58-59 w *Yearbook of Comparative and General Literature*, vol. XXI (1972). Wydawca Zbigniew Folejewski.

THOMPSON (Ewa M.). *Henryk Sienkiewicz and Alexey K. Tolstoy: A Creative Borrowing*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVII, No. 3, Summer, 1972, New York, N.Y.).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-2-73

Związek Kompozytorów Polskich przyznał honorową odznakę za szczególne zasługi w propagowaniu polskiej muzyki współczesnej: Andrzejowi Cwojdzickiemu, dyrektorowi Filharmonii w Koszalinie, Stanisławowi Michalikowi — dyrektorowi Filharmonii w Rzeszowie, Bogusławowi Płazie — wice-ministrowi Kultury i Sztuki, oraz Karolowi Stryjowi — dyrektorowi Filharmonii Śląskiej.

6-2-73

W numerze 1 1-ym *Sowieckiej Kultury* ukazał się artykuł Zdzisława Romanowskiego, „polskiego publicysty”, pt. „Wiatraki o specjalnym przeznaczeniu”. Jest to gwałtowny atak na wszystkie zachodnie radiostacje. Według Romanowskiego reprezentują one moralny kryzys społeczeństwa burżuazyjnego i służą, wczystkie bez wyjątku, ideologicznej dywersji wobec bloku sowieckiego.

7-2-73

PRL i ZSSR podpisały protokół, który przewiduje wzrost wymiany między tymi krajami o 1/5 w porównaniu z rokiem 1972. Wśród artykułów, które ma otrzymać PRL są dywany, zegarki, aparaty fotograficzne, rowery, herbata, koniak i szampan.

8-2-73

Prof. Jan Szczepański przedłożył Edwardowi Gierkowi „raport o stanie oświaty w PRL”. Prace nad raportem trwały dwa lata. E. Gierek zapowiedział, że raport będzie przedmiotem obrad Biura Politycznego oraz zostanie poddany dyskusji wśród nauczycieli, wychowawców, działaczy politycznych i oświatowych.

9-2-73

Polski telewizyjny serial „Stawka większa niż życie” cieszy się ogromnym powodzeniem zarówno w Związku Sowieckim, jak i we Wschodnich Niemczech gdzie Stanisław Mikulski, grający główną rolę kapitana Kłosa, został uznany za najpopularniejszego aktora telewizyjnego. Polska Telewizja przygotowuje jeszcze kilka serii z kapitanem Kłosem. ■ Współpraca między radiem i telewizją PRL i NRD ma ulec znacznemu zacieśnieniu. W pierwszym rzędzie ma rozwinąć się współpraca w dziedzinie teatru i programów rozrywkowych, wymiany filmów, powstawaniu wspólnych programów. Przewidziana jest również wymiana redaktorów.

12-2-73

W Warszawie odbył się X Kongres Stronnictwa Demokratycznego. Przewodniczącym CK Stronnictwa został Andrzej Benesz.

13-2-73

Oddział Warszawski Związku Literatów Polski i Muzeum Literatury zorganizowały „wieczór pamięci” Karola Irzykowskiego, którego stuletnia rocznica urodzin minęła w styczniu br.

15-2-73

Główny Urząd Statystyczny podał ostateczne wyniki spisu powszechnego z 1970 roku. W dniu spisu Polska liczyła 32 miliony 642 tys. osób tj.

o 9,6 % więcej niż przed 10-ciu laty. Stwierdzono również, że w związku z odpływem młodzieży ze wsi ludność wiejska silnie się starzeje: prawie 1/3 tej ludności ma powyżej 60 lat. ■ PRL zawarła kontrakt z Węgrami na dostawę w bież. roku różnych obiektów hodowlanych o łącznej wartości 8,5 miliona rubli. Polska ma otrzymać 5 przemysłowych ferm dla bydła, dwie przemysłowe fermy tuczu trzody chlewnej o wydajności 15 tys. sztuk tuczników rocznie oraz jedną fermę tuczu chlewnej o wydajności 30 tys. sztuk rocznie. ■ W Warszawie został otwarty gmach Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Koszykowej. Całość ma 9 tys. m³ kubatury. ■ PRL zakupiła w Związku Sowieckim maszyny dla polskiego rolnictwa M.in. 300 gąsienicowych traktorów, DT-75, siloso-kombajny KS-18 do zbioru kukurydzy, maszyny do zbioru słomy lub siana. ■ Warszawa jest największym ośrodkiem naukowym Polski — pracuje w niej 15 tys. samodzielnych pracowników naukowo-badawczych. Ze względu na złe warunki pracy większości placówek naukowych postanowiono wybudować wielki ośrodek naukowy. Położony on będzie na 600 ha terenie tzw. „Łuku Siekierkowskiego”. Tylko 23 % młodych pracowników naukowych w Warszawie posiada samodzielne mieszkania. ■ Polski przemysł okrętowy ma w bież. roku zbudować 88 statków. ■ Według informacji otrzymanych z Polski, po grudniu 1970 roku Związek Sowiecki udzielił Polsce pomocy w łącznej wysokości 800 milionów dolarów, a to w następującej formie: 200 milionów dolarów gotówką, 200 milionów dolarów w postaci zwolnienia od darmowych dostaw dla Wietnamu, Kuby i Egiptu, 200 milionów dolarów w formie przejęcia długów PRL i to zarówno wobec krajów strefy rublowej, jak i strefy dolarowej oraz 200 milionów dolarów w postaci kredytów zbożowych. ■ Książka gen. Moczara „Barwy walki”, napisana jak wiadomo przez W. Żukrowskiego, została wycofana ze sprzedaży i usunięta z bibliotek. ■ Milicja w PRL otrzymała specjalną „Czarną księgę”, zawierającą nazwiska ludzi którym nie udziela się paszportów zagranicznych. Odmowa otrzymania paszportu dotyczy jednego z czterech rodzajów przestępstw: 1) politycznie podejrzany, 2) mający zadłużenia podatkowe, 3) dochodzenie prokuratorskie w toku (te trzy grupy mają zakaz stały, chyba że ich nazwiska zostaną wykreślone), 4) czasowe zawieszenie — w stosunku do przestępców dewizowych i przemytników. Ponadto nie otrzymują paszportów również ci, którzy wykazują się zaproszeniami osób mieszkających na Zachodzie, a podejrzanych politycznie. ■ W Omsku, na Syberii, najlicniejszą grupą ludności zabiegającej o wyjazd za granicę są miejscowi Polacy, starający się o pozwolenie odwiedzenia swych krewnych w Polsce. ■ Po raz pierwszy akademik Sacharow został w Moskwie zaatakowany publicznie. Sygnał dała *Litieraturnaja Gazieta* piórem swego redaktora Aleksandra Czakowskiego. W artykule Czakowskiego Sacharow występuje jako „nieszkodliwy polityczny jurodiwyj”.

16-2-73

W związku z dewaluacją dolara PKO ustaliło nowe ceny na samochody. Fiat 125 p — 1.300 — kosztuje obecnie 1.745 dolarów. Cenę Fiata 125 p — 1.500 ustalono na 1.810 dolarów. ■ Radio Warszawa podaje, że w ciągu 11-tu lat Polska wyeksportowała za granicę 10 milionów ton siarki. Pod względem eksportu siarki Polska zajmuje w świecie miejsce po Kanadzie. 70 % produkcji polskiej jest przeznaczona na eksport, a 30 % na potrzeby krajowe.

17-2-73

W plebiscycie czytelników *Kuriera Polskiego* (Warszawa) Melchior Wańkiewicz uzyskał pierwsze miejsca za swą książkę pt. „Cztery klimaty”. ■ W związku ze zbliżającą się 30-tą rocznicą powstania PRL Wydawnictwo MON ogłasza konkurs na powieść lub tom opowiadań o tematyce współczesnej.

■ W Warszawie zakończył się XVII Walny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich. Był on poświęcony problemowi popularyzowania muzyki. W ciągu ostatnich dwóch lat wykonano na zagranicznych estradach 200 dzieł polskich kompozytorów. Prezesem Związku został muzykolog, dr Jan Staniszewski.

22-2-73

Papież Paweł VI mianował ks. prof. Czesława Lewandowskiego biskupem sufraganiem diecezji wrocławskiej.

24-2-73

W 25-tą rocznicę przewrotu komunistycznego w Czechosłowacji zorganizowano w Pradze wielkie uroczystości z udziałem Breżniewa, który udekorował Husaka orderem Lenina. W tym samym czasie grób Jana Palacha był zasypany kwiatami.

25-2-73

W kwietniu br. zostanie otwarta linia lotnicza Warszawa-Damaszek (via Stambuł). ■ Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie 45,3 % dochodów statystycznego Polaka jest przeznaczonych na zakup żywności. ■ Główny Urząd Statystyczny przeprowadził ankietę wśród 16 tysięcy kobiet w wieku do lat 49 z miast i wsi z zapytaniem czy chcą mieć więcej dzieci. 74 % ankietowanych odpowiedziało, że nie. ■ Teatr Polskiego Radia w Warszawie rozpoczął emisję 5-odcinkowego serialu „Sprawa brzeska”. Autorem scenariusza jest Mieczysław Szerer.

28-2-73

W pobliżu Szczecina zginął w wypadku samolotowym minister Spraw Wewnętrznych PRL, Wiesław Ociepka i minister Spraw Wewnętrznych Czechosłowacji, Radko Kaska. Był to samolot wojskowy, Antonow-24. Powody wypadku nie są znane. W wypadku zginęło również sześciu pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL.

1-3-73

Związek Sowiecki zgłosił przystąpienie do światowej konwencji dotyczącej praw autorskich, podpisanej w Genewie w 1952 roku. ZSSR jest 64-yim państwem biorącym udział w tej konwencji, która ma wejść w życie 27. 5. 1973. ■ W ZSSR rozpoczęła się wymiana legitymacji partyjnych. Jest to szósta z kolei wymiana w czasie istnienia Związku Sowieckiego. Pość członków KPZS wynosi 14.435 na 243 miliony mieszkańców. Wymiana legitymacji będzie połączona z „czysztką” partyjną. Legitymacje partyjną z numerem pierwszym wypisano na nazwisko Włodzimierza Iljicza Lenina. Zaś legitymacja numer dwa została wręczona Breżniewowi. Kult jednostki w pełnym rozwoju. ■ Z Warszawy piszą nam, że mijałowcy nie mogą być uważani za grupę o jakichkolwiek realnych wpływach. Głucho o nich z pewnością w środowisku inteligentnym. Nie wykluczone, że pewną cichą sympatią cieszą się oni wśród biurokratów partyjnych sprzed roku 1956, natomiast ich język i mentalność są z gruntu obce nowym pokoleniom robotników. Młodzież „marcowa”, jeżeli w ogóle jeszcze o nich pamięta, relegowała ich do muzeum „problemów martwych”. Trudno zresztą ustalić jak dziś wygląda kolportaż *Czerwonego Sztandaru*. ■ W krajowych kołach opozycyjnych hałas dookoła „absencji robotniczej” tłumaczy się dwoma względami: po pierwsze chodzi o wyciśnięcie z robotników maksimum wysiłku, po drugie o przygotowanie alibi na wypadek niepowodzeń gospodarczych („winni są sami robotnicy”). Wyłuskane z gierek i kruczków zjawisko „absencji robotniczej” ma bardzo określone źródła. Po zrównaniu robotników z pracownikami umysłowymi w dziedzinie wynagrodzenia za dni choroby, ci co poprzednio

przechodzili chorzy do pracy w obawie strat materialnych, obecnie zaczęli po prostu korzystać ze swoich praw. „Technokraci” są oburzeni, że robotnicy potraktowali nowe przepisy na serio, a nie jako symboliczny i pozbawiony pokrycia akt papierkowej „troski” o robotników. Atakuje się nie tylko absencję samowolną, lecz także i legalną. Tymczasem zaś tylko lekarze mogliby coś niecoś powiedzieć o rzeczywistym stanie zdrowotnym polskiej klasy robotniczej. ■ W PRL weszło w życie zarządzenie w sprawie wpisywania grupy krwi w dokumentach osobistych.

3-3-73

W gdańskiej stoczni remontowej powstaje największy w Polsce dok pływający o nośności 25 tys. ton, który potrafi wynieść na powierzchnię statek o tonażu 60 tys. DVT. Dok ma być gotowy do użytku w końcu bież. roku.

4-3-73

W roku bieżącym ma się rozpocząć budowa gmachu Biblioteki Narodowej w Warszawie. W poprzednich dwóch pięciolatkach skreślano tę budowę z planów inwestycyjnych. ■ Doroczne nagrody polskiego Pen-Clubu za wybitne osiągnięcia w dziedzinie przekładów przyznano w 1973 roku Romanowi Brandstaetterowi, Annie Trzeciakowskiej i Jerzemu Lisowskiemu. ■ W stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni rozpoczęto budowę pierwszego polskiego 105-tysięcznika. ■ W roku szkolnym 1973/74 zajęcia będą podzielone na dwa okresy lub semestry: uczeń bez promocji będzie powtarzał tylko pół roku, uczniowie klas I-IV będą otrzymywali promocje bez względu na oceny, w klasach V-VII promocja będzie możliwa nawet przy jednej ocenie niedostatecznej. Mniej lekcji będzie się zadawało do domu, będą zniesione egzaminy wstępne do szkół średnich, chyba że liczba kandydatów przekroczy liczbę miejsc.

5-3-73

W Leningradzie zmarła, w wieku 68 lat, znana pisarka sowiecka Wiera Panowa. ■ Doktor nauk technicznych, Zygfryd Nowak, i inż. Janusz Strzemiński zostali mianowani podsekretarzami stanu w ministerstwie Górnictwa i Energetyki PRL. P. Nowak był dotąd dyrektorem Centralnego Ośrodka Badawczo-Projektowego Wzbogacenia i Wykorzystania Kopaliny w Katowicach, a Strzemiński dyrektorem kopalni węgla w Dąbrowie Górniczej.

6-3-73

W związku z odejściem na emeryturę dr. Konstantego Turowskiego na Uniw. Katolickim w Lublinie odbyła się uroczystość podczas której został on udekorowany medalem papieskim Pro Ecclesia Pontificio. Dr K. Turowski był w latach 1957-1972 sekretarzem kwartalnika *Zeszyty Naukowe KUL* oraz kierownikiem wydawnictw *Twa Naukowe*.

7-3-73

W Bratysławie podpisano umowę o współpracy na rok 1973 między związkami pisarzy polskich oraz czeskich i słowackich. Jak wiadomo te ostatnie związki były zreorganizowane i znakomita większość pisarzy czeskich i słowackich została z nich usunięta bez prawa pracy i publikacji. Ze strony polskiej umowa została podpisana przez sekretarza ZLP Jana-Marię Gisgesa. Udział p. Gisgesa nikogo nie dziwi, natomiast dziwi brak reakcji ze strony członków ZLP.

9-3-73

Zmarł w Łodzi, w wieku 95 lat, Andrzej Witos, współorganizator Związku Patriotów Polskich w ZSSR, działacz PRL w pierwszych latach po zakończeniu wojny, brat przyrodni Wincentego Witosa.

10-3-73

Czechosłowacja uzyskała z międzynarodowego banku inwestycji RWPG w Moskwie pożyczkę w wysokości 77,5 miliona rubli. Pożyczka ta jest przeznaczona na budowę wielkiej fabryki ciężarówek „Tatra” w Pokrzywnicy. Jest to największa pożyczka udzielona dotąd przez bank RWPG. W czasie swego dwuletniego istnienia bank RWPG udzielił 278,6 milionów rubli pożyczek. Korzystała z nich m.in. i PRL. Największa ilość pożyczek była przeznaczona na rozwój przemysłu motoryzacyjnego.

14-3-73

B. wieloletni premier PRL, Józef Cyrankiewicz, został mianowany przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju. Cyrankiewicz pozbawiony wszelkich funkcji jest nadal członkiem KC PZPR.

15-3-73

Sowiecki Komitet Pokoju wysunął kandydaturę marszałka Tito do Pokojowej Nagrody Nobla. ■ Organ armii jugosłowiańskiej *Front* zaatakował Milovana Đzilasa nazywając go „zdrajcą i wrogiem swego kraju”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-2-73

W Brazylii zmarł, w wieku 90 lat, Czesław Świrski. Brał on udział w znanej akcji pod Bezdunami w 1908 roku. Aresztowany po tej akcji, skazany na karę śmierci przez powieszenie — wyrok został zamieniony na dożywotnie więzienie. Po 9 latach katorgi został zwolniony w czasie rewolucji 1917 roku. Po powrocie do Polski był przez pewien czas adiutantem Marszałka Piłsudskiego, w 1919 roku towarzyszył Paderewskiemu na Konferencji Pokojowej w Paryżu.

16-2-73

Do Rzymu przybył ks. Kardynał B. Kominek. ■ W Brukseli, w hallu pałacu Des Beaux Arts, otwarto wystawę rzeźby młodego polskiego rzeźbiarza, Karola Broniatowskiego.

19-2-73

W związku z 500-leciem urodzin Mikołaja Kopernika odbyły się w Szwecji różne uroczystości. M.in. w Uppsali otwarto wystawę, na której pokazano 39 książek, pochodzących z biblioteki Kopernika we Fromborgu, zdobytych w czasie wojen polsko-szwedzkich. ■ W Norwegii, na uniwersytecie w Oslo, miała miejsce akademie ku czci Kopernika. Głównym mówcą był Jeremi Wasiutyński, obecnie obywatel norweski, autor kontrowersyjnej książki o Koperniku, która ukazała się w Polsce w okresie międzywojennym. J. Wasiutyński zapowiedział ogłoszenie materiałów stwierdzających, że Kopernik był członkiem tajnych stowarzyszeń humanistycznych, którym w Polsce patronował Kallimach, a które zmierzały do ograniczenia władzy papieża i dążyły do zbliżenia z kościołem prawosławnym i z islamem.

20-2-73

Papież ustalił datę IV Synodu na październik 1974. Tematem Synodu będzie „Ewangelizacja współczesnego świata”. Poprzedni Synod miał miejsce we wrześniu 1971 roku.

21-2-73

Rosnące pomieszanie pojęć: w tygodniku *Lud*, wychodzącym w języku polskim w Brazylii, ukazał się artykuł p. Karola Piszczecka poświęcony p. Zdenecze Chorośnickiej, działaczce polonijnej, dzięki której władze brazylijskie przywróciły działalność i zalegalizowały Towarzystwo im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. P. Chorośnicka w 1955 roku była odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi przez prezydenta A. Zaleskiego w Londynie. P. Karol Piszczeck domaga się, by p. Chorośnicka została również odznaczona Krzyżem Zasługi przez PRL. Jeśli wziąć pod uwagę, że od pewnego czasu Towarzystwo im. Marszałka Piłsudskiego w Kurytybie jest bazą działalności konsulatu PRL i że rozbiło ono Komitet Obchodu Stulecia Brazylijskiej Polonii, to świadczy to o zupełnym pomieszaniu pojęć w głowach miejscowych działaczy polonijnych i, niestety, Misji Katolickiej, że do tego rodzaju roboty bierze się patronat zwycięzcy w wojnie polsko-sowieckiej w 1920 roku. ■ Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* w Stockholmie zorganizowało wieczór poświęcony krajom bałtyckim. Przemawiał dr Bruno Kalnins, przewodniczący Instytutu Bałtyckiego, wybitny działacz socjal-demokratyczny.

22-2-73

W Chile zainaugurowano budowę kopalni rudy żelaznej na pustyni Atacama. Kopalnia jest budowana przy współpracy polskiego przedsiębiorstwa „Copex”. ■ Przed świeżo otwartą ambasadą PRL w Kolonii (N.R.D.) odbyła się demonstracja mieszkańców miejscowości Blankenheim, domagających się wypuszczenia z PRL rodziny nauczyciela Zygmunta Depty (patrz *Kultura* nr 3/306). Ambasada odmówiła przyjęcia rezolucji, wskazując na „możliwość przesłania jej pocztą”. Na zapytania dziennikarzy zachodniemieckich rzecznik ambasady odmówił komentarza.

23-2-73

W Johannesburgu (Afryka Południowa) zmarł, w wieku lat 71, Roman Królikowski, podpułkownik WP, b. urzędnik MSZ, prezes Zjednoczenia Osadników Polskich w Afryce Płdn., przyjaciel *Kultury*, który ponad 20 lat był honorowym przedstawicielem naszego pisma w Afryce.

24-2-73

W Londynie odbyło się zebranie Rady Federacji Ruchów Demokratycznych, poświęcone sprawie wymiany ludzi, informacji i idei między światem zachodnim, a blokiem sowieckim w związku z pracami przygotowawczymi do Konferencji Bezpieczeństwa. Główny referat został wygłoszony przez p. S. Wąsika. W zebraniu wzięli udział przedstawiciele nowego ośrodka politycznego w Londynie — Polskie Zjednoczenie Narodowe. ■ W Galerii Angle Aigue w Brukseli została otwarta wystawa obrazów Stefani Unwin.

26-2-73

Dr Maria Danilewiczowa wygłosiła po angielsku prelekcję o literaturze PRL w ramach Graduate Seminar w The London School of Economics w cyklu wykładów o sytuacji politycznej Europy Wschodniej, zorganizowanych przez Lucjana Blita. ■ Według danych Międzynarodowego Komitetu Obrony Praw Człowieka, w Związku Sowieckim w obozach pracy przymusowej znajduje się milion więźniów. Liczba ta nie obejmuje osób przebywających w więzieniach, szpitalach psychiatrycznych i na przymusowym osiedleniu.

28-2-73

W Lally-en-Val (Francja) zmarł, w wieku lat 89, admirał Józef Unrug — ostatni dowódca floty R.P., który w czasie kampanii wrześniowej był do-

wódcą obrony Wybrzeża. ■ W Londynie odbył się walny zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Prezesem zarządu został po raz trzeci Stefan Kolańczyk.

1-3-73

Rząd Nowej Zelandii postanowił nawiązać stosunki dyplomatyczne z PRL na szczeblu ambasadorów.

2-3-73

W Londynie odbył się wieczór poetycki Józefa Łobodowskiego. ■ Zmarła w Paryżu wybitna polska rzeźbiarka Alina Szapocznikow, urodzona w 1926 roku w Kaliszu. Od szeregu lat przebywała stale w Paryżu.

5-3-73

30 nowych, ostatnio wyznaczonych kardynałów zostało „uznanych” w czasie konsystorza w Rzymie. Ten czwarty z kolei — w okresie pontyfikatu Pawła VI — konsystorz podniósł liczbę członków Św. Kolegium do 140-tu osób. Do tej liczby należy dodać Mgr. Stepana Trochtę — biskupa Litomierzyc (Czechosłowacja) i biskupa rumuńskiego z Cluj, Jiliu Hossu, którzy — jak oświadczył papież — zostali mianowani kardynałami *in petto* w czasie konsystorza w kwietniu 1969 roku (J. Hossu zmarł w maju 1970 roku). Ponadto papież ustalił liczbę kardynałów-elektorów na 120-tu. Konklawe, mające na celu wybór papieża, ma ulec dalszym zmianom. W roku 1970 papież zdecydował, że kardynałowie mający powyżej 80 lat, nie mogą być elektorami. Obecnie udział w konklawe weźmie również 6-ciu patriarchów obrządków wschodnich oraz 15-tu biskupów, członków Rady Sekretariatu gen. synodu biskupów.

8-3-73

W ambasadzie PRL w Waszyngtonie odbyła się uroczystość dekorowania znanego przemysłowca, inż. Tadeusza Sendzimira, orderem Odrodzenia Polski, który został mu przyznany przez Radę Państwa za „gorący patriotyzm”.

11-3-73

W Sittard (Limburgia Holenderska) odbył się Walny Zjazd P.S.L. w Holandii z udziałem Franciszka Wilka, prezesa P.S.L., z Londynu. Prezesem P.S.L. w Holandii został wybrany Leon Porebski z Kerkrade.

13-3-73

W Londynie w Drian Gallery odbyła się wystawa obrazów i rysunków Halimy Nałęcz. ■ Do ambasady australijskiej w Sajgonie zgłosił się Węgier, członek międzynarodowej Komisji Kontroli i poprosił o azyl który został mu udzielony. Władze australijskie nie podały jego nazwiska. Inny zaś członek Komisji Indonezyjczyk, popełnił samobójstwo.

14-3-73

Związek Dziennikarzy R.P. w Londynie urządził odczyt W. A. Zbyszewskiego pt. „Wybory Francuskie”.

15-3-73

W Londynie ogłoszono raport Brytyjskiego Biura Studiów o „Strategii ZSSR w okresie pokojowym”. Ekspertami biura byli m.in. prof. Leonard Szapiro z London School of Economics i Hugh Seton Watson z Uniwersytetu Londyńskiego. Raport podaje, że 72 % dyplomatów sowieckich w stolicach europejskich zajmuje się szpiegostwem. Jeśli idzie o personel misji gospodar-

czych, Aeroflotu i delegacji w instytucjach międzynarodowych, to personel szpiegowski obliczany jest na 45 %.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Kolegium Związkowe w Cambridge Springs (USA) zapowiedziało zwołanie na 15 czerwca br. sympozjum poświęconego sprawom nauki języka polskiego w Stanach Zjednoczonych. ■ W Detroit powstał polsko-amerykański teatr folklorystyczny. ■ 15 stycznia br. *Dziennik Związkowy* w Chicago obchodził 65-tą rocznicę swego istnienia. ■ W dniach od 8 stycznia do 1 lutego br. w Los Angeles (USA) miała miejsce retrospektywna wystawa Witolda K. (Kaczanowskiego) w Otis Art Institute of Los Angeles County. ■ 19 stycznia br. odbyło się w Nowym Jorku doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. Prezesem został wybrany ponownie dr Jan Morelowski. ■ W sądzie federalnym w Chicago zakończyła się sprawa upadłości Polskiej Spółki Wydawniczej (*Dziennik Chicagowski*). W postępowaniu upadłościowym uzyskano 22.101 dolarów, koszta wyniosły 8.115 dolarów, do rozdziału wśród wierzycieli pozostało 13.986 dolarów. Suma ta zostanie rozdzielona między pracowników *Dziennika Chicagowskiego*. Władze podatkowe federalne i stanowe (zaległe podatki wynoszą 331 tys. dolarów) i wierzyciele reprezentujący sumę 86.492 dolarów, nie dostaną nic. ■ Dr Mieczysław Giergielewicz został wykładowcą literatury polskiej w kolegium związkowym Cambridge Springs. ■ W Chicago mówi się o tym, że Związek Narodowy Polski chce zlikwidować Kolegium Związkowe i poszukuje kupca. Zdaniem różnych działaczy sprzedaż Kolegium może przynieść parę milionów dolarów, za co będzie można zorganizować szeroką akcję kulturalną. Nie bierze się pod uwagę, że majątek Kolegium jest obciążony długami hipotecznymi, nie mówiąc już o konieczności uregulowania należności i roszeń pracowników Kolegium. Po ich spłaceniu zostanie prawdopodobnie bardzo niewiele i nawet ta mała suma przy puszczeniu zostanie zmarnowana. Przykrym kontrastem jest niebawmy sukces zbiórki Ukraińców w USA na katedrę ukrainistyki w Harvardzie, która przekroczyła już 2 miliony dolarów. ■ P. Edmund Lipecki (Atlanta, Georgia, USA) jest inicjatorem stowarzyszenia „General Pulaski National Heritage Inc” którego zadaniem będzie by, w związku ze zbliżającą się rocznicą powstania Stanów Zjednoczonych, postawić gen. Pułaskiemu pomnik pod Savannah. ■ Prezes Związku Narodowego Polskiego, A. Mazewski, podał do wiadomości, że grób Agatona Gillera, duchowego ojca ZNP, który znajduje się w Stanisławowie, został odnowiony przez władze sowieckie na skutek interwencji prezesa Mazewskiego za pośrednictwem Departamentu Stanu USA. ■ 12 listopada 1972 roku zmarł w Nowym Jorku, w wieku 90 lat, Leopold Wellisz. Był on znanym działaczem przemysłowym, kolekcjonerem, autorem szeregu prac humanistycznych i założycielem Towarzystwa Bibliofilów Polskich, utworzonego w roku 1921. ■ Wśród licznych imprez w Stanach Zjednoczonych z okazji 500-lecia urodzin Kopernika należy odnotować bardzo udaną imprezę zorganizowaną przez Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Inżynierów pod kierownictwem p. W. Winklera w San Francisco. ■ Ks. Artur H. Krawczak proboszcz parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Warren (USA) został mianowany 20 lutego br. biskupem-auksyliariuszem archidiecezji detroickiej. ■ Tygodnik *Polonia* (Niezależny Organ Amerykanów polskiego pochodzenia w Chicago) w nrze 7-ym z 11 lutego br. zamieścił odpowiedź attaché finansowego ambasady PRL w Waszyngtonie na list p. J. Cichomskiego z Chicago w sprawie przedwojennych bondów polskich w złotychkach. Odpowiedź ta brzmi: „Na list Pana z 19 12. 72 wyjaśniamy, że wypłata odsetek i upływanie wszelkich

polских pożyczek złotych zostały zawieszona w 1939 roku. Zgodnie z polskimi przepisami wszelkiego rodzaju obligacje złote w okresie przed 2-gą wojną światową winny były być zgłoszone w roku 1949. Jeżeli obligacje nie zostały zarejestrowane czy wymienione na nowe w tym czasie, straciły swój statut prawny. W związku z powyższym możemy stwierdzić, że wspomniane obligacje także praktycznie straciły swoją wartość na skutek reformy monetarnej, przeprowadzonej po 2-jej wojnie światowej. Dodajemy, że w roku 1950, po drugiej reformie walutowej złote były wymieniane na nowe złote w relacji 100 zł. równa się 1 nowy złoty. ■ Stany Zjednoczone, Japonia oraz kraje europejskiego Wspólnego Rynku powołały trój-komisję na czele której stają Tekeshi Watanabe, b. prezes Asian Development Bank w Manili, Gerard C. Smith, b. przewodniczący komisji która przeprowadzała porozumienie w sprawie broni strategicznych z ZSSR oraz Holender, Max Konstamm, wybitny ekonomista. Dyrektorem trój-komisji został Zbigniew Brzeziński, który kieruje Instytutem do Spraw komunistycznych przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Celem trój-komisji jest rozwiązywanie problemów powiązanych z nowoczesnym przemysłem, i wspólnym bezpieczeństwem. ■ W Nowym Jorku 13 marca br. zmarł nagle na uremię, w wieku lat 69, Jan Librach. Był on do końca wojny I-szym sekretarzem Ambasady Polskiej w Paryżu; do roku 1944 kierownikiem „Akcji Kontynentalnej” w Londynie; do 1950 roku kierownikiem Wydziału Anglo-Amerykańskiego w MSZ w Londynie. Od 1950-1951 pełnił obowiązki ministra Spraw Zagranicznych. Ostatnio był dyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, z siedzibą w Nowym Jorku. ■ Prezydent Nixon ogłosił dzień 23 kwietnia br. dniem, w którym w Stanach Zjednoczonych mają się rozpocząć obchody „Tygodnia ku czci Mikołaja Kopernika”. ■ Przewodniczący Komitetu dla Spraw Poczty w Kongresie USA, kongresman Dulski, otrzymał oficjalne zawiadomienie, że emisja znaczka USA wydanego ku czci Kopernika ukaże się 23 kwietnia br. ■ Polski Związek Filatelistyczny „Polonus” zorganizował w Chicago wystawę znaczków kopernikowskich. ■ *Dziennik Polski* z Detroit informuje, że w kilku kolegiach amerykańskich (w stanach New York i New Jersey), w których w 1972 roku zorganizowano lekcje języka polskiego — lekcje te zostaną skasowane z powodu braku uczniów. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, A. Mazewski, został zaproszony przez Departament Stanu USA do wzięcia udziału w tygodniowych naradach w Brukseli na temat paktu Atlantyckiego i Wspólnego Rynku. ■ W samolocie libijskim strąconym przez lotnictwo izraelskie nad pustynią Synaj, zginął Polak — Władysław Borysoglebski, zamieszkały w Chicago. ■ Wśród jeńców amerykańskich ostatnio zwolnionych w Wietnamie jest sześciu Amerykanów polskiego pochodzenia.

KRONIKA KANADYJSKA

28 lutego br. dr Kazimierz Dąbrowski wygłosił na uniwersytecie w Quebec'u odczyt pt. „Introduction à la théorie de la désintégration positive”. Dr Dąbrowski jest obecnie profesorem uniwersytetu Laval i dyrektorem badań klinicznych na uniwersytecie Alberta. ■ 1 marca br. prof. Henryk Skolimowski z uniwersytetu w Michigan wygłosił na uniwersytecie w Ottawie odczyt pt. „The Moral Ambiguities of Modern Science”. ■ Teatr młodzieżowy w Toronto „Arabeska” wystawia sztukę T. Różewicza „Kartoteka”. Premiera odbyła się 15 marca br. ■ 3 marca br. odbyło się w Toronto doroczne Walne Zebranie Kuratorów Funduszu Wieczystego. Według sprawozdania kapitał Funduszu na dzień 31 października 1972 roku wynosił Dol. can. 361.861,90. W porównaniu z rokiem ub. wzrost kapitału wyniósł Dol. can. 83.710,96. Na cele kulturalno-oświatowe i indywidualne stypendia

wydano Dol. can. 20.525,00. Prezesem został Stefan Malicki. ■ 10 marca br. odbyła się w Toronto kanadyjska premiera filmu „Krag pierwszy” według głośnej powieści Sołżenicyna. Reżyserem filmu jest Aleksander Ford, producentem Paramount Pictures, muzykę opracował Roman Palester. W filmie, nakręconym w Danii, występuje polska aktorka Elżbieta Czyżewska. ■ Na skutek zabiegów organizacji polonijnych w Kanadzie i USA Katolicki Uniwersytet w Lublinie organizuje w br. letnie kursy języka i literatury polskiej dla studentów z Kanady i USA. Kurs będzie trwał od 17 lipca do 26 sierpnia br. Opłata wynosi Dol. can. 460,00 (utrzymanie, mieszkanie, nauka i wycieczki). Warunkiem trwałości kursów na KUL'u jest minimum 25 uczestników w br. Dotąd podobne kursy odbywały się jedynie na Nniw. Jagiellońskim w Krakowie i Uniw. A. Mickiewicza w Poznaniu.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Narodowy Komitet Organizacyjny w Australii zorganizował szereg uroczystości związanych z 500-tą rocznicą urodzin Kopernika. 17 lutego br. odbyła się w Melbourne uroczysta msza, odprawiona przez bpa Rubina oraz sympozium z udziałem prof. J. Zubrzyckiego, A. Przybylskiego i J. Szczepańskiego. Ponadto w dniach od 17 do 23 lutego br. miały miejsce następujące imprezy: wystawa prezentująca dzieła sztuki polskiej w zbiorach prywatnych w Australii; wystawa prac polskich artystów stale mieszkających w Australii; międzynarodowa wystawa filatelistyczna pod nazwą „Polfil 1973” oraz pokaz numizmatyczny „500 lat monety polskiej”. Komitet otrzymał pomoc finansową ze strony rządu federalnego Australii na wydanie książki pamiątkowej. Cena książki wynosi Dol. A. 6,75 (wraz z przesyłką). Zamówienia należy kierować na adres: National Organizing Committee in Australia, Box 169-B, G.P.O., Melbourne 3001, Vic. Przyjmowane są również zamówienia na pamiątkowe medaliony kopernikowskie w cenie łącznie z przesyłką: srebrny (posrebrzany) — Dol. A. 8,75, brązowy — Dol. A. 5,75.

Listy do Redakcji

Fawley Court, 19 lutego 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Od wielu lat pracuję nad wyczerpującym Żywotem św. Stanisława, Biskupa i Męczennika, badając źródła pisane, ikonograficzne i ustną tradycję oraz legendy.

W związku z tym pragnę prosić Czytelników redagowanego przez Pana Pisma o informacje dotyczące:

1. Tradycji wśród Uzbeków o Hejnale Mariackim (chodzi o siłę trwałości tradycji): treść oraz kto i gdzie na ten temat pisał.
2. Tradycji w rodach, których przodkowie mieli brać udział w śmierci św. Stanisława na Skałce i u potomków bratanków wskrzeszonego Piotra z Piotrawina (herbu Junosza, Nałęcz, lub Strzemię); włączając konsekwencje dziedziczne (na życzenie w wykorzystaniu tego szczegółu zachowam dyskrecję).
3. Tradycji w rodach irlandzkich, mających pochodzić od krewnych św. Stanisława.

Odpowiedź proszę kierować na niżej podany adres.

Pozostaję z wyrazami wdzięczności za przysługę i szacunku,

Ks. Stanisław BEŁCH
Fawley Court,
Henley-on-Thames,
Oxon. RG9 3AE,
Great Britain.

Marburg, 8 marca 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze styczeń-luty 1973 *Kultury* (1/304-2/305) Pan Kazimierz Okulicz pisząc o polsko-niemieckim 6-tym Spotkaniu w Lindenfels — za co jako niemiecki uczestnik i „referent muzyczny” jestem mu bardzo wdzięczny! — na str. 122 sformułował zdanie, które może spowodować nieporozumienie, jeśli nim już nie jest. Otóż zdanie: „Wesołość wywołało oświadczenie dr. Breyera, że Instytut im. Herdera w Marburgu może udzielić uczynom polskim pełnych informacji w zakresie wydawnictw polskich w Kraju i na emigracji”.

Obawiając się, że ta sympatyczna wesołość polega na mylnej interpretacji moich krótkich oświadczeń, chciałyby je sprecyzować. Bez wątpienia uczeni polscy, zwłaszcza na emigracji, o sprawach polskich — w tym wypadku o wydawnictwach, a tylko o nich mowa! — są najlepiej zorientowani

i nie potrzebują Instytutu im. Herdera w Marburgu. Ale czy uczony polski w Niemczech, Austrii, Szwajcarii itd. zawsze ma możliwość dojścia do polskich publikacji naukowych? Czy nie musi długo a czasami niepotrzebnie szukać, pisać, dopytywać się, nim w ogóle się dowie, gdzie pewna książka, określony rocznik czasopisma itd. stoi do dyspozycji naukowej? Dalsze pytanie: gdzie, w jakiej bibliotece w Niemczech? A tu właśnie działa po pierwsze katalog biblioteki Instytutu, który obejmuje przy zasobie 120 tys. pozycji 35 procent wydawnictw polskich! Ponadto katalog biblioteki własnej został w przeciągu 20 lat uzupełniony przez obszerniejszy drugi, tzw. GKO (Gesamtkatalog des Wissenschaftlichen Schrifttums über Ostmitteleuropa — Katalog Ogólny wydawnictw naukowych o Europie Środkowo-Wschodniej). GKO obejmuje obok pozycji niemieckich, czeskich, rosyjskich, bałtyckich wszystkie polskie bibliograficzne pozycje w bibliotekach Rep. Fed. Niemiec. Biblioteka Instytutu im. Herdera współpracuje z najwybitniejszymi bibliotekami w NRF a współpraca bibliograficzna z bibliotekami polskimi w Paryżu czy Londynie nasuwa się mimochodem... A więc każdy naukowiec, poszukujący polskich publikacji albo książek o Polsce, może się dowiedzieć w Instytucie, gdzie i pod jaką poprawną sygnaturą dotrze do potrzebnych mu wydawnictw.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Dr Richard BREYER

Rochester, 3 marca 1973 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Ostatnio redakcja *Wiadomości* znalazła sobie osobliwy sport, który polega na wmawianiu ludziom, że ja systematycznie denigruję twórczość Zbigniewa Herberta. Metody stosowane są różne, ale niestety dobrze znane. Na jednym krańcu metoda gangsterska Józefa Łobodowskiego („...nie trudno zgadnąć, dlaczego pewni panowie poświęcają się literaturze. Widocznie nie nadają się do niczego innego, a szarlatanom wszelkiego rodzaju najłatwiej pozować na 'nowoczesnych' poetów albo krytyków...”), na drugim wywody niby-naukowe Bonifacego Miążka, polegające na wrywaniu zdań z kontekstów tak, aby stworzyć pozór, że mają sens przeciwny od zamierzonego. Trzeba nie małej dozy cynizmu, aby teraz bronić współczesnej poezji przed krytykiem, który już 15 lat temu tą właśnie poezją bezskutecznie próbował zainteresować redaktora *Wiadomości!*

Dlatego bardzo na czasie była notatka w styczniowej *Kulturze* informująca o mojej najnowszej pracy przekładowej. Zakradł się tam jednak poważny błąd, gdyż w tym wypadku przełożyłem nie książkę, lecz tylko jeden wiersz. Młody literat angielski Tony Rudolf poznał niedawno Herberta na festiwalu poezji w Jugosławii i za pośrednictwem Jana Darowskiego zwrócił się do mnie o przekład jakiegoś wiersza Herberta. Ten przekład wszedł w skład miniaturowej antologii przekładów z różnych języków.

Łączę wyrazy uznania,

Adam CZERNIAWSKI

Londyn, w marcu 1973.

Drogi Panie Redaktorze,

P. dr Breyer był łaskaw przysłać mi odpis swego listu do redaktora *Kultury*. Pragnę wyjaśnić niezwłocznie nieporozumienie, które zaszło — jak

widzę — wskutek użycia przeze mnie w notatce o Sympozjone w Lindenfels zdania zrozumianego przez dr. Breyera w sposób odbiegający od mojej intencji.

Otóż, oświadczenie dr. Breyera nastąpiło podczas dyskusji nad krytycznymi uwagami — z polskiej strony — pod adresem emigracyjnych instytucji naukowych polskich, z powodu spotykanych trudności we współpracy z nimi, w szczególności, w uzyskiwaniu informacji co do posiadanych źródeł i wydawnictw. Reakcja zebranych na tę ofertę była bardzo pozytywna i aprobująca.

W moim mniemaniu, oświadczenie to było dowodem godnej uznania gotowości ze strony dyrektora Instytutu im. Herdera, posiadającego znany mnie niezmiernie bogaty zbiór książek i innych druków polskich, do okazania pomocy w dziedzinie naukowo-informacyjnej polskim pracownikom naukowym i pisarzom, rozsiądanym po świecie. Zdarzać się bowiem może że nie mogą oni czasami uzyskać od instytucji emigracyjnych, z natury rzeczy skazanych na własne szczupłe siły i środki, pełnych bieżących informacji.

Dając wyraz tej mojej opinii w największym skrócie, użyłem przez nieuwagę zdania, mogącego — jak się dopiero z listu dr. Breyera przekonałem — mieć sens nieco paradoksalny. Powinienem być napisać: „Ogólną aprobatę i zadowolenie wywołało... itd.”, co by najściślej odpowiadało mojej intencji. Ale, w istocie rzeczy, czyż to nie jest powód do „sympatycznej wesołości”, jak pisze dr Breyer?

Z szacunkiem i pozdrowieniem,

K. OKULICZ

Quousque tandem abutere Mości Panowie patientia nostra, jakim prawem redaktorzy czołowych czasopism polskich, Kultury i Wiadomości, narzucają czytelnikom czytanie żargonu emigracyjnego? Dlaczego tolerują systematycznie erozję języka polskiego?

Parę dni temu poczta przyniosła mi 303-ci numer *Kultury* i 1393-ci numer *Wiadomości*. W obu numerach znalazłem czarne perły naszego piśmiennictwa. Czarne bo z czarnej listy. Język artykułów doktorantki Jolanty Dworzeckiej i prof. Waclawa Jędrzejewicza można tylko porównać z grochem z kapustą którym poczęstowała *Kultura* czytelników drukując swego czasu artykuł dr. Danuty Mostwin o powojennej emigracji w Stanach Zjedn.

Zapewne nie jest przypadkiem że właśnie artykuły ze Stanów Zjedn. grzeszą niechlujstwem językowym. Nie jest też przypadkiem że wszyscy troje wymienieni ogromnie górnio piszą o sobie i o swoich poczynaniach intelektualnych z równoczesnym lekceważeniem sobie czystości języka. Niechlujstwo językowe jest typową wadą przeciętnego zjadacza chleba w Ameryce. Okazuje się że jest to choroba zaraźliwa, chwytą się też tych co tu przybrnęli. Amerykanie o swój język nie dbają, nie ma w Ameryce francuskiego petyzmu do czystości formy i precyzji słów. Jak wszyscy wiemy, język angielski jest szalenie pociągający i wygodny w użyciu. Cokolwiek piszę po polsku, świetne słowa, akurat pasujące, ale angielskie, cisną się pod pióro. Ale tak samo zapewne jest, choć w mniejszym stopniu, z francuskim, niemieckim, hiszpańskim. Pozostaje jednak fakt że ani Czapski, ani Mieroszewski, ani Łobodowski nie mieszają francuskiego, angielskiego ani hiszpańskiego z polskim gdy piszą.

Zachwaszczony język powinien być tępiony przez wszystkich i wszędzie. Dla przykładu podam że w naszym Kole Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Cleveland, na zebraniach miesięcznych, nikt sobie nie pozwala na mieszanie języków bo by się ośmieszył. Ileż to razy takiemu co wtrącał

wyrazy angielskie powiedziano że jeżeli już polskiego zapomniał a angielskiego się jeszcze nie nauczył to niech siedzi cicho.

Wracając do tych trzech artykułów których autorzy dosłownie wyzywają się w kokteju językowym czy mogą zasugerować używanie takich polskich słów jak: godziny nadliczbowe, płatne półtora stawki, szef, znaczek rozprawczy, powiedzenie „kocham i nienawidzę”, warstwa średnia, dzielnice lub osiedla podmiejskie, życie towarzyskie, przewodniczący, doktorantka itp., itd.? Wreszcie jest kwestia słów których autorzy nie znają brzmienia po polsku a zbyt „szanują się” by spytać się fachowców. Swego czasu uderzył mnie artykuł prof. Terleckiego, umieszczony w *Kulturze* (o ile się nie mylę co do nazwiska autora i miesięcznika) na tematy etniczne w Ameryce. Profesor nie chciał użyć wyrazu angielskiego na słowo *tygiel* narodów, jak często Stany Zjednoczone są określane, a jakoś słowo *tygiel* mu nie przyszło na myśl. Próbował więc jak mógł i użył kompletnie fałszywego wyrażenia *piec hutniczy*, zupełnie jakby w kwestiach etnicznych było coś do palenia, zamiast *tygiel* w którym metale się topią, powstaje stop. Powinien był się spytać o to byle inżyniera. Doktorantka Dworzecka ma tyle do powiedzenia i tak szalenie jej angielski imponuje że nie zadaje sobie trudu by użyć terminu *teoria gier*, woli odpowiednik angielski. Prof. Jędrzejewicz używa, bez ceremonii, angielskiego słowa na słowo matryca. Uprzejmie tłumaczy je na polski, fałszywie zresztą, i w liczbie mnogiej, sztance. Być może że obrażał w warsztacie matryce ale raczej były to odkuwki, po angielsku *die forgings*. Był inżynier z prawdziwego zdarzenia mógł mu to wszystko wyjaśnić.

Pisanie na emigracji wymaga rzetelnego stosunku do języka polskiego. Jesteśmy poza głównym nurtem życia polskiego. Słowa się zmieniają, nowe się rodzą, inne znów są przyswajane. Na przykład zupełnie, ale to zupełnie, nie rozumiem dlaczego puszczone na łamy *Kultury* w artykule p. Dworzeckiej angielską formę już dziś polskiego słowa *frustrujący*. Aforyzmy, przysłowia i cytaty w obcych językach mogą być ozdobą literatury. Język posługujący się obcymi wyrazami, jak popadnie, nie zasługuje na miano literatury w ogóle. Ale zważmy, każdy pisze i ma prawo pisać jak mu się podoba. Na guścik pisanie zachwaszczonym językiem nie ma rady. Natomiast stanowczo twierdzą że redakcja *Kultury* i redakcja *Wiadomości* nie powinny przyjmować do druku niczego co nie jest pisane poprawnym, czystym językiem polskim.

Dr Wojciech ROSTAFIŃSKI
Prezes Zarządu Koła SPK
w Cleveland, Ohio.

Luty 1973.

P. Eugene Witt, New York — w związku z umieszczeniem na czarnej liście p. Jana Dobranowskiego, prezesa Fundacji im. Reymonta (*Kultura* nr 11/302) uważa *Kulturę* za przedsiębiorstwo handlowo-wydawnicze, które uzurpuje sobie prawo wydawania wyroków potępiających i wpisywania ludzi w kraju lub poza krajem na czarną listę. P. Witt uważa takie postępowanie za sąd kapturowy i zestawia je z przedwojennymi listami, piętnującymi kupujące u Żydów. (*Redakcja*).

Humor krajowy

Panie: Pompidou i Gierkowa są sobie przedstawiane:
— Madame Pompidou.
— Madame Gierkadu...

Kosygin pyta Breźniewa:
— Co ten Gierek dostał w prezencie od Pompidou?
— Jak to, nie wiesz — wspaniały złoty zegarek z brylantami.
— Nie może być! Nic nie wiedziałem! Pokaż... — poprosił Kosygin.

Gierek dostaje wezwanie do zapłacenia podatku za psa. Telefonuje do Urzędu Skarbowego i mówi:
— Co to jest? Przecież ja nie mam psa...
— Jak to nie? A Kruczek?
— To nie mój pies, to Gomułki...

— Jaka jest w Warszawie najniebezpieczniejsza pora?
— 10 min. 27 rano.
— Dlaczego?
— Bo wtedy przyjeżdża express ze Śląska, a nie wiadomo kogo może jeszcze przywieźć.

W Polsce wyprodukowano nowy model samolotu wojskowego i rozpisano konkurs na pilotów-oblatywaczy. Spośród konkurentów wybrano trzech najbardziej nadających się do tej pracy: Rosjanina, Anglika i Żyda. Należało ustalić ich wynagrodzenie.

— Ile chciałbyś otrzymywać miesięcznie? — zapytano Rosjanina.
— 3.000 dolarów: tysiąc dla mnie, tysiąc dla mojej rodziny i tysiąc dla Partii.

— A ty? — zapytano Anglika.
— Ja — 6.000 dolarów: dwa tysiące dla mnie, dwa tysiące dla zabezpieczenia rodziny i dwa tysiące na nasz fundusz dla rodzin po zabitych pilotach.
Na podobne zapytanie Żyd oświadczył, że on musi dostać 12.000 dolarów.
— Dlaczego aż tyle?

— Praca jest niebezpieczna — 9.000 dla mnie, a 3.000 dam temu Ruskowi, żeby latał...

Zebrała Zofia HERTZ

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2° Trimestre 1973.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, 647 George Str., Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guira 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; Z. ZWIAZKOWIEC, 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshawe St., Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd, 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 225 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in.: J. Lewandowski: *Funkcje specyficzne historycyzmu w krajach systemu sowieckiego*; P. Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią w PRL*; W. Babiński: *Wymiana depeš między Nacz. Wodzem i D-cą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. I.)*; Wł. Gomułka na aktywie partyjnym *Huty Warszawa (dok.)*; St. Stempowski: *Z Pamiętnika (Wojna. Pogrom — 1914-1917)*; *Notatki z archiwum śp. Wł. Pobóg-Malinowskiego* oraz bogate działy: **POLEMIK, RE-CENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI** jak również nowy dział: **W OBCYCH OCZACH**.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4,25; £.stg. 1.60)



TOM 226 — ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Praca przedstawia dzieje Dwudziestolecia Polski Niepodległej, specjalnie szczegółowo naświetlając przygotowania Stalina i Hitlera do rozbioru Polski. Książka nie mogła ukazać się w kraju.

Str. 456.

Cena F. 35 (dol. 8,00; £.stg. 3.00)



TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki Polski prowincjonalnej.

Str. 180.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)